

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt VIII.

za

SIERPIEŃ

1900.



TREŚĆ:

- I. O b. Warszawskiem, Towarzystwie Przyjaciół Nauk *W. Gomułkięgo*.
- II. Wobec wroga, *Z. Z.*
- III. Chiny i Chinczycy *E. Plauchuta*.
- IV. Pływające miasta
- V. Leczenie suchot *L. Gr.*
- VI. M. narchowie włoscy.
- VII. Balon Hr. Zeppelina.
- VIII. Powietrze skroplone.
- IX. Z dziedziny politycznej.
- X. Z prasy rosyjskiej.
- XI. Ze świata kobiecego, *E. Żmijęwska*.
- XII. W ojcw ślady... (dokończenie)
K. Laskowski.
- XIII. Korsarz Triplex (powieść z angielskiego)
- XIV. Rozmaitości.

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki

Marszałkowska № 141.

WARSZAWSKA FABRYKA WIEŃCÓW i ROŚLIN METALOWYCH

Aleja Jerozolimska № 129

A. Makowski i E. Rauer

Skład Fabryczny Senatorska 22.

Podręczniki Szkolne i Wykładowe:

- AVERY M. ELROY DR.** Pierwsze zasady **fizyki**. Tłóm. z ang. Wł. Kwiatkiewski, z liczn. drzew. w tekście 1.50
BADZKIEWICZ ANT. **Wypisy polskie**. Cz. wyższa, połowa pierwsza zawiera: Opisy, listy, opowiadania, dialogi —.60
 — Połowa druga zawiera: Utwory rozumowe, oratorskie i poezye 1.—
BEM G. A. Jak mówić po polsku, czyli **gramatyka polska** w zarysie popularnym rb. 1.50, w oprawie płóc. 1.80
BOGUCA C., NIEWIADOMSKA C. i WARNKÓWNA J. **Ćwiczenia stylistyczne**, we wzorach i tematach, ułożone systematycz. Stopień I i II po rb. 1.40
 Każdy stopień oddzielnie po —.70
BOGUCA C., NIEWIADOMSKA C., PRUSKA M. i WARNKÓWNA J. Podręcznik do systematycznego **dyktanda** według uchwał. Akad. Umiej. w Krakowie. Wydanie czwarte, przejrane i poprawione karton —.80
CHMIEŁOWSKI PIOTR DR. Obraz **literatury polskiej** w streszczeniach i celniejszych wyjątkach, 3 duże tomy rb. 8, w opr. płóc. rb. 9.60, w półskórek rb. 10.50, każdy tom oddzielnie bez oprawy rb. 3
CHRZĄSZCZEWSKA JADW. **Pogadanki z dziećmi**, zawierające systematycznie ułożone rozmowy i pogadanki z dziećmi od lat 5-ciu, przykłady i wzory lekcji, oraz niezbędne wskazówki pedagogiczne dla uczących, oparte na doświadczeniu i znajomości świata dziecięcego 1.— karton. 1.20
CHWAT GUSTAW. Wykład popularny **buchalterji podwójnej** (włoskiej). Wyd. trzecie przejrane i uzupełnione 1.—
DICKSTEIN S. **Arytmetyka** w zadaniach. Część II. Ułamki. Wyd. drugie znacznie powiększone, karton. —.80
DYGASINSKI A. **Czytanka** pierwsza. Książka dla mł. dzieć, karton. —.50
Jak się uczyć i jak uczyć innych, rb. 1, w oprawie 1.20
Nauka czytania i pisania, karton —.20
Wskazówki do ćwiczeń stylistycznych, polskich —.60
DZIERZANOWSKA M. NIEWIADOMSKA C. i WARNKÓWNA J. **Ćwiczenia do nauki języka i gramatyki polskiej**, podług najnowszych źródeł ułożone. Wydanie drugie, popr. i znacznie rozszerzone: Część I. Kurs elementarny. Książka ucznia, karton, kop. 75. Książka nauczyciela kop. 30
 Część II. Kurs wyższy. Książka ucznia, karton, kop. 75. Książka nauczyciela k. 30
FAIFFOFER A. Pierwsze początki **geometriji** Przetłóm z włoskiego W. Kwiatkiewski. Z liczn. rys. w tekśc. 1.20
GOSTOMSKI WALERY. **Historia literatury powszechnej** w zarysie 2 t. rb. 5, w opr. płóc. rb. 6, w półskórek rb. 6.70
HEILPERN M. **Zasady botaniki**. Podług 23 wydania dzieła „Księga Przyrody” D-ra Fryderyka Schoedlera, zmienionego i zredagowanego przez prof. D-ra O. W. Thomego. Z 281 rysunk. w tekście 1.—
KAMOČKA J. **Krótki wykład katechizmu**, jako podręcznik dla matek, według planu i wskazówek Ka. Biskupa Kazimierza Wnorowskiego ułożony. Karton. —.30
Podręcznik ułatwiający pisanie ćwiczeń. Wydanie 2-te —.60
Praktyczny wykład nauki języka polskiego, według uchwał Akademji Umiejętności w Krakowie, Wydanie 9-te —.60
Teorja stylu według pisowni, uchwalonej przez Akademię Umiejętn. w Krakowie, ułożona. Wyd. 3-ie poprawione i uzupełnione 1.—
Zasady poprawnego pisanja i używania znaków pisaćskich w przykładach wyłożone. Wyd. 4-te, popraw. i uzupełnione —.60

O b. Warszawskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk.

Jednem z najdotkliwszych następstw wypadków roku 1830, było rozwiązanie „Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk”.

Niepodobna nawet obliczyć, ile korzyści przyniosłaby społeczeństwu ta instytucja, gdyby była do naszych czasów dotrwała. W niej, jak w ognisku, skupiał się ruch umysłowy; z niej, jak z ogniska, rozchodził się po całym obszarze Królestwa.

Czytanie „roczników”, rejestrujących działalność Towarzystwa, budzi prawdziwie, uwielbienie i żal. Pracowano tam „viri-bus unitis”.

Gdybyśmy byli umieli dochować tę prawdziwą „macierz” światła powszechnego, święciłibyśmy dziś stuletni jej jubileusz. Poświęćmy jej chociaż pogrobowe wspomnienie.

„Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk” narodziło się w roku 1800-ym; zakończyło swój żywot w 1830-tym. Pierwszem jego dziełem było: uczczenie i powołanie do wspólnego działania mężów znanych z prac naukowych i literackich; ostatniem—wzniesienie spiżowej statui Kopernika.

Pomiędzy temi dwoma krańcowemi ogniwami, mieści się długi łańcuch czynów obywatelskich, których owoce dotąd nas żywią. Prócz dzieł literackich, staraniem i zachętą Towarzystwa wydanych i prócz poważnych prac naukowych, głównie w zakresie historii własnego narodu, należą tu: ekonomiczne podniesienie kraju, odkrycie nowych bogactw

przyrodzonych, stworzenie nowych gałęzi przemysłu, wreszcie szeroka działalność filantropijna, ujawniona między innymi w założeniu Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych.

Błąd popełnił Mickiewicz, gdy w swej słynnej rozprawie polemicznej, druzgocąc literatów warszawskich i warszawską literaturę, nie oszczędził „Towarzystwa Przyjaciół Nauk”. Ten błąd tłumaczyć się da jedynie młodzieńczą porywcznością poety, jego znacznem oddaleniem od Warszawy i... plotkami, które po wszystkie czasy bujnie krzewiły się nad Wisłą.

Podobno Towarzystwo „zemściło się“ na poecie, przesyłając mu w kilka lat później dyplom na członka korespondenta. Tak twierdzi Wójcicki w swej „Społeczności Warszawy w początkach naszego stulecia“, gdzie przytacza nawet tekst dyplomu. Jednak ani w rocznikach Towarzystwa ani na żadnej z list członkowskich, drukowanych co lat kilka łącznie z ustawą, nazwiska Mickiewicza nie znalazłem.

Ta sprawa domaga się wyjaśnienia.

Kto był twórcą Towarzystwa?

W odpowiedzi na to pytanie bywają przytaczane dwa nazwiska: Sołtyka i Albertrandiego. Ale do tych dwóch możnaby dodać trzecie: Krasickiego — i czwarte: Staszica. Możliwe też, bez popełnienia wielkiego błędu, wypisać całą litanję nazwisk, na której znalazłoby się, między innymi, wszyscy żyjący jeszcze podówczas członkowie „Komisji Edukacyjnej“.

Idea była, jak to się mówi, „w powietrzu“. Odczuwali ją prawie instynktownie obywatele, dbali o dobro społeczeństwa.

Cokolwiekbądź, czterej wymienieni z nazwiska mężowie muszą być umieszczeni w pierwszym rzędzie. Sołtyk dla tego, że w jego domu odbywały się zebrania, na których idea oblokła się ciałem; Albertrandi—że w danej chwili stał

na czele ruchu umysłowego; Krasicki — że, dzięki osobistym stosunkom z królem Pruskim, wyjednał pozwolenie na otwarcie Towarzystwa; Staszic — że jak zawsze, tak i wówczas, należał do najczulszych na dobro i potrzeby kraju obywateli.

Każdy fakt, choćby najlogiczniej z długiego szeregu przyczyn wyływający, da się tłumaczyć ostatecznie jakąś, bezpośrednio działającą okolicznością. W czarze zbyt pełnej zawsze jedna, ostatnia kropla, przelew sprowadza. W danym wypadku tą kroplą stała się: francuzomanja pałacyku „pod Blachą“.

Wpływ pałacyku, wzmożony osobistym urokiem księcia Józefa, zagrażał najdroższemu skarbowi społeczeństwa: jego mowie ojczystej. A że z drugiej strony czyniła zamach na ten skarb urzędowa niemczyzna, uderzono więc na alarm, i postanowiono bez straty czasu bronić zagrożonej pozycji.

Na listę twórców Towarzystwa możnaby zapisać i panią de Vauban...

Wreszcie odgrywała w tem rolę pewną i—chronologia. Początek każdego nowego okresu pobudza do refleksji, do uważnego rozpatrywania się w tem, co nadchodzi, i w tem, co przeszło. A stano właśnie na progu nowego, pełnego zagadek, z wielu względów złowróżbnego stulecia.

Położenie ówczesne tak przedstawia Władysław Zawadzki w rozprawie, poświęconej Staszicowi *): „Rząd pruski użył wszelkich środków do stłumienia żywiołu polskiego i przemarodowienia mieszkańców części kraju, przypadłej dlań po rozbiornie. System, który do dziś z niezmordowaną przeprowadza wytrwałością, rozwinął zaraz w pierwszej chwili na wielki rozmiar, i z niezłomną konsenkwencją szedł do powziętego celu. Niemczyzna zalała urzędy i szkoły; sprowadzeni z wielkim kosztem i o żołodzie rządowym koloniści sadowili się coraz większym tłumem po kraju; obcym spe-

*) „Stanisław Staszic. Szkic biograficzny.“ (Lwów, 1860).

kulantom ułatwiono nabywanie ziemi w Polsce — wszystko zgoła dążyło do wywłaszczenia i zcudzoziemczenia“...

Cóż można było przeciwstawić tej nawale? Jedyńie tylko siłę ducha. Ale ta siła wystarczy za wszystko, bo wszystko inne z niej się rodzi.

Liczba *trzy* odgrywa jakąś fatalistyczną rolę w dziejach Towarzystwa.

Istniało przez *trzy* dziesięciolecia. Działalność jego rozwijała się pod *trzema* kolejnymi rządami. *Trzy* razy zmieniło siedzibę. Posiadało *trzech* prezesów.

Można wreszcie historję Towarzystwa podzielić na *trzy* wyraźne, odrębne okresy.

Okresem pierwszym jest ten, który trwał przez pierwsze siedem lat: od założenia instytucji do zgonu pierwszego jej prezesa Albertrandiego. Jest to okres wstępny, próbny. W tym okresie Towarzystwo — wedle wyrażenia Fryderyka Skarbka — postępuje krokiem nieśmiałym, niedowierzając swym siłom i trzymając się dzieł starożytnych oraz cudzoziemskich wzorów, jak dziecko paska...

Albertrandi posiadał rozległą choć jednostronną wiedzę, i położył zasługi niezaprzeczone, głównie jako zbieracz materiałów historycznych. Ale był to nazbyt wyłącznie uczony, rodzaj zaś jego nauki (starożytnictwo) należał do najoschlejszych i najmniej żywotnych. Nigdy zaś może sztuka dla sztuki i nauka dla nauki nie stanowiły bardziej, niż wówczas, niepotrzebnego i karygodnego zbytku.

W chwili, gdy krajowi była najpotrzebniejsza wiedza praktyczna, gdy domagał się wskazówek do odrodzenia się ekonomicznego i moralnego, gdy najpiękniejszy, ale potrzeb bieżących nieuwzględniający poemat miał dlań mniejszą wartość, niż książka elementarna, uczony biskup w trzech tomach Roczników Towarzystwa drukował olbrzymią rozprawę o... rzymskich medalach!

Jednak i ten zawiedły, jak roślina w zielniku, staroży-

tnik miał chwilę niekłamanego zapалу, gdy na pierwszym publicznym posiedzeniu Towarzystwa wygłaszał mowę programową. Piękna, choć, jak wszystkie prace Albertrandiego, balastem erudycji przeciążona mowa została wydrukowana jednocześnie: w oryginale i w przekładzie francuzkim, przez samego autora dokonany. Są w niej miejsca naznaczone wielkim rozumem społecznym.

Wpływ Albertrandiego paraliżował częściowo praktyczną działalność młodej instytucji, nie przytłumił jej wszakże całkowicie.

Już w tym pierwszym okresie Towarzystwo, zachęcające do bronienia od zagłady skarbów piśmiennictwa narodowego, natchnęło jednego ze swych członków myślą wydania wielotomowego „Wyboru Pisarzy Polskich.“ Dotąd ten „Wybór“, (Mostowskiego), rozpoczęty przedrukiem wszystkich dzieł polskich Kochanowskiego, a zakończony „Żywotami sławnych Polaków“, pod względem rozmiaru, druku, papieru, redakcji służyć może za wzór naszym wydawcom.

Wiele dobrego sprawiały „konkursy“ Towarzystwa. Albertrandi, zaraz po objęciu prezesostwa, ogłosił ich pięć. Dotyczyły: nauk wyzwolonych, wymowy, historii, matematyki i nauk przyrodniczych. Na pierwszym miejscu postawiono rzecz o Koperniku.

Towarzystwo stało się odrazu ukochanym dziećciem społeczeństwa. Śpieszono zewsząd z ofiarami. Książę Aleksander Sapieha, członek Towarzystwa, ofiarował mu księgozbiór, z sześciu tysięcy tomów złożony, gotówką 10,000 złotych polskich oraz zapis pięciu tysięcy złotych rocznie przez lat pięćdziesiąt. Książę Bohusz utworzył fundusz na nagrody konkursowe z procentów od sumy 18,000 zł. polsk. Hrabia Aleksander Chodkiewicz, chemik, poeta, żołnierz, estetyk, posiadacz znakomitej galerji obrazów i rycin, wspomógł młodą instytucję narzędziami fizycznymi i chemicznymi. Od księcia Henryka Lubomirskiego otrzymało Towarzystwo cenny zbiór roślin i minerałów. Niemcewicz ofiarował mu cały pierwszy nakład swych „Śpiewów historycznych“. Staszic wreszcie wspomógł je hojnie i pieniędzmi i książkami i zbiorem mineralogicznym, i—dachem nad głową.

Potem cały kraj prześcigał się w obdarzaniu Towarzystwa. W „zagajeniach“, któremi otwierano publiczne posiedzenia, prezes wyszczególniał każdy z darów i ofiarodawcom dziękował. Widać z tych sprawozdań, że każdą starą monetę, wyoraną pługiem wieśniaczym, każdą czaszkę nieznanego zwierzęcia, wykopaną w ziemi lub wyrzuconą przez fale, każdą norę pogańską, każdą ostrogę zardzewiałą, każde od starej spisy żeleźce — uważano za obowiązek obywatelski odnieść lub odesłać do zbiorów Towarzystwa.

Instytucja wspierała się wyłącznie na ofiarności publicznej. Ale i ta ofiarność musiała być z konieczności ograniczona. Kraj znajdował się w położeniu rozbitka, czy też pogorzelca, z przerażeniem obliczał straty, i w pocie czoła wygrzebywał z pod gruzów resztki mienia, ocalonego przed katastrofą.

Król Fryderyk Wilhelm pozwolił Towarzystwu istnieć i — polecił je opiece Boga. Trzeba było i za to losom dziękować. Zresztą, nie otrzymywano z góry ani zachęty, ani tembardziej jakiegokolwiek pomocy. Mimo to istniano, doskonalono się, rozwijano.

Pierwszą siedzibą Towarzystwa była sala biblioteczna w klasztorze księży Pijarów przy ulicy Długiej. Wpływ tak zwanego „środowiska“ (milieu) odbił się na ówczesnych pracach instytucji, które miały charakter biblioteczno-klasztorny.

Śmierć Albertrandiego zeszła się ze zmianą warunków politycznych w kraju. W tym samym roku, w którym odprowadzono na wieczny spoczynek uczonego biskupa, zostało utworzone Księztwo Warszawskie.

I kraj i jego najpiękniejsza instytucja rozpoczęły równocześnie nowy okres istnienia.

Od nowego monarchy, najpocziwszego i najpocziwiej biernego Fryderyka Augusta otrzymało Towarzystwo prześliczny... tytuł.

Dekretem, datowanym w Dreźnie 30 kwietnia 1808 r., pozwolono najłaskawiej Towarzystwu nazywać się „Królewskim“. Ponieważ Królestwo Polskie w owej chwili *de nomine* nie istniało, więc nowy tytuł czynił uczoną korporację jakby własnością monarchji Saskiej lub też osoby króla Saskiego.

Wyglądało to dość dziwnie — nawet cokolwiek niepokojąco. Ale wówczas cały kraj miał na oczach złotą i różową przepaskę, w „gwiazdę Napoleona“ wierzył jak w gwiazdę Betleemską, i wszystko tłómaczył sobie jaknajlepiej. Więc też i Towarzystwo, zachwycone idealnym darem, podziękowało zań grzecznemu monarsze wybiciem na jego cześć medalu.

Miejsce Albertrandiego zajął w Towarzystwie Staszic. Była to zmiana pod każdym względem pomyślna.

O programie społecznym Staszica, o jego poglądach na zadanie nauki i potrzeby społeczeństwa, najlepiej pouczają mowy, wygłaszane przezeń na publicznych posiedzeniach Towarzystwa. Wypisujemy z nich kilka miejsc znamienych:

...„Rozszerzeniem światła w narodzie zwiększymy, udoskonalimy te najpotężniejsze do zachowania narodu jestestwa, a jedyne do nadania mu nieśmiertelności: *władze rozumu*. Bez tych rozwinięcia w całym narodzie, nie może postępować cywilizacja. One tylko mogą i umieją czynom i sławie ludów nadawać pamięć potomnych wieków.“

...„Ojcowie! zachęcajcie synów waszych do doskonalenia się w umiejętnościach dokładnych. Nie rozrywajcie wychowania zawczesnem usuwaniem dzieci ze szkół przed zupełnem nauk ukończeniem. Nie uwodźcie zbytnią chęcią umieszczenia ich dla jakowej płacy po kancelarjach, po tych bezdennych przepaściach naszej młodzieży. Niebaczni! zapychacie tylko kraj machinalnymi pismakami i dobrowolnie w waszych dzieciach niszczyacie marnie świątłych i użytecznych dla ojczyzny obywateli i urzędników.“

...„Umiejętności dopótąd są jeszcze próżnym wynalazkiem, może czczym tylko rozumu wywodem albo próżniactwa zabawą, dopóki nie są zastosowane do użytku narodów.“

I uczeni potąd nie odpowiadają swemu powołaniu, swemu w towarzystwach ludzkich przeznaczeniu, dopóki w ich naukach, w ich umiejętnościach, rządy nie znajdują podług potrzeby w wewnętrznej administracji rady i pomocy; dopóki ich umiejętność nie nadaje fabrykom i rękodzielom oświecenia, ułatwienia kierunku postępu.“

Stylistą ani krasomówcą Staszic nie był—nie szukajmy przeto w jego przemówieniach zwrotów Cyceronowych. Ież w nich za to treści! i jak doskonale ta treść odpowiada charakterowi i potrzebom chwili, w której wielki obywatel żył i działał!

Nowy prezes zajął się przedewszystkiem zapewnieniem Towarzystwu własnego kąta. Siedziba dotychczasowa w bibliotece Pijarskiej miała charakter czasowo wynajętej gospody; nie można tam było myśleć o tworzeniu zbiorów i pracowni naukowych; pracowano dorywczo, „jak na popasie“.

Staszic posiadał obszerny dom na Kanonji, tuż przy bramie Zamkowej. Ten dom odpowiednio przerobiwszy, przeniósł doń Towarzystwo, jego książki, rękopisy i zbiory naukowe.

Jednak pierwsze posiedzenie publiczne, na którym wypadło mu wystąpić w roli prezesa, nie na Kanonji się odbyło. To posiedzenie miało charakter wyjątkowy: przypadło prawie nazajutrz po Raszynie. Spodziewano się olbrzymiego napływu publiczności, której szczupła sala Towarzystwa nie mogłaby pomieścić; wypadło szukać miejsca odpowiednio przestronnego i wybór padł na tak zwaną „Kaplicę Królewską“ w pałacu Saskim.

Staszic na pierwszym „zagajeniu“ ogłosił sześć konkursów, czyli „zagadnień do nagrody“. Dość będzie wymienić je, aby wskazać, w jakim kierunku nowy sternik postanowił prowadzić nawę Towarzystwa. Oto tytuły zagadnień: 1) Jakie było wychowanie w Polsce od czasów najdawniejszych do chwili obecnej? 2) Krytyka naukowa dzieł A. Na-

ruszewicza. 3) Epopeja z dziejów narodowych. 4) Zaprowadzenie zakładu wychowawczego dla głuchoniemych. 5) Projekt najprostszego i najmniej kosztownego połączenia rzek od Elöy aż do Dniepru, z czego wytworzyłaby się bezpośrednio po nich komunikacja. 6) Ulepszony system wyprawiania skór.

Nagrody wyznaczono w medalach złotych.

To posiedzenie, odbyte 22-go grudnia 1809 roku, zostało opisane w wydrukowanej niebawem broszurce p. t. „Posiedzenie publiczne Tow. Król. Warsz. Przyjaciół Nauk w zamiarze oddania czci zwyciężkiemu wojsku“ (Warszawa, 1810, w drukarni XX. Pijarów).

Oprócz Staszica zabierali wówczas głos: Potocki Stanisław, Szaniawski Józef Kalasanty, Niemcewicz i Osiński. Potocki wygłosił „Pochwałę walecznych Polaków, w ostatniej wojnie poległych“; Szaniawski oddał hołd pamięci Cyprjana Godebskiego, poległego pod Raszynem; Niemcewicz uczcił „pochwałą pogrzebową“ wielkiego obywatela, Ignacego Potockiego; Osiński wreszcie wyśpiewał i wygrzmiał swym wspaniałym, teatralnym głosem „Wiersz na powrót zwyciężkiego wojska do stolicy“ — rzecz najpiękniejszą, najgłębiej odczuta, najsilniej wzruszającą ze wszystkiego, co kiedykolwiek z pod jego pióra wyszło.

Dla tego jednego wiersza nie wahałbym się przyznać Osińskiemu tytułu—poety.

Wójcicki opowiada, że znakomity tłumacz „Cyda“ i „Horacjuszów“ szukał natchnienia do swej ody w przeddzień posiedzenia, błakając się późnym wieczorem po pustym już Rynku Staromiejskim. Byłaby to w takim razie improwizacja... której znamion jednak utwór nie nosi. Technie natomiast wielką, patetyczną siłą, która dziś jeszcze działa wstrząsająco na wrażliwego czytelnika. Kilka urywków poniższych dać może niejakie pojęcie, jeśli nie o całkowitej treści, to przynajmniej o nastroju wiersza—szkoda, że zanadto w stronę Francji i Francuzów zwróconego:

Trzynastcie wieków świetnem berłem władał
Stwarzał, ocalał i rozdawał trony.

U nóg składane odrzucał korony,
 Lud wielki! wtenczas nawet gdy upadał.
 Dąb ogromny
 Postawą swoją ómi możne sąsiady,
 Zawistne gaje zlorzeczą mu w koło,
 Nie myśląc o tem: że on silne czoło
 Piorunom stawia, i równy naturze
 Gromy odbija i roztrąca burze.

Przez długie lata przechowywał się utwór Osieńskiego w pamięci ziomków. Powtarzano zwłaszcza często, że wzruszeniem, to jego elegijno-bohaterskie do wypraw cudzoziemskich zastosowane miejsce:

Gdzież zamierzili granice swej chwały?
 Na Alpach, na Pirenach utkwili pałasze;
 Nurty Ozary, wzdęte Nilu wały...
 Ileż rzek skrapia święte laury nasze!

Niestety, wiersz pełen blasku poetycznego był słaby—politycznie. Kończył się apoteozą Napoleona, („zwycięzca, wolą i mocą wyższy nad człowieka“) i wyrażał bezgraniczną wiarę w jego zbawcze działanie. I jedno i drugie było chimerą.

Zresztą tą wiarę i to zaślepienie podzielali wszyscy mówcy Towarzystwa — z wyjątkiem swego prezesa; podzielał ją cały naród — z wyjątkiem tegoż samego obywatela, którego wzrok patrzył trzeźwiej, a sięgał dalej...

Jednym z celów Towarzystwa było przygotowanie dokładnej historii narodu polskiego. Cel był trudny i przechodził siły pojedynczego człowieka. Na posiedzeniu, o którym przed chwilą mówiliśmy, Staszic wzywał „uczonych rodaków do wspólnej nad tem dziełem pracy.“ Wezwania usłuchano, i już na posiedzeniu 30-go kwietnia 1810 r. czcigodny prezes donosił z pociechą, że dziewięciu mężów podjęło się częściowego opracowywania zamierzonej historii.

Tymi mężami byli: ksiądz Kołłątaj, podkanclerzy wraz z księdzem Czajkowskim prałatem Łowickim (początki narodu); Dzierzkowski, „radca zeszłego centralnego rządu“ (cza-

sy Kazimierza Wielkiego); Tarnowski, zeszłego rządu radca (czasy Kazimierza Jagiellończyka); Ossoliński Józef, „konsyljarz tajny Cesarza Austriackiego“ (Zygmunt I); ksiązę Czar-toryski, jenerał Ziem Podolskich (Zygmunt August); ksiądz Krajewski, proboszcz w Końskich (Jan Kazimierz); Niemce-wicz Jul. Urs. (Zygmunt III); Horodyski, „Konsyljarz Naj-wyższej Izby Obrachunkowej“ (Władysław Jagiełło); Sza-niawski Kalasanty, jeneralny prokurator królewski przy Są-dzie Kasacyjnym (historja legjonów); Potocki Stanisław, se-nator-wojewoda, prezes Rady Stanu (Jan III). Później jesz-cze powiększył tę listę biskup Prażmowski, który wziął na siebie opracowanie epoki Sasów i Stanisława Augusta.

Jak wiadomo, mała tylko część zamierzonych prac zo-stała wykończona i ukazała się w druku. Ale ruch w kie-runku badań historycznych obudził się i trwał przez długie lata jeszcze po zamknięciu Towarzystwa.

Jak wyżej wspomniano, prace czysto naukowe nie były ani głównym, ani jedynym celem instytucji, kierowanej przez Staszica. Sprawy praktyczne pojawiają się nieustannie na programie działań. Prócz tych, które wyszczególniliśmy w sześciu konkursach z roku 1809, znajdujemy niebawem inne, mające na celu: polepszenie bytu włościan.

W liczbie ostatnich, dwa zwłaszcza zasługują na uwa-gę. Pierwsze dotyczy domów włościańskich, drugi higieny ludu wiejskiego.

Towarzystwo uważało ówczesne chaty włościan naszych za „najniezdrowsze, najniwygodniejsze i cywilizacji wieku nie odpowiadające“. Te chaty, — raczej szałas! — były ple-cione z chrustu, trzciny a nawet słomy; ciasne, zimne, okop-one, przed wichrami i deszczem nieosłonięte. Włościanin mieścił się tam zwykle razem ze swym „dobytkiem“ to zna-czy: z rogacizną i nierogacizną. Były to po większej części chaty tak zwane „kurne“, w których dym nie miał innego wyjścia, jak tylko przez drzwi lub okna...

Z dziewięciu prac na ten konkurs przysłanych, Towa-rzystwo wybrało pomysły najlepsze i najpraktyczniejsze, po-czem członek Towarzystwa hr. Stanisław Potocki według

tych wskazówek wybudował u siebie w Wilanowie pewną ilość „wzorowych“ domów włościańskich.

Ze znaczenia higieny ludowej nie zdawano sobie jeszcze wówczas sprawy dokładnej. Przesyłane na konkurs prace nie odpowiadały zupełnie swemu przeznaczeniu. Dopiero w r. 1819 to ważne zadanie wypełnił w sposób właściwy dr Fijałkowski Ignacy, profesor uniwersytetu. Praca jego nosi tytuł: „Rozprawa mająca za cel oświecenie ludu wiejskiego w Polsce, czego ma się wystrzegać dla uniknienia niewczesnej śmierci i słabości rozmaitych“.

Najmniej plonu przynosiły konkursy literackie. Towarzystwo pragnęło przysporzyć piśmiennictwu naszemu cennych prac dramatycznych, ogłaszając dwie nagrody (medale złote, wartości 1,000 złp.) za dobrą tragedję i takąż komejdję—nie znaleźli się jednak zwycięzcy ani w jednym, ani w drugim turnieju.

W dniu 20 grudnia 1866 roku, Towarzystwo przedstawiło się nowemu Monarsze, Cesarzowi i Królowi Aleksandrowi I-mu. Mowa, którą przy tej sposobności wygłosił Staszic, była czemś więcej, niż urzędowym, wedle stałych wzorów ułożonym, ogólnikiem: mieścił się w niej wyraz najszczerzych i najstałszych przekonań wielkiego obywatela.

Już wcześniej, gdyż w marcu tegoż roku, ukazał się dekret cesarsko-królewski, istnienie i rozwój instytucji zabezpieczający, w którym, między innymi, znajdowały się słowa następujące:

„Cokolwiek do pomnożenia światła w narodach, pieczołowitości naszej powierzonych i do rozkrzewienia nauk pożytecznych dopomagać może, nigdy nie zdało się dalekiem od baczenia i najwyższego wsparcia naszego. A gdy do tego przyłącza się jeszcze nadanie poloru językowi polskiemu, tak bardzo podobnemu do języka w Cesarstwie Wszech

Rosji używanego, skąd, przy terażniejszym przez nowe węzły połączeniu dwóch narodów, nowe pożytki dla obu języków wyniknąć mogą—powinnością naszą być rozumiemy całą zupełnością władzy naszej do tego się przyłożyć, aby tak szlachetne zamiary skutku nie były pozbawione, ale owszem, istotnie utrzymane i troskliwie były ku doskonałości przywiedzione“.

Staszic w mowie swej, po wynurzeniu uczuć wdzięczności, wyszczególnił cele Towarzystwa, które były: doskonalic język ojczysty, zachować dzieje narodowe, przystosowywać umiejętności do sztuk pożytecznych, a nadewszystko do tych, któreby mogły nadać większą wartość przyrodzonym plodom krajowym.

W dalszym ciągu, mówca wspomniał pokrótce o opiece udzielanej Towarzystwu przez dwa poprzednie rządy, i składał losy instytucji w ręce nowego Monarchy „któremu świat uczony przyznał imię Przyjaciela i Opiekuna nauk“. W zakończenie, nawiązując myśli swe do słów dekretu, oświadczył mówca, że cesarz i król „dobroczynnych cnót natchnieniem, przez nadanie ustawy narodowego rządu i praw, łącząc naród Polaków z narodem Rosjan, usuwa wszelką niejedność między tymi dwoma starszymi braćmi wielkiej Słowian rodziny“, i że odtąd te dwa narody prześcigać się będą“, w rozwijaniu wielkich myśli, które zajmują monarchę, dążą zaś do uszczęśliwienia niezmiernego Słowian plemienia“.

Ten trzeci okres był w dziejach Towarzystwa najpomysłniejszy i w dzieła ogólnego pożytku najbardziej obfitujący. Największym też blaskiem odznaczały się w tym okresie publiczne posiedzenia, gromadzące do wielkiej „sali posiedzeń“ cały kwiat ówczesnego społeczeństwa warszawskiego.

W r. 1816, na Przedmieściu-Krakowskiem, na gruzach rozrzuconego kościoła i klasztoru księży Dominikanów Obserwantów, wznosił Staszic piękny, w poważnym stylu pałac, z kolumnadą od czoła, z kopułą na szczycie, i nie zamieszkał w nim sam, ani osadził kogokolwiek z rodziny swojej.

lecz aktem prostej darowizny, ofiarował go — Towarzystwu, którego był prezesem.

W tym pałacu, który aż do ostatniej, gruntownej przeróbki, nazywano powszechnie „domem Staszica“, Towarzystwo rozmieściło wygodnie swe zbiory i wogóle zajęło siedzibę, odpowiednią swemu znaczeniu i swej godności.

Nie posiadamy ani obrazu, ani ryciny, na których przechowałyby się podobizna pięknej sali, ogniskującej w sobie przez lat kilkanaście całe umysłowe życie kraju. Na szczęście, opisał tę salę szczegółowo i wiernie Gołębiowski Łukasz, członek, a ku końcowi sekretarz Towarzystwa; Wójcicki zaś opowiedział żywo i malowniczo, jak wyglądali i jak się zachowywali na posiedzeniach najwybitniejsi członkowie uczonego ciała.

W ostatniem opowiadaniu znajduje się jeden obraz skreślony tak plastycznie, że aż się naprasza pod ołówek, a nawet pod pędzel:

„Na wzniesieniu, przeznaczonem dla członków Towarzystwa, we środku zasiadał prezes, w pobliżu sekretarz. Po prawej ręce zajmował zwykle miejsce hr. Wincenty Krasiński, ojciec Zygmuta, w mundurze generalskim, a obok niego siedział Abraham Stern w starożydowskim stroju. Piękna jego twarz z długą brodą i cała postać poważna, malowniczo odbijała od barwistego munduru. Zaraz za nimi wydatniał wysokiego wzrostu Skorochód-Majewski, „Metrykant koronny“, bo tak go zwano powszechnie, w kontuszu i żupanie przy słuckim pasie, przerabianym w złote i srebrne pasma“.

Posiedzenie w dniu 5 maja 1825 r. było ostatnie, któremu przewodniczył Staszic. Wielki obywatel ułożył się spokojnie do snu wiecznego, pełen wiary w ziszczenie się jego społecznych ideałów, oraz w byt ukochanego przez siebie Towarzystwa. W testamencie zapisał mu na własność swój księgozbiór, wszystkie rękopisy, oraz zbiorowe wydanie dzieł swych w dziewięciu tomach.

Nie zapomniał też o pomniku Kopernika, który na jego wniosek i z jego głównie zasobów został zamówiony

u Thorwaldsena. Na ostateczne wykończenie i ustawienie monumentu przed domem Towarzystwa, testament przeznaczył złp. 70,000.

Na osierocone miejsce prezesa wybrano jednomyślnie Juljana Ursyna Niemcewicza. Należał mu się ten zaszczyt „z wieku i z urzędu“.

Autor „Śpiewów historycznych“, w chwili obejmowania steru Towarzystwa był starcem siedemdziesięcioletnim, z długimi, srebrnymi włosami, które mu spadały na ramiona, z twarzą białą i rumianą, prawie młodzieńczą. W pracach Towarzystwa przyjmował czynny udział niemal od samych jego początków.

Niemcewicz kierował pracami uczonej instytucji w tym samym duchu, co jego poprzednik—może tylko z większem cokolwiek uwzględnieniem żywiołu literackiego. Zresztą ten ostatni, niecałe cztery lata obejmujący okres, który dzielił jego wybór od ostatecznego upadku Towarzystwa, był zbyt krótki, aby można było rozwinąć w nim swój program całkowicie i bezstronnie.

Niemcewicz trafił na czasy rodzącej się już opozycji, na tę przykrą konieczność życiową, która ma pozory walki o zasady, jest zaś w gruncie rzeczy: kolejnem spychaniem się pokoleń. Z opozycją przeciw Towarzystwu wystąpił pierwszy Maurycy Mochnacki, a hasło rzucone przezeń podjęła ochotna zawsze i do wszelkiej walki młodzież.

Jednak do starć gwałtownych nie przyszło—może dzięki pojednawczemu usposobieniu prezesa, który zresztą był wyższy nad wszelkie walki stronnictw, i za to (co za ironja), otrzymał od Słowackiego całą garść epitetów obelżywych.

Ostatni przed zamknięciem Towarzystwa skład jego zwierzchności podaje „Obraz polityczny i statystyczny Królestwa Polskiego, jaki był w roku 1830 przed dniem 29 li-

stopada" (Warszawa, u Zawadzkiego i Węckiego). Są tam wymienieni: prezes—J. U. Niemcewicz; prezes działu nauk—ksiądz Adam Prażmowski; prezes działu umiejętności — hr. Ludwik Plater; sekretarz—Łukasz Gołombowski; administratorowie—ksiądz Prażmowski, hr. Plater, Feliks Bentkowski, Jan Wincenty Bandtkie; ksiądz Wojciech Szwejkowski; inspektor biblioteki i muzeum—Joachim Lelewel; kasjer—Jan Krzyżanowski.

Wiktor Gomulicki.

Wobec wroga.

Staropolskie przysłowie powiada: szafranu nie przetrzesz—bady nie przepresz. Podobną sentencję, w ten lub w inny sposób wyrażoną, znaleźć można we wszystkich krajach, we wszystkich językach. Ale najszczególniej brzmi ona w prowincji francuzkiej Pikardji. Mówią tam tak: jak Maturyna czego zechce, to ani Wincenty ani Hiszpan nie poradzi nic. Kobiety pikardyjskie mają Maturynę ową za patronkę swoją, a mężczyźni tamtejsi, skoro w sporze z żoną lub narzeczoną imię to usłyszą, wiedzą już, że nie ma co dalej próbować i starać się, trzeba uszy stulić i ustąpić.

O pochodzeniu pikardyjskiego przysłowia istnieje piękna legenda.

W roku pańskim 1557 najpiękniejsza dziewczyna w pikardyjskiem mieście Saint-Quentin zwała się Maturina Labrille. Maturina nie należała do rośli, ale była zwinna, hoża i miała figurę niży wytoczoną. W wiecznie śmiejących się jej oczach błyskała wesołość dwudziestej wiosny. Maturina nie była najbogatszą panną w mieście, ale ojciec jej, starszy zgromadzenia cieśli, posiadał powszechny szacunek, no, i kamienicę w rynku. Wskutek tych wszystkich przyczyn, w okolicy, w promieniu dziesięciu mil od Saint-Quentin, trafić można było łatwo na niejednego chłopca, co wzdychał do pięknego buziaka i do ręki uroczej dziewczyny. Ten, któremu Maturina odszepnęła „tak“, nazywał się Wincenty Ledru.

— Pobierzemy się—rzekła Maturina—po żniwach, w końcu sierpnia.

Tymczasem przed końcem sierpnia zaszło wiele nieprzewidzianych rzeczy w Saint-Quentin i w okolicy. Hiszpanie oblegli miasto, księżę sabaudzki, Filibert Emanuel obozował z wojskiem na sąsiedniej równinie. Dzień w dzień szły szturmami za szturmami, potyczki za potyczkami, strzelanina nie ustawała. W całej okolicy panowała rozpacz, a w mieście wszyscy byli strwożeni. Praca wszelka ustała, sklepów nie otwierano, straganów nie rozstawiano na rynku. Na horyzoncie coraz to ukazywały się złowieszcze blaski — wróg palił zamki i wioski.

Wincenty Ledru bardzo był strapiony. Trapił się przede wszystkim jako dobry Francuz, bolało go nieszczęście kraju ojczystego; trapił się też, bo kochał gorąco Maturinę, a teraz przecie nie czas było myśleć o godach weselnych, gdy wróg dobijał się do murów miasta.

Patrząc na to, Maturina czuła kołatanie serca w piersi, a w szarych oczach zapalał się płomień jaśniejszy.

— Dobrze!—rzekła.—Co się powiedziało, musi być zrobione. Jeszcze się taki nie narodził, coby zmusił Maturinę Labrille nie dotrzymać słowa. Termin przyszedł, więc idź, mazgaju, przygotuj wszystko do ślubu i do wesela.

Wincenty nie dał sobie tego powtarzać dwa razy. Zamówił skrzypków, naciął gałęzi do przyozdobienia kościoła, rozdał fajerwerki družbom. Maturina zaś przy pomocy ciotki Trapu i kuzynki Jacquemart piekła i smażyła przysmaki dla gości: ciasta z korzeniami, torty z serem, pierogi z cieleciną na słoninie, a wszystko ozdobione aniołkami i rajskimi ptakami z cukru. Najpiękniejsze stroje szyto z aksamitów holenderskich i z materji włoskich, a ubierano koronkami.

Zato cała dzielnica martwiała ze zdumienia i trzęsła się od zgrozy. Kumoszki, ciągle przerażone myślą o rabunku, modliły się gorąco, aby wybłągać u nieba dla narzeczonych mniej zuchwałstwa a więcej rozsądku.

Ale ani rady, ani prośby, ani modlitwy nie pomogły, dzień wyznaczony na gody weselne nadszedł.

Zdala dolatywał huk dział. Do miasta tłoczyli się wieśniacy, próbując na małych wózkach uratować resztki mienia od chciwości Hiszpanów. Na ulicach wszędzie tyle snuło się twarzy, pełnych smutku i strachu, że niejeden uczestnik godowy radził odłożyć uroczystość na później. Ale Maturina Labrille i Wincenty Ledru byli mężnego ducha: tegoż rana otrzymali błogosławieństwo ślubne w kościele św. Andrzeja.

Ale w Pikardji żadne wesele nie może się obejść bez majówki, choćby się to działo nie w sierpniu, ale w mróz. Tuż pod Saint-Quentin, w Remicourt, znajdowała się wówczas oberża, słynna od wieków. Tu co niedziela ciągnęli mieszczanie, aby pod cieniem drzew wychylić szklankę wina, przegryzając tortem ze śliwkami. I nie było męża ani żony w całym Saint-Quentin, którzy by w dzień swego wesela nie wywijali u ojca Cyprjana.

Maturina i Wincenty nie chcieli odstępować od zwyczaju ojców, dziadów i pradziadów. Niesłuchając też żadnych perswazji, ruszyli w drogę. Na przodzie kroczyli muzykanci, przystrojeni w kwiaty i wstęgi, wygrywając najpiękniejsze kawałki. Potem szedł pan młody i panna młoda, a za nimi tłumny orszak krewnych, wśród których najłatwiej było poznać okazałej tuszy ciotkę Trapu i wyniosłego wzrostu, ale za to cienką kuzynkę Jacquemart. Goście weselni przybrani byli w szaty godowe, ale wesołość ich nie budziła żadnego echa. Okna na ich drodze zamykały się, drzwi wyglądały wrogo. Przechodnie zdala umykali z minami, pomarszczonemi gniewem i zgorszeniem.

— Trzeba warjatów—myśleli pocziwi obywatele Saint-Quentin—aby wyprawiać wesele w mieście obłożonem, wśród powszechnej żałoby.

Cjciec Cyprjan przygotował fetę wspaniałą: pasztety w postaci zamków, góry nadziewanego drobiu, prosiaki, upiększone symbolicznemi sercami, szynki ozdobione odpowiedniami napisami, indyki pełne orzechów — nie brakowało nic, a na stołach wabiły oko obiecujące zastępy pękatek bułek.

Zaledwie zjedzono siedem, czy osiem potraw, rozległ

się za oknami straszliwy zgiełk. Rżały konie, oręż szczekał, groźne głosy zlewały się we wrzawę, coraz potężniejszą, coraz bliższą.

Nieprzyjaciel napadł!



Na przodzie kroczyli muzycanci, wygrywając najpiękniejsze kawałki.

Wincenty, ojciec Labrille, ojciec Ledru, przyjaciele, goście, muzycanci—orszak cały stanął w jednej chwili gotów do obrony. Zabarykadowano drzwi, waląc pod nie ciężkie stoły i ławy, ktoś porwał stołek, ktoś drugi uzbroił się w nóż

kuchenny, trzeci chwycił pałkę. Nagle zabrzmiał głos Maturiny:

— Ech! Dajcie spokój chłopcy. Tu ani czas, ani miejsce do wojowania. Zmykajcie przez to okno. Pędźcie do Saint Quentin i przyprowadźcie odsiecz. Hiszpanami ja się tu zajmę sama. Włosa nie dotkną na głowach naszych, zanim nie wrócicie.

Jednocześnie Maturina popychała mężczyzn ku niskim drzwiom, przez które skakali do sadu, a stamtąd dostawali się na drogę do miasta. Skończywszy jedno, panna młoda zwróciła się do drzwi frontowych, w które Hiszpanie walili już z całej siły, i otworzyła je na rozcież.

* * *

Kiedy Wincenty, zebrawszy pośpiesznie oddział ochotników, zbliżał się pod oberżę, dręczył go niepokój śmiertelny, trapiły go srodze wyrzuty sumienia, że Maturinę opuścił tak w dzień ślubu, oskarżał się o szaloną nierozwagę. Rozstawił towarzyszków dokoła, a sam podkraść się pod okno, aby zobaczyć, co się dzieje wewnątrz.

To co ujrzał, mogło raczej pobudzić do śmiechu, niż wywołać przerażenie. Maturina dobrze powiedziała — łatwo poradziła sobie z wrogiem.

Groźni wojacy wcale teraz nie wyglądali strasznie. Piekielny hałas wstrząsał oberżą. Wykrzykując i tańcząc pijani żołnierze drzazgi łupali ciężkimi buciskami z podłogi. Inni, pokonani przez jadło i napój, leżeli, rozciągnięci na ziemi, wśród próżnych butelek, resztek szynki i poogryzanych kości baranich. Po kątach, na stołach, pod ławami — wszędzie pełno było żołdactwa. Gdy jedni śmieli się i wrzeszczeli wesołe błazeństwa, drudzy wymyślali zapalczywie, a nie brakło i takich, którzy rzewnie płakali z czułości. Co raz to któryś usiłował wstać, ale się plątał tylko wśród rozpiętych rzemieni towarzyszków. Niektórzy zbierając ostatek sił, wyciągali szklanke, w którą im Maturina sączyła resztki wina. Przebiegłe mieszczki nie omieszkały poodpinać Hiszpanom pałasze, pozabierać rusznice i łuki.

Pozostawało jedynie powiązać nieprzyjaciela i pognać pijaną armję do miasta. Orszak stanął w tym samym po-

rzędu co pierwaj. Na czele kroczył Wincenty w kwiatach i wstęgach, dumny, że prowadzi pod rękę piękną Maturinę. Potem szli parami Labrille'e z Ledru'ami, i Ledru'e z Labrillami. Potem ciotka Trapu sunęła potężna jak skała, okrągła jak baszta; potem kuzynka Jacquemart niby wieża



Groźni wojacy wcale teraz nie wyglądali strasznie.

z kości. Wreszcie prowadzono jeńców. Na ulicach Saint-Quentin tłoczyła się gęsta ciżba—każdy chciał widzieć powrót weselnego orszaku Maturiny.

Dzieciaki upędzały się dokoła zwycięzców, kobiety wyglądały przez okna, a mężczyźni, ujawszy się pod boki, sta-

li przeddrzwiami swych domów. Damy z orszaku weselnego dumnie potrząsały zdobytą bronią, a Maturina na ślubnej swej sukni powiesiła tkany złotem pas oficerski.

* * *

Kobiety mają wszelkie cnoty; jedna tylko szpeci je wa-



Damy z orszaku weselnego dumnie potrząsały zdobytą bronią...

da: są nieco próżne. Czczy dym sławy ma dla nich urok i wywiera wpływ. Maturina była kobietą; i nie tak prędko wiatr kręci skrzydłami młyna, jak wspomnienie wielkiego zwycięstwa, odniesionego nad Hiszpanami, obracało próżność Maturiny i jej przyjaciółek.

Następnych dni obywatelki Saint-Quentin'u nie mówiły o niczem innem, jak o swem starciu z wrogiem, o ciosach zadanych i o ranach otrzymanych. Im dalej, tem wszystko bardziej urastało. Tryumf uderzył dobrym kobietom do głowy.

Tymczasem w Saint-Quentin wszystko gotowało się do walki ostatecznej. Kazano mieszczanom przyszykować się, uzbroić i nazajutrz przed świtem stawić się na murach.

— My też pójdziemy—zawołała Maturina.

— Pójdziemy!—wykrzyknęły jej przyjaciółki, wywijając i brzękając pałaszami, zdobytymi na Hiszpanach.

Kazano im milczeć. Widzicie je, kumoszki! Że się im udało upoić czterech rajtarów i trzech piechurów, to już się na dobre mają za skończonych żołnierzy. A tu teraz chodzi o rzecz poważną. Tu teraz trzeba mężczyzn.

Tedy o godzinie wskazanej pójdą na wroga Wincenty Ledru i ojciec Labrille, i wszyscy chłopcy z tej dzielnicy i wszyscy dzielni mężowie z całego Saint-Quentin. Trochę ich zdziwiła taka prędką i taka łatwą rezygnacją kobiet. Nie byli przyzwyczajeni do podobnego posłuszeństwa. Ale cóż takiego, kiedyś musi się przecież porządek zacząć. Już cię to nie miejsce dla kobiet, gdzie się ludzie częstują ostrzami pałaszów i kulkami z rusznic.

Na wychodnem, uzbrojony od stóp do głów, przyszedł Wincenty pożegnać Maturinę. Mężne miał serce, a jednak rzucało się mu ono w piersi, gdy całował tę, którą ukochał gorąco, i lży mu na oczy nabiegły.

— Droga Maturino—rzekł—jacyśmy nieszczęśliwi. Los połączył nas na to tylko, aby zaraz rozłączyć.

— Któż mówi o rozłączeniu — przerwała młoda kobieta—Czy to chwila po temu, aby się rozczulać, czy to należy osłabiać się smutkiem przed bitwą? Mnie tam na sercu tak lekko, jak w dzień ślubu.

Wincenty spojrział na nią zdziwiony.

— Nie czuję strachu i pójdę odważnie na wroga, ale Hiszpanie są silni, jest ich dużo; mogę umrzeć zdala od ciebie.

— Co to, to nie. Nie umrzesz zdala odemnie.

— Niech cię Bóg wysłucha! Ale kto wie, kiedy się znowu zobaczymy?

— Prędzej może, niż myślisz.

Po drodze na stanowisko, Wincenty obracał w głowie słowa Maturiny i nie mógł dojść ich sensu tajemniczego. Pojąć nie umiał zachowania się swej młodej żony: słowa dwuznaczne, pewność siebie i wesołość w takiej chwili.

— Hm—myślał—pewnie chciała mnie podtrzymać. Bądź jak bądź, ta Maturina to dzielna kobieta...

Wincenty sam nie wiedział, jak dalece mówił prawdę...

Oślonięci ciemnością, posuwając się bez hałasu, Francuzi dotarli aż do posterunków nieprzyjacielskich. Hiszpanie nie spodziewali się tak zuchwałej wycieczki. Obóz spał. Obudził go dopiero huk strzałów, szcęk pałaszów, jęk rannych. Zapanował chaos nieopisany. Rozpoczęły się nawoływania, zapalono ognie, odezwały się armaty. Nadbiegły inne oddziały. Walka stała się gorącą, i coraz bardziej przybierała obrót niepomysłny dla Francuzów. Uporawszy się z tumultem pierwszej chwili, Hiszpanie poczęli śmiało nacierać. Odparli mieszczan aż pod same mury i zamierzali odciąć im odwrót. Wincenty stawał mężnie, ale mały oddział, w którym walczył, przytłoczony większą liczbą, wyczerpany chwiał się coraz bardziej... Nagle impet nieprzyjacielski począł słabnąć. To nowy oddział francuski idzie swoim na pomoc i cudów dokazuje. Zuchy! Niewielu ich, ale jak tego biją! Opuszczone blachy hełmów niepozwalają rozpoznać twarzy, a nawet w pół mroku świtu niepodobna dojrzeć dobrze zbroi. Ale nie są to z pewnością żołnierze przypadkowi. Znają swoje rzemiosło—to poznać można od razu. Pomędzy nimi jeden, niewielkiego wzrostu, szczupły, ale taki zwinny, taki biegły, że sam starczy za wielu. Tak się zwija, iż jest naraz i tu i tam—wszędzie. Drugi, osadzisty, a gruby jak baszta, walczy potężną siekierą, a co ją spuści druzgocze hełmy, mózgi—rozkosz patrzeć na to. Trzeci wysoki, niby tyka, wywija szalonego młynka szablą, podobną do maczugi.

Ale nieprzyjaciel ponawia atak. Udało mu się zawładnąć chorągwią łuczników. Około sztandaru zawrzała walka

straszliwa. Hiszpanie nacierają dzielnie i bronią się mężnie, ale nie oprzeć się niezdola furji tych djabłów francuskich, którzy świeżo wpadli w wir bitwy. Ten, co ich prowadził, a wydawał się najmłodszym, pochwycił z największym wysiłkiem drzewce chorągwi. To był moment decydujący. Hiszpanów stropiła niezwykajna taktyka nieprzyjaciela,



Ten, co ich prowadził, pochwycił drzewce chorągwi.

ogarnął nimi strach paniczny. Poczęli zmykać, rzucając szable, dzidy, strzelby!

Obywatele Saint-Quentin zostali panami placu boju. Nieprzyjaciel groźny uchodził. Wschodzący dzień radośnie wita zwycięzców. Odebrana chorągiew wesoło szeleści w górze. Lecz kto jest jej śmiałym zdobywcą? Kto są ci mężni, którym oręż francuski zawdzięcza tak piękną wygranę? Hej towarzysze, zdejmijcie hełmy!

Mały chorąży zdjął hełm. Z pod niego spłynęła bujna fala jasnych włosów. Zanim się twarz ukazała, Wincenty poznał włosy dzielnego chorążego. To Maturina! To ona przywodziła oddziałowi Francuzów, który tak tęgo walił wroga! Obok stoi ciotka Trapu z potężną siekierą i wyniosła kuzynka Jacquemart z szablą, podobną do maczugi.

Obywatelki Saint-Quentin'a nie posłuchały mężów.

Wczoraj zaraz powzięły ten projekt. Skąd i jak dostały broje—to ich sekret. Zapewne nie znalazły jej ani w szafach ze strojami, ani w komodach z bielizną. Więc gdzie? Nie wszyscy mężczyźni idą na pole bitwy, tego wstrzymuje choroba, tamtego rana, albo też i inna jaka przyczyna. Szable same odebrały pijanym żołnierzom. Rzuciły się w największy wir walki. Ani zgiełk bitwy, ani świst kul, ani widok pobitych nie zdołał ich przerazić. Szły na pomoc mężom. Uratowały im honor i życie. Czy podobna je było strofować za nieposłuszeństwo.

A więc Maturina walczyła wbrew woli Wincentego, a wyszła za mąż pomimo Hiszpanów. Nic nie zdołało jej zmusić do zaniechania postanowienia. Stała się też patronką każdej poczciwej pikardyjki, która chce postawić na swoim. Dobrze było by jednak przytem pamiętać, że to nie postawienie na swoim było trudne i nie ono dało Maturinie zwycięstwo i sławę, lecz wielkie serce i mężna dusza.

Z. Z.

Chiny i Chińczycy.

W jednym z ostatnich tomów „Biblioteki dzieł wyborowych” wyszło w tłumaczeniu p. H. Michałowskiego, dziełko Edmunda Plancheta p. t. „Chiny i Chińczycy”. Z ciekawej tej pracy podajemy tu najbardziej interesujący rozdział w tej myśli, iż informując o wydarzeniach dziejowych i o obyczajach chińskich, pomoże on czytelnikom do lepszego zrozumienia wypadków wszechświatowej doniosłości, rozgrywających się obecnie w różnych punktach państwa Niemieckiego.

Dynastia mandzurska Tai-Czing, obecnie panująca w Chinach, zasiadła w roku 1644 na tronie. Najpierw wypędziła z pałacu cztery tysiące eunuchów; następnie kazała uciąć głowę ich naczelnikowi, obwinionemu o knowania przeciw rządowi. Umyślne prawo, wyryte na stole spiżowym, wzbrowiło cesarzom na przyszłość wynoszenia eunuchów na stanowiska rządowe. Prawo to istnieje do dnia dzisiejszego, ale eunuchowie nieraz dobijają się wpływów olbrzymich.

Drugie prawo, dosyć dziwaczne, dynastji mandzurskiej nakazywało wszystkim Chińczykom, pod karą śmierci, golenie głowy na sposób tatarski. Pomimo srogiej kary, tysiące Chińczyków wołało umrzeć, a nie pozwoliło dotknąć swych włosów.

Szun-Czi był pierwszym cesarzem z dynastji, która panuje obecnie w Chinach. Wstępując na tron, miał lat 18. Z początku otoczył się uczonymi, lecz dowiedziawszy się, że większość z pomiędzy nich opłacała złotem egzaminatorów, ażeby zdobyć stopnie „uczonych,” skazał trzydziestu sześciu



Ogólny widok Pekinu.

z nich na ścięcie głowy. Ułaskawił tych tylko, którzy wyszli zwycięzko z powtórnych egzaminów, resztę wysłał z rodzinami na wygnanie do Tartarji, gdzie wysyłają skazanych zbrodniarzy.

W tymże samym czasie Adam Schaal, misjonarz-jezuita, objął zarząd obserwatorjum astronomicznego w Pekinie i zorganizował je na sposób europejski.

Gdy młody cesarz ujrzał się wszechwładnym panem Chin, myślał już tylko, jak wielu jego poprzedników, o używaniu i nadużywaniu rozkoszy. Przez jakiś czas cierpiął z tego powodu pomieszanie zmysłów. Zakochał się w kobiecie zameężnej, odznaczającej się niezwykłą urodą, kazał przywołać jej męża i dał mu policzek. Znieważony mąż „umarł ze wstydu”—jak pisze historyk chiński—lub też został otruty, jak twierdzi ustna legenda. Cesarz ożenił się z wdową po nim. Już podczas ceremonji zaślubin była chora i w kilka tygodni po ślubie umarła. Cesarz, który kochał ją szalenie, chciał sobie życie odebrać, lecz eunuchowie i kobiety dworskie przeszkodziły temu.

Według obyczaju mandżurskiego, kazał zabić trzydziestu mężczyzn przy zwłokach cesarzowej. Wszystkie trupy rzucono na wielki stos i spalono je na popiół.

Po spełnieniu tego obrządku ogolił głowę, biegał z pagody do pagody i spowiadał się głośno, że źle rządził, że wydawał napróżno złoto swoich poddanych, że cierpiął na dworze swoim eunuchów i w końcu, że kochał swoją żonę miłością niepowściągliwą. Wkrótce potem obrał następcą tronu jednego ze swych synów, imieniem Kang-Hi, mającego zaledwie lat ośm, lecz dodał mu czterech mądrych opiekunów. Rozkazawszy następnie przynieść płaszcz cesarski, okrył się nim i rzekł do otaczającego óworu:

— Idę do moich przodków.

I prawie w tejże samej chwili skonał. Ten założyciel dynastji mandżurskiej miał w chwili zgonu lat dwadzieścia cztery.

Kang-Hi, którego imię znaczy „niewzruszony pokój,” panował równocześnie z Ludwikiem XIV. Panowanie jego było jednym z najdłuższych i najświetniejszych; jedynie tylko trzęsienie ziemi zasepiło tę długotrwałą pogodę. Podczas trzęsienia tego w samym Pekinie zginęło 400,000 ludzi. Misjonarze, których cesarz Kang-Hi protegował i którym nadał rozległe przywileje, porównywali go z monarchą francuzkim. Niektórzy nawet dochodzą do przekonania, że władca Chin większe miał zalety od władcy Francji.

Cesarz Kang-Hi, który zostawił też po sobie znakomite

prace literackie, na kilka tygodni przed śmiercią skreślił godny uwagi testament. Dokument ten tembardziej jest interesującym, iż mówi w nim o przeszłości Państwa Niebieskiego.

„Ja, cesarz, który oddaję cześć niebu i na barkach moich spoczywają rządy, piszę ten akt i mówię: po wszystkie czasy nie było pomiędzy cesarzami, rządzącymi światem takich, którzyby za najpierwszy obowiązek nie uważali oddawania czci niebu i naśladowania przodków. Jedyń prawdziwy sposób oddawania czci niebu jest traktowanie z dobrocią tych, co są daleko, a nagradzanie podług zasług tych, którzy są blisko, dostarczanie ludom spokoju i dostatku; staranie się o to, żeby szczęście osobiste zależało od szczęścia świata; żeby państwo strzedz od niebezpieczeństw i uprzędać z mądrością nieporządku i zaburzenia, jakiego się zdaryć mogły.

„Panujący, którzy podług tego planu pracują od rana do wieczora i zajmują się nim podczas snu nawet, którzy tworzą projekty, mające na celu dobro publiczne, ci panujący, powiadam, wypełniają swoje obowiązki.

„Ja, cesarz, który mam teraz lat siedemdziesiąt, a z nich sześćdziesiąt panowałem, zawdzięczam wszystkie dobrodziejstwa nie mojemu słabemu rozumowi, lecz pomocy niewidzialnej nieba i ziemi, pomocy moich przodków, pomocy boga, który kieruje rolnictwem w cesarstwie. Według chronologii i historii, od czasu panowania Hang-Ti upłynęło więcej niż cztery tysiące trzysta pięćdziesiąt lat, a przez tak wielką ilość wieków rachują trzystu i jeden cesarzy, których mała tylko liczba panowała tak długo, jak tylko można.

„Po mojem wstąpieniu na tron, kiedy dobiegał dwudziesty rok mego panowania, nie śmiałem obiecywać sobie, że ujrzę trzydziesty, a kiedy dobiegał trzydziesty, nie śmiałem obiecywać czterdziestego; dziś jestem w sześćdziesiątym roku panowania.

„Powiadają, że szczęście składa się z pięciu pomyślności: długie życie, bogactwo, spokój, zamiłowanie cnoty i śmierć szczęśliwa. Śmierć szczęśliwa jest w pierwszym rzędzie tych pomyślności, dlatego pewnie, że trudno jej dostąpić.

„Wiek mój obecny dowodzi, iż żyłem długo; co się tyczy bogactw, posiadałem wszystko, co jest w czterech morzach. Jestem ojcem stu pięćdziesięciu synów i wnuków; córek musi być większa liczba. Pozostawiam cesarstwo w spokoju i radości; to też błogość, jakiej zażywam, może być nazwana wielką. Przeżywszy tyle, jeżeli nie zdarzy się jaki nieszczęsny wypadek, umrę zadowolony.

„Zrobię jednak uwagę jedną. Chociaż odtąd jestem na tronie, nie śmiem twierdzić, że zmieniłem złe nawyki i zreformowałem obyczaje; choć nie udało mi się dostarczyć każdej rodzinie dostatku i zaspokoić potrzeb każdego człowieka i nie mogę w tym względzie równać się z mądrymi cesarzami trzech pierwszych dynastji, jednak zdaje mi się, iż mogę zareczyć, że w ciągu długiego panowania nie miałem innych widoków, jak dać państwu pokój stały i uczynić ludy moje zadowolone ze stanu swego i profesji; temu poświęciłem starania gorliwe i pracę bez wytchnienia. W szeregu cesarzy są tacy, którzy krótko panowali, a historycy biorą z tego asumpt do krytyki, przypisując ich namiętnościom niepomiarkowanym do wina i kobiet tę śmierć przedwczesną; robią z tego regułę ogólną, bez wyjątku, a zdaje im się, że zdobywają prawdziwą zasługę, poszukując wad w książećtach bez zarzutu.

„Chcę dziś usprawiedliwić pod tym względem obronę jasną i nie dopuszczającą zaprzeczenia cesarzy z dynastji, które poprzedzały moją; mnóstwo niezliczone spraw, jakimi byli przeciążeni, a z tego powodu trudy i zmartwienia, przyczyniły się do skrócenia ich życia.

„Ze wszystkich dynastji, które następowały po sobie, aż do chwili obecnej, żadna nie zdobyła cesarstwa chińskiego, tak sprawiedliwie, jak moja. Tai-Tsu, mój pradziad, który jest jej założycielem, i Tai-Tsung, mój dziad, zrazu nie mieli żadnej chęci opanowania Chin. Tai-Tsung mawiał: Toczmy oddawna wojnę z Chinami, a dziś z łatwością przyszloby mi zapanować nad tym krajem. Lecz uważam, iż kraj ten należy do tego, kto nim rządzi, i nie mogę się zdecydować, żeby mu go odebrać.

„W dalszym ciągu, uporczywy Li-tse-tczing zdobył miasto cesarskie Pekin, a cesarz Tsun-Tszing powiesił się, żeby nie wpaść żywcem w jego ręce; wtedy lud i dostojnicy chińscy wyszli naprzeciw nas. Po zupełnym zgnieceniu buntowników, weszliśmy do Pekinu i zasiadliśmy na tronie nieboszczyka, któremu sprawiliśmy pogrzeb według rytuału.

„Han-Kao-Tsu, założyciel dynastji Han, był tylko prostym naczelnikiem wiejskim; a Aung-Wu, założyciel dynastji Mingkw, biednym bonzem, Hiang-Yu, który ujął za broń i zbuntował się przeciw ostatniemu cesarzowi Chin, był o wiele potężniejszym niż Han-Kao-Tsu; jednak temu ostatniemu cesarstwo przypadło. Nasza dynastja, oparta na czynach sławnych moich przodków, którzy posłuszni byli niebu i stosowali się do woli ludów, posiada dziś to cesarstwo. Przeznaczenie cesarzy jest nakreślone prawami z nieba po-

chodzącemi; idąc za tem przeznaczeniem, jeżeli mają cieszyć się długim życiem, nic nie może temu przeszkodzić; a jeżeli mają używać pokoju prawdziwego, nic nie jest zdolnem go zamać.

„Ja, cesarz, przykładałem się od dzieciństwa do nauki mądrości; i nabyłem wiadomości z wiedzy dawnej i terażniejszej. W sile wieku mogłem naciągać łuki o piętnastu siłach i wypuszczać strzały na trzy palmy długie; umiałem robić broń i stawałem na czele mojej armji; mam w tem wszystkim dużo doświadczenia. Przez ciąg mego życia nie skazałem na śmierć nikogo bez powodu. Uśmierzyłem bunt trzech królów chińskich; uwolniłem północ od band Szamo,



Cesarzowa-wdowa.



Li-Hung-Czang wicekról Kantonu.

a wszystkie te wyprawy obliczałem i przeprowadzałem na podstawie długich rozmyślań.

„Nie roztrwonilem nic nieużytecznie ze skarbów cesarstwa, których straż oddana jest osobnym urzędnikom: jest to krew ludu! Czerpałem z nich tyle tylko, co było potrzebne do utrzymania armji i na zasiłki w razie głodów. Nie pozwoliłem, żeby wybijano materjami jedwabnymi mieszkania w domach prywatnych, gdzie przebywałem podczas podróży moich po cesarstwie, a wydatki w każdym miejscu nie przynosiły dziesięciu do dwudziestu tysięcy uncji srebra (75 lub 150,000 franków). Jeżeli się zauważy, że wydawa-

łem więcej niż trzy miliony uncji srebra na utrzymanie i naprawę tam, przekona się, że mój wydatek osobisty nie dochodził setnej części tamtego.

„Ja, cesarz, mam więcej niż stu synów lub wnuków, a mam lat 70. Królowie, dostojnicy, oficerowie, żołnierze, ludy, wszyscy okazują przywiązanie do mojej osoby, żałują, iż widzą mnie w takim późnym wieku. W takich pochlebnych okolicznościach, jeżeli skończę moją długą wędrówkę, opuszczę świat z zadowoleniem.

„Yung-Tszing, czwarty z moich synów, jest człowiekiem rzadkich zdolności. Książę ten ma dużo podobieństwa do mnie i nie wątpię, że będzie zdolny przyjąć i nieść ciężar wielkiej ojczyzny: rozkazuję, żeby po mnie wstąpił na tron i objął w posiadanie godność cesarską. Zgodnie z przepisami, żałoba po mnie trwać będzie dwadzieścia siedem dni tylko. Rozkazuję, ażeby akt ten był opublikowany na dworze i we wszystkich prowincjach, aby wszyscy wiedzieli, co się w nim zawiera.“

Kang-Hi umarł 20-grudnia 1722 roku, mając lat 70. Przepędził, jak zwykle, ostatnie lato po za Wielkim Murem; polując na lamparty zaziębił się i umarł prawie nagle.

Uroczysty był pogrzeb cesarza Kang-Hi. Przez sto dni trwania żałoby ogólnej, nie wolno było żadnemu Chińczykowi ubierać się w jedwabie, golić się, żenić, ani nawet nucić u siebie, czy na ulicy najmniejszej śpiewki.

To też sto pierwszego dnia po pogrzebie całe Chiny zmieniły wygląd; golono się na gwałt, zawierano związki małżeńskie, po kilkaest w jednym dniu. Po skończeniu żałoby niepodobna było Europejczykom docisnąć się do teatrów, a z łodzi kwiatowych rozlegały się głosy śpiewaczek chińskich, które po długim odpoczynku rozdierały powietrze melodjami, przez nos śpiewanemi.

Syn cesarza Kang-Hi, panujący od r. 1723 do 1736 pod imieniem Jung-Czenga, nie odstąpił od tradycji. Szanował prawa i przepisy przez rodzica ustanowione, ale chrześcijan prześladował. Następca jego, Kien-Lun, wojował w Turkestanie, Birmanji, Kochinchinie, ale powodzenie mu nie dopisywało. Panował lat 60, do roku 1796. Za jego czasów państwa europejskie, a głównie Anglja, pragnęły koniecznie wcisnąć się do Chin. W r. 1793 bawiło nawet przez czas pewien poselstwo angielskie w Pekinie, ale nic nie uzyskało.

Mając lat 85, cesarz Kien-Lung złożył rządy w ręce syna swego, cesarza Kia-King, poczem w dwa lata rozstał się z życiem. Kia-King wrócił do dawniejszych tradycji: na dworze zaczęły panować rozpusta i intrygi; rządy pochwycili

eunuchowie. Wnet po całym kraju rozpoczęły się spiski, potworzyły się sekty rozmaite, występujące przeciwko eunuchom, a nawet przeciwko panowaniu dynastji mandzurskiej. Jedna z tych sekt, zwana „Lilją Wodną,“ zdobyła w r. 1813 pałac cesarski.

Rozbójnicy na lądzie i rzekach pustoszyli kraj i tak już upadający pod ciężarem wadliwej administracji. Rozterki pomiędzy mandarynami a misjonarzami europejskimi stały się coraz ostrzejsze. W Kantonie dopuszczono się kilkakrotnie gwałtów przeciw cudzoziemcom.

Śmierć Kia-Kinga w r. 1820 nie położyła kresu temu stanowi rzeczy. Za panowania Tau-Kuanga (do r. 1850) nie lepiej, a nawet pod pewnemi względami gorzej się działo. Panowanie to zasłynęło sporem z Anglikami o sprzedaż opium. Spór doprowadził aż do wybuchu wojny, która w r. 1842 zakończyła się zwycięstwem Anglików i oddaniem im w zupełne posiadanie miasta Hong-Kong.

Wówczas też po raz pierwszy otwarto pięć portów chińskich dla wolnego handlu z Europejczykami. Były to miasta: Kanton, Amoy, Fu-czeu, Ning-po i Szang-haï. W miastach tych wydzielono Europejczykom oddzielne terytorja („koncesje“), w których mieszkali, niezależni od władz chińskich i podlegli jedynie tylko administracji miejscowego konsula-europejczyka.

W ślad za Anglją poszły Stany Zjednoczone i Francja; oba te mocarstwa wyrobiły sobie pewne przywileje. Francuzom dozwolono w niektórych miastach i prowincjach budować kościoły chrześcijańskie, zakładać szkoły, urządzać szpitale.

Ustępstwa te budziły wielkie niezadowolenie wśród Chińczyków. Potworzyły się rozmaite tajne stowarzyszenia i zorganizowały bunt, znany i obszernie opisywany pod nazwą „powstania Tajpingów“. Powstanie to wypełniło niemal cały czas panowania cesarza Hien-Funga od r. 1850 do 1862. Tak strasznych rzezi, takich mordów, jakie działy się wówczas, nie pamiętają dzieje ludzkie. Nie dziesiątkami, ani setkami, ale tysiącami mordowano ludzi w otwartem polu lub podstępnie.

Tajpingowie zdobyli kilka prowincji i założyli oddzielne państwo z stolicą w Nankinie, gdzie panował uzurpator Tin-wang, mieniący się potomkiem cesarza z dynastji chińskiej Ming.

Równocześnie rząd pekiński, skutkiem zajęcia wrogiego stanowiska przeciw Europejczykom, naraził się na wojnę z Anglją i Francją. Podobno przyczyną tej wojny była żona

Hien-Funga, cesarzowa Tsu-Hsi, kobieta do najwyższego stopnia ambitna, a zarazem nienawidząca Europejczyków. Za jej poduszczeniem zaczęto prześladować, a nawet mordować chrześcijan; Anglja i Francja stanęły w ich obronie. W czasie wojny zdobyto Pekin, zniszczono, zburzono niemal doszczętnie pałac cesarski. I znów Chińczycy musieli zapłacić ogromne koszta wojenne i ustąpić Europejczykom znaczne koncesyje.

Gdy cesarz Hien-Fung zmarł w roku 1862, na tron wstąpił 5-letni cesarz Tsung-Czy. Rządy państwa sprawowała regencja pod przewodnictwem cesarzowej-wdowy. Regencja ta w okrutny sposób stłumiła powstanie Tajpingów.

Od tego czasu Tsu-Hsi jest najpotężniejszą i najbardziej wpływową osobistością w Państwie Niebieskiem. Wprawdzie w r. 1873 musiała oddać rządy w ręce młodocianego cesarza, ale gdy ten zmarł bezpotomnie w r. 1875, ustanowiła się regentką dla jego 4-letniego podówczas następcy, cesarza Kuang-Hsu. Cesarz ten jest synem księcia Chun, brata cesarza Tsun-Czy. Tytuł jego brzmi dosłownie: Tsu-hai-tuan-yn-kang-i-chao-yn-chuang-cher-g-szaukung chin-hsien-chung-hsi.

Przed kilku laty urzędowa „Gazeta Pekijska“ pomieściła następujący dowód hołdu i uznania młodego cesarza dla swojej ciotki:

„Nadludzka dobroć czcigodnej cesarzowej-wdowy świec jak słońce. Jej niezgłębiona przezorność ratuje nasze państwo. Dzięki jej zabiegom, mamy pokój zapewniony. Od chwili wstąpienia na tron ocenialiśmy jej dobrodziejstwa. Z prawdziwą radością stwierdzamy pożądaný stan zdrowia Jej najczcigodniejszej Dostojności. W roku 1894 cesarzowa dosięgnie 60-go roku życia. Obowiązkiem naszym będzie wówczas, na czele urzędników i ludu, w imieniu całego państwa złożyć hołd jej niespożytem zasługom i prosić o wszelkie dla niej błogosławieństwa.“

Aż do roku 1889, to jest do obwieszczenia pełnoletności jej siostrzeńca, ta energiczna ciotka i przybrana matka dzierżyła w silnych dłoniach ster państwa i potrafiła zdobyć posłuch i szacunek nawet u najprzebieglejszych mandarynów. Potem pozornie usunęła się zupełnie od rządów. Uwaga Europy zwróciła się na nią dopiero w r. 1898 skutkiem przyjęcia, udzielonego przez nią księciu Henrykowi pruskiemu. Eks-regentka po raz pierwszy w życiu wyszła po za mury swojego pałacu i przybyła do Pekinu. Nieprzychylna jej kamaryla podniosła wrzawę; starano się intrygować przed cesarzem, aby ją usunąć od przyjść dworskich, ale jej wpływ

przemógł. Pozostała przy boku siostrzeńca, a ze zwykłym sobie sprytem zorientowawszy się szybko w sytuacji, sama ustanowiła ceremonjał. Przyjęcie trwało dziesięć minut za ledwie. Książę przybył w asystencji kapitana floty, Müllera, ambasadora barona Heykinga i tłumacza barona v. d. Goltza. Audjencja odbyła się w sali, przybranej piwonjami w przepysznych wazonach porcelanowych i bronzowych. Cesarzowa siedziała przed stołem, na którym piętrzyły się dwie piramidy z pomarańcz. Zamiast dam dworskich, 64-letnią cesarzową otaczali eunuchowie, liczni bardzo na dworze chińskim.

Tsu-Hsi ubrana była po mandżursku, nie miała na twarzy zastony; w pierwszej chwili milczała, świdrując księcia swojemi rozzumnymi oczyma, potem poprowadziła żywą rozmowę. Książę Henryk oświadczył jej, że damy europejskie pragnęłyby zostać przyjęte u dworu; obiecała, że temu życzeniu stanie się zadość, lecz nie prędzej jak w r. 1899 w połowie stycznia, gdyż wtedy przypada audjencja.

Od owego czasu tyle zmian zaszło w Państwie Niebieskiem, że damy europejskie poszły w zapomnienie.

O cesarzowej Tsu-Hsi biografowie jej podają następujące jeszcze szczegóły:

Córka ubogich rodziców, mieszkających na jednym z przedmieść Kantonu, niezwykłą urodą zwróciła na siebie uwagę pewnego „generała“, który ją kupił od rodziców i pojął za żonę. Przedstawiona u dworu, podbiła odrazu serce panującego wówczas cesarza, Hien-Funga, i generał otrzymał rozkaz odstąpienia swej żony monarsze. Gdy zaś następnie obdarzyła ona cesarza synem — z prawą małżonką swoją nie miał Hien-Fung wcale dzieci — otrzymała nazwę Tsu-Hsi i podniesioną została do godności cesarzowej pałacu zachodniego i cesarzowej-matki; żona pierwsza nosi zawsze w Chinach tytuł „cesarzowej wschodniej“, gdyż wschód jest zawsze stroną honorową dla dążącego na południe Chińczyka.

Po śmierci Hien-Funga cesarzowa Tsu-Hsi dzieliła przez pewien czas władzę z drugą regentką, ową właśnie „cesarzową wschodnią.“ Później, po śmierci cesarza Tsung-Czy, znów obie sprawowały regencję, usunąwszy wdowę po zmarłym.

Wprawdzie w r. 1879 były cenzor, Wukotu, przedstawił tronowi obszerny memorjał, w którym wykazał, iż postępowanie regentek jest prawu przeciwne, a oświadczenia ich w edykcje zawarte niewystarczające, poczem, zgodnie ze zwyczajem chińskim, odebrał sobie życie, aby dowieść

swojej dobrej wiary i bezinteresowności, lecz nie zmieniło to stanu rzeczy.

Dzięki dwóm zamachom stanu, cesarzowa Tsu-Hsi coraz większą część władzy zagarniała w swoje ręce, tak, że gdy w r. 1881 dostojne regentki nie mogły się w pewnych kwestiach pogodzić, regentka starsza padła nagle ofiarą choroby, której siedliskiem serce rzekomo być miało.

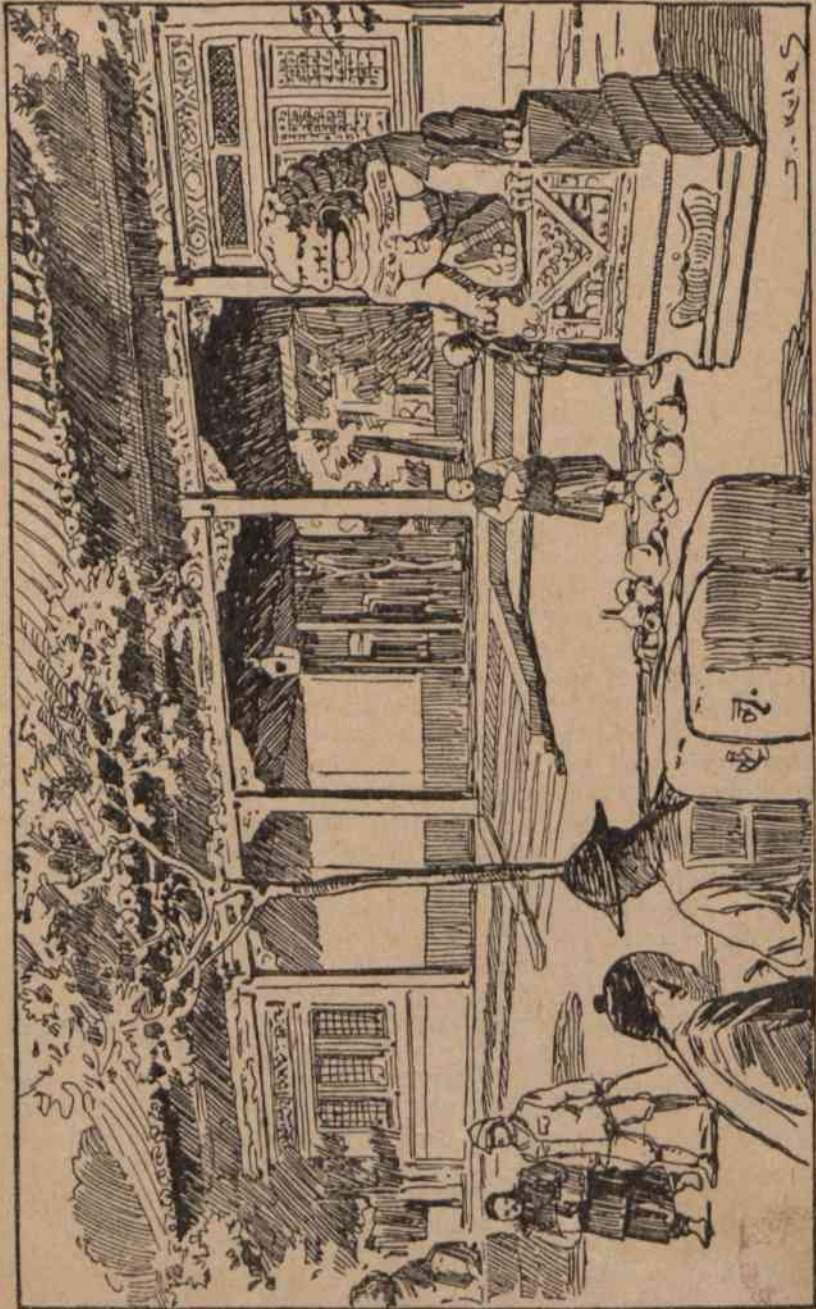
W jednym z ówczesnych numerów „Gazety Pekińskiej“ znajduje się testament zmarłej cesarzowej-regentki. Krótki on jest, ale charakteryzuje w pewnej mierze uczucia, które go dyktowały:

„Mam lat 45, a przez dwadzieścia pięć lat miałam do cesarstwa przywiązanie matki. Dzieliłam wszystkie jego radości; wielką cześć mi oddawano za mój udział w rządach. Umierając, całą myśl moją zwracam do cesarza, który pozna, co to jest strata krewnej przywiązanej i jaki smutek po takiej śmierci się odczuwa. Lecz osoba cesarza należy do państwa i dlatego władca Chin powinien unikać wielkiego żalu, aby mieć umysł swobodny do rządów i nie zasmucać cesarzowej, która mnie przeżyła. Proszę władze cywilne i wojskowe, ażeby, jak w przeszłości, dobrze spełniały swoje obowiązki. Jeżeli z okazji mojego pogrzebu nie można będzie zaniechać wielkich modlitw i wielkich ofiar, żądam przynajmniej, ażeby cesarz nosił po mnie żałobę tylko przez dni dwadzieścia cztery. Wiadomo, jak oszczędną byłam w wydatkach osobistych, dlatego też, jeżeli wielkich ceremonji nie można będzie uniknąć, chcę przynajmniej, żeby ciało moje jak najskromniej ubrano. Będzie to odpowiedniem do przyzwyczajień całego życia mojego, a tego właśnie pragnę. Oto moja wola, spisana w ciągu kilku chwil, jakie mi pozostają do śmierci.“

Istotnie, cesarzowa-regentka wyzionęła ducha w kilka godzin po spisaniu powyższego testamentu. Wiadomości urzędowe ogłosiły, iż zmarła „z powodu żalu, którego nie mogła ukoić po śmierci monarchy“.

Tsu-Hsi, nazwana odtąd cesarzą-wdową, pozostała jedyną władczynią, a jakkolwiek pozornie na czele spraw państwowych stał ks. Chun, wpływ jego malał coraz bardziej wobec wzmagającej się przewagi Li-Hung-Czanga, który od nominacji na wice-króla prowincji Czili w r. 1870 wzrastał stale w łaskach cesarzowej.

Jako Chińczyk wszakże, nie mógł Li-Hung-Czang zająć pod rządami dynastji mandżurskiej tego stanowiska, jakiego godnym byłby tylko jej członek. Książę Chun musiał tedy zostać pierwszym ministrem, jakkolwiek prawo chiń-



Gmach poselstwa angielskiego w Pekinie, dokąd się schronili posłowie zagraniczni.

skie zabrania, żeby ojciec sprawował służbę u syna; z biegiem lat umiał pozyskać zaufanie cesarza, co wzbudziło w cesarzowej podejrzenie; gdy zaś margrabia Tseng po długoletnim pobycie w Europie powrócił do Chin, a ks. Chun przyswoił sobie wnet jego liberalne zapatrywania, obawy cesarzowej i Li-Hung-Czanga wzmożyły się jeszcze.

Ale szczęście nie opuszczało ambitnej kobiety. W r. 1890 margrabia Tseng zmarł w sile wieku męskiego, a w kilka miesięcy po nim śmiertelna choroba położyła kres życiu ks. Chun. Tsu-Hsi była zatem znów nieograniczoną władczynią i pozostała nią po dojściu cesarza do pełnoletności, jakkolwiek pozornie abdykowała.

Jakie są poglądy cesarzowej-wdowy na sprawę krzewienia chrześcijaństwa w Chinach, dowodem urzędowym jest następujący edykt, wydany przez nią przed dwoma laty.

„Kościoły wyznania katolickiego, którego krzewienie zostało oddawna dozwolone w naszym państwie przez rząd cesarski, budują się obecnie we wszystkich prowincjach chińskich. Pragnęlibyśmy, aby chrześcijanie i lud nasz żyli z sobą w zgodzie, a dla ułatwienia protektoratu postanowionem zostało, że władze miejscowe będą utrzymywały stosunki z misjonarzami na następujących warunkach:

1). Ponieważ biskupi w dostojństwie i randze kościelnej hierarchji są równi wicekrólom i gubernatorom, będą więc mogli widywać się z wicekrólami i gubernatorami. W razie, gdyby dany biskup był powołany w interesach do swego kraju lub gdyby umarł, zastępujący go kapłan ma prawo odwiedzać wicekróla i gubernatora. Wikariuszom generalnym i dziekanom wolno widywać się ze skarbnikami, sędziami prowincjonalnymi, oraz intendentami. Innym kapłanom wolno widywać i odwiedzać: prefektów 1-ej i 2-ej klasy, prefektów niezależnych, podprefektów i innych urzędników. Wicekrólowie, gubernatorowie, sędziowie prowincjonalni, skarbnicy, intendenci, prefekci 1-ej i 2-ej klasy, prefekci niezależni, podprefekci i inni urzędnicy obowiązani są, naturalnie wedle swej rangi, oddawać im wizyty.

2). Biskupi mają przedstawić listy księży, którym dadzą pełnomocnictwo do rokowania z władzami; mają przytem wskazać nazwiska księży i miejsce ich zamieszkania. Te listy winny być przesyłane wicekrólowi lub gubernatorowi, który rozkaże swoim podwładnym przyjmować ich stosownie do ustawy. Kapłani, żądający audjencji u władz miejscowych lub wyznaczeni do rokowania w interesach, winni być Europejczykami. Jeśli zaś kapłan europejski nie zna dostatecznie języka chińskiego, wolno mu wziąć z sobą kapłana chińskiego w charakterze tłumacza.

3). Zbytecznem jest, aby biskupi, zamieszkujący po za obrębem miast, udawali się z odległych punktów do stolicy prowincjonalnej, aby prosić o audjencję wicekróla lub gubernatora, jeśli nie mają do nich interesów. Gdy nowy wicekról lub gubernator przybędzie na swoje stanowisko, lub gdy biskup będzie przeniesiony i przybędzie świeżo, lub w razie powinszowań z powodu Nowego-Roku i innych większych świąt, biskupom wolno jest pisać listy prywatne do wicekrólów i gubernatorów i przysyłać im karty. Wicekrólowie i gubernatorowie powinni im oddawać te grzeczności. Inni księża, tranzlokowani lub przybywający świeżo, będą mogli, wedle swej godności i rangi, widywać się ze skarbnikami, sędziami prowincjonalnymi, intendentami, prefektami 1-ej i 2-ej klasy, prefektami niezależnymi, podprefektami i innymi urzędnikami, jeśli będą mieli listy polecające od swoich biskupów.

4). Gdy w którejjądź prowincji wyniknie sprawa nagła i ważna, biskup i misjonarze mają prawo wezwać interwencji ambasadora lub konsulów mocarstwa, któremu Papież oddał protektorat religijny. Ci ostatni regulować będą sprawę bądź z Tsung-li-yamenem, bądź z miejscowymi władzami. Aby oszczędzić zbytecznych trudów, biskup i misjonarze będą mogli zwracać się naprzód do władz miejscowych; wolno im traktować i kończyć z nimi sprawy. Gdy biskup lub misjonarz przybędzie w interesie do mandaryna, ten obowiązany jest przyjąć go odrazu i starać się sprawę załatwić.

5). Władze miejscowe obowiązane są w razie potrzeby, wzywać miejscową ludność do zgody z chrześcianami; nie powinny podbudzać do nienawiści i wytwarzać niesnasek. Biskupi i kapłani tak samo winni wzywać chrześcian do zgody, jedności, pełnienia cnót i dobrych uczynków, a to, żeby utwalić dobrą sławę religji katolickiej i pobudzić naród do wdzięczności. W razie zatargu pomiędzy ludem, a chrześcianami, władze miejscowe powinny sądzić sprawiedliwie, a tak samo misjonarze powinni udzielać opieki i parcia tylko sprawom słusznym, a to, żeby naród i chrześcianie mogli żyć w zgodzie“.

Pomimo powyższego edyktu, zgoda nie może jakoś zapanować. Niektórzy utrzymują, iż cesarzowa-regentka w głębi serca zupełnie odmienne żywi przekonania od tych, jakie cechują jej edykt w sprawie wyznań chrześciańskich.

Cesarzowa Tsu-Hsi, która od lat 40 nie opuszczała swego pałacu, a wskutek tego nie mogła mieć pojęcia, jak świat wygląda, dziś jeszcze nie pojmuje, że Chiny dlatego

tylko istnieją jeszcze, jako państwo samoistne, że nie zdecydowano się dotąd na jego rozbiór. Ma ona tylko jedno życzenie: zatrzymać w swych rękach władzę, jak długo żyje, i używać tego życia, ile można.

Kwestje rządzenia pozostawia swym ulubieńcom i radcom zaufanym; reforma, czy reakcja są jej zupełnie obojętne, jak długo nie dotyczą jej własnych, osobistych interesów. Smutno usposabia ją tylko ogólna bieda pieniężna, zmuszająca ją do ograniczenia się w wydatkach, lub powtarzające się ustawicznie pogłoski o zamachach napawają ją trwogą o życie.

Dostęp dla Europejczyka do oblicza cesarza lub cesarzowej-regentki jest prawie niemożliwy. I mnie, pomimo listów polecających, nie dano dostąpić tego zaszczytu, poprzestałem więc jedynie na zwiedzeniu apartamentu cesarskiego.

Apartament ten składa się z siedmiu pokoiów. W każdym znajduje się kang, czyli sofa, używana powszechnie w północnych Chinach. Kangi te są pokryte materją wełnianą z fabryk krajowych i obłożone poduszkami, ozdobionymi feniksem i smokiem. Podłoga zasłana pięknymi dywanami z fabryk europejskich.

Na sofach, stołach, na wykwintnych etażerkach rozrzucona masa przedmiotów artystycznych. Cesarz sypia na szerokim łożu z Ning-Po, bogato inkrustowanym złotem i kością słoniową. Na tem samym łożu sypiał niegdyś sławny jego przodek, Han-Hi. Tak samo jak tamtemu, usługują eunuchowie na klęczkach.

Ośmiu eunuchów nie odstępuje cesarza ani na chwilę. Niekiedy jest ich więcej, jeżeli wymaga tego ceremonia religijna. Matka odwiedza go raz na miesiąc tylko; klęka przed nim podczas pierwszych słów, następnie stoi. Ojciec tak samo postępuje.

Bardzo jeszcze młody cesarz uczy się codzień języka chińskiego przez półtorej godziny i mandzurskiego przez tyleż czasu. Dwie godziny zajmuje się strzelaniem z łuku, jazdą na koniu, a w zimie chodzi na ślizgawkę. Profesorowie, kiedy był jeszcze dzieckiem, klęczeli zawsze w jego obecności, później wolno im było udzielać lekcji stojąc.

Kiedy monarcha udaje się do Tiang-Szu, gdzie znajdują się groby jego przodków cesarskich, towarzyszą mu dwie cesarzowe i 30,000 ludzi orszaku; są to księżeta, mandaryni, przestrzegacze porządku na uroczystościach, chorążowie i tragarze lektyk.

Na kilka dni przed uroczystością szeroka droga wysy-

pana jest piaskiem, przybrana w chorągwie aksamitne, niebieskie i białe, a na stołach, nakrytych złotymi kobiercami, ustawionych w pewnych odległościach, wypisane są słowa: *Yu-Tao* (Droga Cesarska).

Najsurowsze środki bywają przedsiębrane, nawet w stolicy, aby ochronić panującego przed wzrokiem profanów. Nie tylko każdy obowiązany jest zamykać drzwi, kiedy cesarz przejeżdża ulicą, lecz przystęp do murów miejskich jest wzbroniony w obawie, aby z ich wysokości jaki niepowołany nie zobaczył orszaku.

Nie do pozazdrosczenia wcale jest los władcy Państwa Niebieskiego. Jarzmo nieubłaganej etykiety, której poddawać się musi z pokorą najuległego niewolnika swego państwa, z pewnością mu życia jedwabnem nie czyni. Ci, którzy zapoznali się z artykułami tego srogięgo katechizmu form zewnętrznych, obowiązujących bogdychana chińskiego, wcale mu nie zazdroszą ani jego tytułu, ani bogactw, ani władzy. Naprawdę, nie ma mu czego zazdrościć.

W pałacu cesarza mieszka olbrzymi przyboczny jego orszak, wynoszący z górą 8,000 osób. Dzieli się on na radę przyboczną bogdychana, na jego dworzan, seraj i straż. Życie każdego z tej liczby 8,000 jest poddane w każdym najmniejszym ruchu i objawie najściślejszej kontroli etykiety dworskiej. Mimo to jeszcze każdy może się czuć szczęśliwym w porównaniu z samym bogdychanem, skępowanym przepisami tej etykiety dworskiej do niemożliwości. Ta etykieta każdy niemal jego krok, każdy ruch stara się uczynić czemś wzniosłym, otoczyć go nimbem tajemniczości, wogóle przedstawić go w tem świetle, iżby zmuszał poddanych do uwielbienia niezmiernie potęgi i władzy bogdychana. Obowiązkiem jego jest udzielać audjencji w sali „spraw nieba i ziemi“, konferować z urzędnikami państwa w sali „niebiańskiej czystości“, a jak najczęściej przebywać w sali „najlepszej miłości i pokoju“.

Zazdroszą temu władcy wspaniałego harem. Zupełnie niesłusznie!... Bo pomyśleć sobie, że biedaczysko nie może nawet z niego dowolnie korzystać, lecz zdawać się musi na los przypadku. Oto gdy bogdychan chce którą z swych huryszek uszczęśliwić, otwiera specjalną kosztowną kasetkę, w której znajduje się specjalna dla każdej odaliski bogdychańskiej marka. Bogdychan odwraca którą z nich na drugą stronę, gdzie znajduje się tajemniczy znak, odznaczający jedną z mieszkańek bogdychańskiego harem. Przychodzi naczelnny eunuch, odczytuje znak tajemniczy i wedle niego

dostarcza władcy wylosowaną piękność, strojną w powłóczyste, miękkie, z czerwonego jedwabiu szaty.

I tak w każdej najmniejszej okoliczności życia musi on słuchać tej uprzykszonej drobnostkowej etykiety, nie pozbawionej może pewnej wschodniej poezji, ale też trącej grubem i niesmacznem barbarzyństwem. Gdy bogdychan np. uczuwa apetyt na pewną potrawę, czy owoc, to jego przyboczni oficerowie „od stołu“ patrzą natychmiast skrzętnie do kalendarza, czy przypadkiem potrawa ta lub owoc nie jest w owym dniu zakazany. Choć kalendarz pozwala, to jeszcze zbierają się lekarze przyboczni, aby oznaczyć ilość tej potrawy i czy na skonsumowanie jej pozwala cenny żołądek bogdychańskiej mości.

Prawdziwy jest jednak już kłopot z galowym obiadem. Odbywa on się w olbrzymim, specjalnie na ten cel wzniesionym pawilonie, zdobnym kolumnami z jaspisu, marmurowymi balustradami i ibisami z brązu. W głębi sali widnieją dwa zegary: słoneczny i księżycowy, które dokładnie wymierzają czas trwania obiadu. Otoczony swą przyboczną świtą, wchodzi bogdychan i siada na bardzo niskim, ale bogato rzeźbionym tronie. Trzykrotny trzask bata przez naczelnego eunucha oznacza początek obiadu. Ukryta za krzewami bambusowemi orkiestra gra wspaniałego marsza, a bogdychanowi podają przyboczni oficerowie mały stoliczek z herbatą, którą wypija tak, jak my wódkę przed obiadem. Po dziewięciokrotnem padnięciu na twarz, a pięciokrotnem przyklęknieniu zbliża się dwór cały pełen uszanowania do stołu i siada.

Nie po to wcale, żeby jeść, lecz po to tylko, aby asystować podczas odżywiania się jego bogdychańskiej mości. Jeść mogą w obliczu władcy tylko ci, co należą do najbliższej jego rodziny.

Gdy cesarz objawi zamiar napicia się czegoś, podczaszy narzuca z pośpiechem na plecy płaszcz szkarłatny, zdobny w haftowane smoki, i zbliża się pełen uszanowania, aby napełnić puhar bogdychański. Gdy bogdychan przytknie swe wargi do czaszy, aby się napić, wszyscy obecni zwracają swe oczy na zachód.

Po skończonym obiedzie wszyscy wychodzą na rozległy taras pawilonu, rześście oświetlony żółtymi lampionami, aby się przypatrzeć tańcom bajaderek, płasających w takt upajającej melodji.

Gdy cesarz Kuang-Su doszedł do pełnoletności, cesarzo-wa-regentka wybrała mu małżonkę. Wybór jej padł na córkę prefekta z Sze-Kiang. Mówią, że jest piękna, wykształ-

cona i nie zrównanie dystygowana. Regentka uzupełniła swoje zadanie, wybierając, prawie w tym samym dniu piękności chińskie: „kwiaty herbaciane“ lub „kwiaty lotosu“, które mają składać harem przyszłego małżonka. Liczba małżonek z lewej ręki jest nieograniczona, wogóle jednak nie przewyższa trzystu.

Dziwnie różnią się obyczaje i uczucia, wedle klimatów i szerokości geograficznych! Dzika zazdrość, która w Europie tak szkaradną rolę przeznacza dla witrjolu, nieznaną jest w Chinach: żony prawe i nałożnice żyją pod jednym dachem w tak kompletnej zgodzie, jak kury w jednym kurniku.



Ulica poselstw zagranicznych w Pekinie.

Oslabienie i wyczerpanie organizmu społecznego w Chinach wynikło w znacznej mierze ze stanowiska, jakie w Niebieskiem Państwie zajmuje kobieta. Los Chinki od urodzenia aż do śmierci jest bardzo ciężkim. Gdy się rodzinie chińskiej urodzi syn, witany jest bardzo radośnie. Schodzą się ze wszystkich stron krewni i przyjaciele z cennymi i symbolicznymi podarkami.

Zupełnie inaczej witają córkę, a zwłaszcza taką, która nie ma jeszcze braci. W rodzinie panuje nastrój pogrzebowy, krewni i przyjaciele przychodzą z wyrazami współczucia. Zdawałoby się, że dziewczyny mają wartość tylko przez

to, że mogą dać życie synom, których modlitwy i ofiary zapewnią szczęście na tamtym świecie.

Dzieciobójstwo, stanowiące w Chinach zwyczaj uświęcony przez opinię publiczną i w niektórych prowincjach zabierające po 30% noworodków, stosowane bywa przeważnie do dziewczynek.

W Foo-Chow matki opowiadają z zupełnym spokojem, że zabiły po cztery lub pięć dziewczynek przez uduszenie lub utopienie. Niemal wszędzie w cesarstwie chińskim widoczna jest przewaga liczebna mężczyzn. Śmierć natychmiastowa lepszą jest jednak dla niewiniątek, niż śmierć powolna, niż męczarnia w chińskich domach podrzutków.

Zaleta małej nogi wpływa ogromnie na rodzaj życia Chinki i jest głównym powodem jej fizycznego zwyrodnienia. Nieraz po kilka lat upływa, zanim wyjdzie ze swego mieszkania. Przysłowie chińskie mówi, że „dziewczyna podobną jest do młodego i pięknego bambusu, który rośnie po za płotem ogrodu“. Młode Chinki zaręczają się bardzo często w piątym lub szóstym roku życia. Aż do zamążpójścia nie widzą swych narzeczonych, ani też są przez nich widziane. W dniu ślubu zanoszą w pięknym palankinie narzeczoną na obiad do narzeczonego, przy którym nic nie je. Potem dopiero mąż zdejmuje zasłonę z twarzy swej żony i po raz pierwszy rysy jej ogląda, razem z zaproszonymi na uroczystość przyjaciółmi.

Teściowa w Chinach, jak w Indjach, rozpościera nad narzeczoną, żoną lub wdową swego syna władzę tak absolutną i bardzo często tak okrutną, że biedna ofiara woli samobójstwo, zwykle za pomocą opjum.

Kobieta w Chinach, zwłaszcza północnych, nie umie czytać, ani pisać. Nadzwyczajna trudność pisma chińskiego utrwała tę ciemnotę. Chcąc przeczytać bibliję po chińsku, potrzeba znać około czterech tysięcy znaków.

Chociaż nie widuje nikogo po za rodziną, lubi Chinka nadzwyczajnie stroje, a zwłaszcza klejnoty, jak wogóle zrestą narody wschodnie.

Istnieje w Chinach niewolnictwo służących, oraz handel dziewczynkami. W wypadkach nadzwyczajnej nędzy sprzedają córkę za 25 franków, zwykła jednak cena dochodzi 500 franków, stosownie od zdrowia, siły, wieku i piękności „towaru“.

Kiedy żona porodziła same córki, spotkać ją może smutny los: mąż weźmie sobie „żonę drugorzędną“, zwykle z ko-

biet „o dużych nogach“. Kobiety *comme il faut* nie pokazują się na ulicach. Czas spędzają przed lustrem, na zabawie z dziećmi, na grze w karty i w domino, na haftowaniu i dziwnej grze na instrumentach, grze, w której Europejczycy nie mogą odnaleźć ani rytmu, ani dźwięku. Chinki są inteligentne, gościnne i uprzejme.

Tak jest w klasach zamożniejszych. Życie dziewczyn z ludu jest opłakane. Pracują bez wytchnienia, traktowane zawsze jak bydło robocze, żywione nędznie, zadawalniające się płacą zupełnie śmieszną dla Europejczyka.

Pływające miasta.

Przepłynąć Ocean z Europy do Ameryki w ciągu tygodnia—wydaje się dziś rzeczą naturalną. Tymczasem żyją jeszcze ludzie, którzy tę samą podróż odbywać musieli na pierwszych parowcach przez cały miesiąc. Teraz i ten tydzień żeglugi po wód obszarach, bez widoku ziemi, dłuży się ludziom; budują tedy okręty olbrzymie, co miesięczą po parę tysięcy podróżnych i przewożą ich do Ameryki w ciągu dni pięciu z górą. Podróżni prowadzą w drodze życie wśród przepychu i wygod, wesołe, pełne rozrywek, jak w pierwszorzędnem mieście; to też nie bez słuszności możnaby dać tym morskim olbrzymom nazwę „miast pływających”.

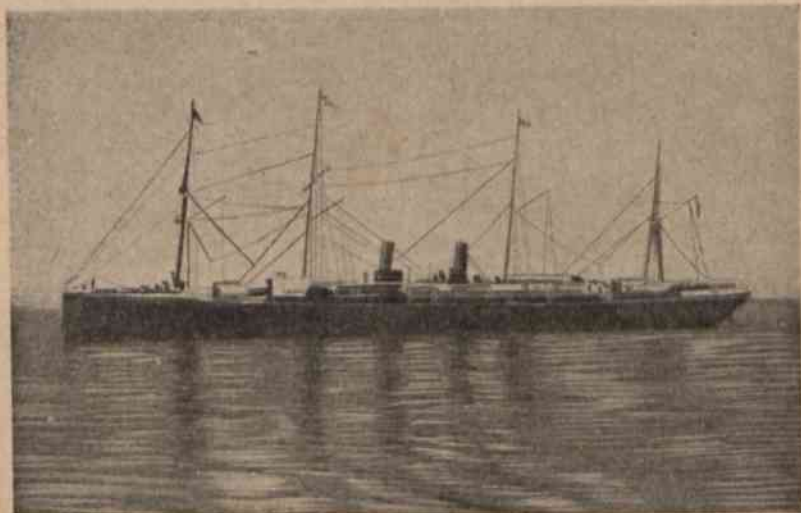
W wielkim porcie europejskim dano znać, że statek przybywa z Oceanu. Z dala ukazuje się punkt czarny, za ledwie dostrzegalny; zbliża się, rośnie szybko, za chwilę wygląda jak łupinka, wązka, cienka i krucha. Zdawałoby się, pochłonie ją pierwsza fala.

Tymczasem przystań roi się od ludzi. Jedni oczekują swych blizkich i ukochanych, inni tłoczą się przez ciekawość, a łupina rośnie i rośnie, aż wreszcie wielki, ciemny kadłub okrętu wpływa do portu wśród radosnych okrzyków tłumu. Powolnie i majestatycznie sunie do brzegu, jak tryumfator po długiej walce; tryumfuje on nad żywiołami, nad przestrzenią i czasem; zbliża dwa lądy olbrzymie, łączy narody największe na świecie, najbardziej cywilizowane.

Staął u brzegu. Zgrzytnęły łańcuchy, zawarczały win-

dy. Pojedyńczo i parami wysypują się podróżni, zbiegają po mostkach na ląd, żwawi, czerstwi, weseli, jakby po dobrym wypoczynku, nie zaś po tygodniowym kołysaniu na morzu, między niebem a wodą. Snać posłużyła im podróż morska.

Gromadka ciekawych wpada na statek. Biegąc po schodach, korytarzach i pomostach, zaglądając do kajut, salonów, bawialni, maszyn; olśnieni bogactwem urządzenia, obszarem i potęgą statku, nie wiedzą, co w tem bardziej



Wielki parowiec atlantycki.

Przeptywa Ocean z Europy do Ameryki w ciągu 5 dni 17 godzin.

podziwiać: czy przepych i dogodności, czy moc tego gmachu co drwi z szalonych fal i wichrów, czy szybkość, z jaką pędzi po morzu, prześcigając niejednego z naszych pociągów kolejowych.

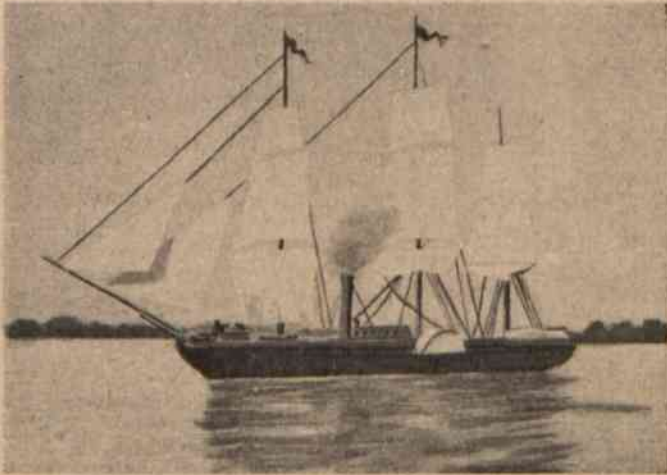
— To ci zuch — powiada poczciwy jakiś kmiotek—żeby tak człek mógł jechać koleją do Ameryki, toby żadną miarą szóstego dnia tam nie zajechał; a ten 3000 mil zrobił w 5 dni i 17 godzin. (Tu wyjaśnijmy, że mila morska czyli

węzeł stanowi około $\frac{1}{4}$ mili naszej, droga więc do Ameryki z Anglii lub Francji wynosi przeszło 700 mil naszych).

— Jużci, „kurjer“ prędzej idzie—odzywa się inny.

— To prawda; ale tu jedziemy jednym ciągiem, bez przestanku; daleko i „kurjer“ chyba naszemu okrętowi nie dotrzyma. A przytem człek się nie trzęsie, jak kolej, miejsca mu nie zajmą, dzwonek i zgietku wszelakiego się nie nasłucha, nie zakurzy się, o spanie i jadło dbać nie potrzebuje.

Tak powiadał kmiotek i miał słusność. Nie tylko po-



Savanna.

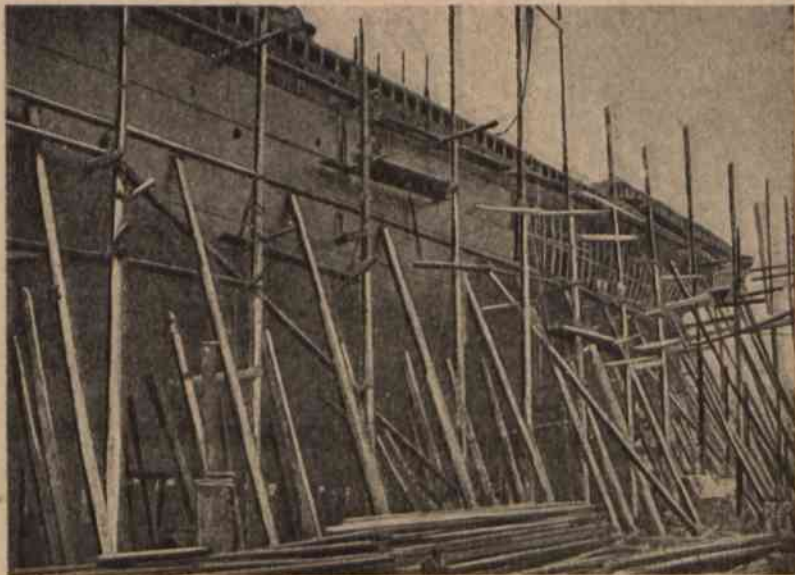
Pierwszy statek parowy, jaki przebył Ocean Atlantycki. Pierwsza ta żegluga parowa, z Ameryki do Europy, trwała 35 dni, od 25 maja do 29 czerwca 1819 roku, dzień odbywa się 6 razy krócej.

dróż dużym statkiem jest dogodniejsza, ale i szybsza od kolejowej, wyjąwszy chyba pociągi kurjerskie na niewielkich odległościach.

Niedawne to jednak czasy. Obaczmy, jak wyglądały pierwotne parowce oceanowe. „Savanna“, pierwszy statek parowy, jaki przebył ocean z Ameryki do Europy, miał 45 metrów długości a 380 beczek pojemności (beczka czyli tona—1000 kilogramów; jest to mniej więcej ładunek zwykłej 10 korcowej fury węgla). Wypłynąwszy z portu amerykań-

skiego Savanny 25 maja 1819 roku, przybył do Liverpoolu w Anglii 29 czerwca, zatem po 35 dniach podróży, choć obok maszyny parowej posługiwał się i żaglami.

W roku 1838 dwa parostatki angielskie, „Sirius” i „Great Western” ośmieliły się puścić na morze bez żagli, jeden odbył drogę przez Atlantyk w ciągu ośmnastu, drugi w ciągu 15 dni, czyli płynęły z szybkością $8\frac{1}{2}$ i 10 węzłów (2 i $2\frac{1}{2}$ mil naszych).



Wykończenie budowy okrętu.

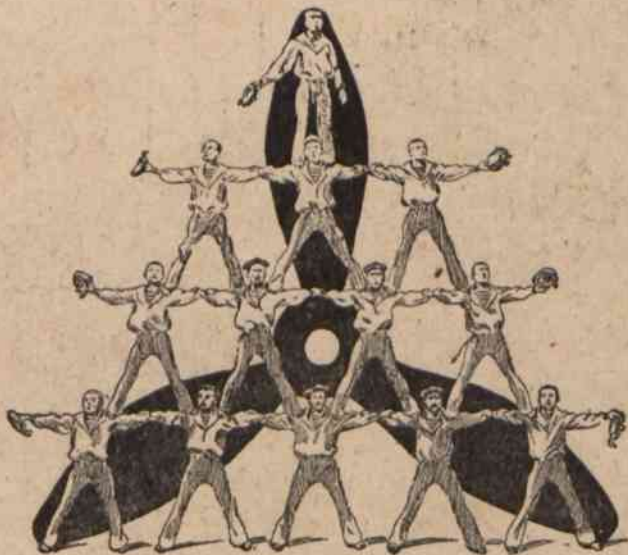
Olbrzymie rusztowanie, długie prawie na $\frac{1}{4}$ kilom. (zwiorsty), służy do budowania szkieletu statku, którego boki obija się później blachami żelaznymi.

Przy pierwotnej powolności statków i szczupłych wymiarach, oczywiście i wygodę pasażerów były o wiele mniejsze. Zważmy tylko, iż żywność należało zabierać w konserwach, gdy dziś na kilkudniową podróż służy świeże mięso i inne produkty.

Jaki postęp osiągnęła żegluga od tego czasu, przykładem wielkie statki dzisiejsze. płynące siłą pary, bez żagli,

niezależnie prawie od wiatrów i prądów morskich. Naczelne miejsce należy się okrętowi angielskiemu „Oceanic“, długiemu na 215 metrów, a mieszczącemu 28,500 beczek, oraz podobnych wymiarów niemieckiemu „Kaiser Wilhelm der Grosse“; przebywają one przeszło 22 węzły na godzinę, czyli cały Atlantyk przez $5\frac{3}{4}$ doby.

Podobne statki oceanowe czyli „trans-atlantyki“ zabierają wygodnie półtora tysiąca podróżnych, mianowicie 400 do 500 pasażerów pierwszej klasy, 150 drugiej i około 500



Śruba wielkiego parowca, w porównaniu z wielkością człowieka.

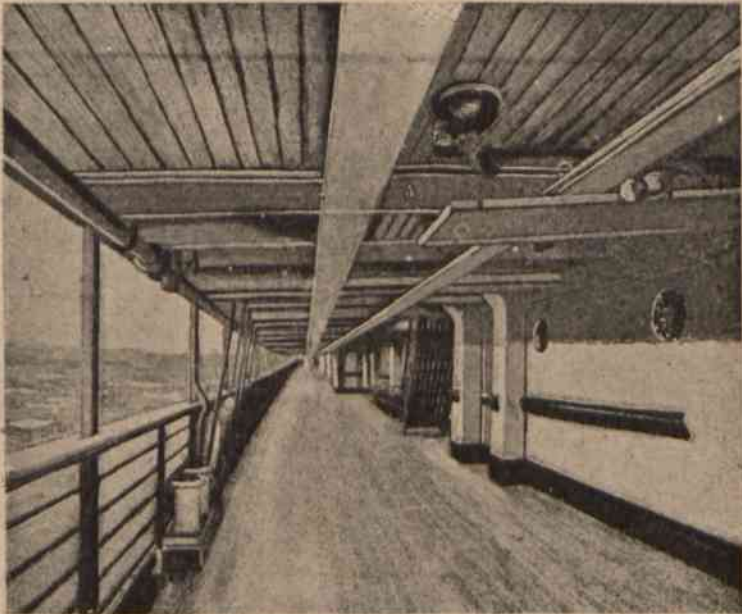
Cztery rzędy ludzi, stojących sobie na ramionach, trzebaby słożyć na wysokość śruby.

trzeciej, nadto blisko 400 osób obsługi i załogi. Całe to zbiorowisko ludzkie trzeba umieścić i żywić przez drogę, zatem piec chleba, bić zwierzęta na mięso, mieć składy, lodownię, a wygodnisiom pierwszej klasy dać miejsce na przechadzkę, sale zebrania i rozrywek.

Pasażerowie ci, t. zw. „salonowi“, mają obok łóżek i kanap osobnych w kajutach, umeblowanych z przepychem, kąpielnię do ogólnego użytku, czytelnię, jadalnię ogromną, osobny pokój jadalny dla dzieci, salon dla dam, razurę, salę kon-

certową, salę konwersacyjną; na pokładzie miejsce spacerowe czyli promenada ma do 160 metrów długości, tak, iż mało kto może bez zmęczenia przejść ją razy kilkanaście.

Wszystkie części okrętu rozjaśnia w nocy łagodne światło elektryczne; 1500 lamp świeci po salach i kajutach, i podróżny może w każdej chwili oświetlić swe pomieszczenie, gdy niedawno jeszcze, przy oświetleniu statków naftą



Promenada, czyli pokład spacerowy wielkiego okrętu.

Długości 160 metrów, a 1000 mtr. kwadratowych obszaru.

lub świecami, takowe gaszono z przepisu o jedenastej, w obawie pożaru.

Obok udogodnień technika nie zaniedbuje też środków ostrożności. Wszystkie statki większe porusza śruba o trzech skrzydłach, przypominających z wyglądu skrzydła wiatraka; mieści się ona w tyle statku, całkowicie pod wodą, oś jej zaś idzie wzdłuż statku aż do maszyn, które ją obracają. Wirując w wodzie, śruba popycha statek, i to skuteczniej

i pewniej, niż koła z łopatkami, umieszczone po bokach statków mniejszych, przeważnie rzecznych (np. naszych parostatków na Wiśle). Koła takie bowiem łatwiej ulegają zepsuciu przy zetknięciu lub uderzeniu; nadto w czasie kołysania okrętu wynurza się to jedno, to drugie koło z wody, przez co działanie jest przerywane i nieregularne.

Wielkie trans-atlantyki, o jakich tu mowa, mają po dwie śruby obok siebie, poruszane przez osobne maszyny. Zapewnia to nie tylko większą szybkość, ale i zabezpiecza bieg statku, na wypadek uszkodzenia jednej maszyny lub śruby.

Dalej, cały korpus okrętu jest podzielony na kilkanaście części zupełnie szczelnych, tak iż w razie przedziurawienia i zalania jednego lub paru przedziałów, reszta wystarcza do utrzymania okrętu na powierzchni. Wreszcie pomimo iż ściany, przedziały i maszty składają się z żelaza i stali, i tylko podłogi i meble są drewniane, t. j. pomimo iż tak mało jest materiału, któryby mógł się zapalić, przewidziano i wypadki pożaru, a w celu zabezpieczenia, przeprowadzono całą sieć rur po statku, które potężne sikawki mogłyby w oka mgnieniu zalać największy ogień.

Obsługa oceanowego parowca jest liczniejsza, niż wielkich żaglowców, choć na tamtych więcej i trudniejsza jest robota. Kierowanie żaglami, zwijanie ich i rozwijanie, zwłaszcza przy silnych i zmiennych wiatrach, wymaga wielkiej zręczności i praktyki.

To też żaglowce wymagają wykwalifikowanych marynarzy, prawdziwych „wilków morskich“, którzy zęby zjedli na okrętowych sucharach.

Tymczasem parowiec nie wymaga specjalnego uzdolnienia, z wyjątkiem kierowników statku i maszyn; od załogi wymaga się co najwyżej zręcznego spuszczenia łodzi, obejścia się z windą i kotwicą, które równie jak wszystko porusza para, a zresztą kotwica używa się rzadko, tylko w portach płytkich, gdzie niema dostępu do brzegu, albo wypadkowo gdzieś w drodze.

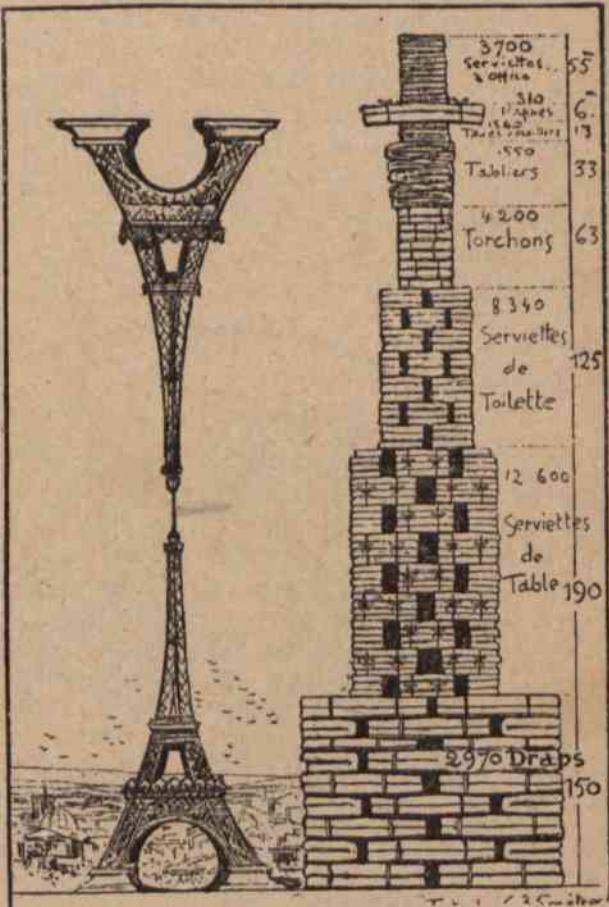
Pomimo takiego urządzenia maszynowego, do obsługi właśnie tych maszyn potrzeba ludzi sporo. Kolosy morskie

mają po 200 palaczy i smarowników, 40 do 50 majtków do porządkowania statku, ładowania towarów i t. p., 6 mechaników, 1 elektrotechnika, 1 naczelnego mechanika, kilku oficerów marynarki, sternika młodszego i starszego, wreszcie kapitana i jego pomocnika.

Obsługę pasażerską stanowi 80 do 100 lokajów i kelnerów, 9 lub 10 kucharzy pod zarządzeniem kuchacza głównego, paru piekarzy, szafarzy, piwniczycy, cukierników, 5 lub 6 pokojówek, naczelnego gospodarza (steward) i kilku jego pomocników, dozorca inwentarza żywego i zapasów, grono praczek i pomywaczek i t. p.

Lekarz, felczerzy, fryzjerzy, bibliotekarz,

drukarze, ba, nawet muzycy dopełniają kompletu. Czyż to nie jak w mieście?



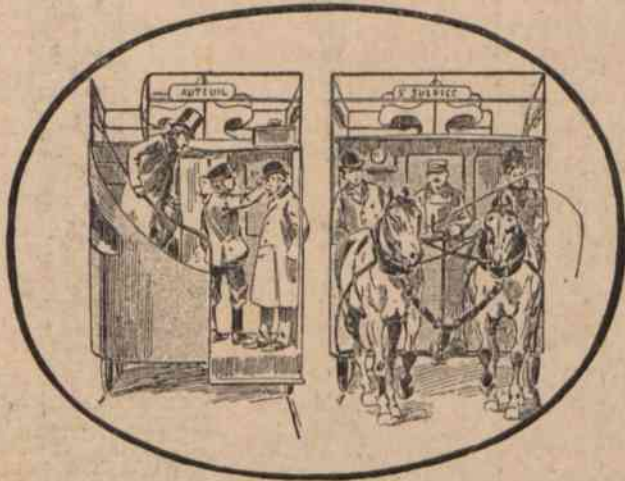
Zapas bielizny okrętowej.

Gdyby wszystką bielizną okrętu ułożyć w stos wąski, stanęłaby wieża, przesała 2 razy wyższa niż Eiffla w Paryżu.

Budowa kolosów morskich.

Możemy sobie wyobrazić, ile trzeba miejsca i jakich urządzeń, aby pomieścić owe kilkaset osób załogi i służby, nadto tysiąc z górą pasażerów, ich pakunki, dalej kuchnie, składy, piwnice, zapasy węgla i wody, wreszcie potężne maszyny. Wszystko to musi być oczywiście z góry uwzględnione i obliczone; to też budowa parowców należy do najtrudniejszych zadań techniki.

Ogromne gmachy, jak np. słynny kościół Notre-Dame w Paryżu, nie potrzebowały przy wznoszeniu rusztowań tak



Wewnątrz komina największego parowca angielskiego „Oceanic”, położonego na ziemi, mogłyby się, jak w tunelu, wyminąć z łatwością dwa ramwaje.

długich, tak skomplikowanych a wytrzymałych, jak parowce atlantyckie. Ostatnie bowiem całym swym ciężarem spoczywają na belkowaniu, które aż się mieni w oczach od słupów, belek i desek, tworząc zdala niby sieć pajęczą, więzy liliputów dla olbrzyma-Gullivera.

Drobne pojęcie o tem daje nasz rysunek, gdzie tylko niewielka część statku jest przedstawiona już na ukończeniu, mianowicie objanie boków blachą żelazną. Najprzód

wykończa się cały szkielet statku, o którego wysokości sądzić można choćby z wielkości człowieka, stojącego na pokładzie. Po wykończeniu ścian następuje spuszczenie statku



na wodę, stanowiące jedną z największych i najpiękniejszych uroczystości morskich. W chwili gdy olbrzymie cielsko o własnej sile zabuja na falach, dech rozpiera piersi nie tylko marynarzy, ale i tysięcznego tłumu ciekawych. Gdy pójdzie to zgrabnie i gładko, radosny okrzyk wstrząsa powietrze. Czasami je-

dnak bywają wypadki smutne. Niedawno pod Londynem spuszczano okręt tak gwałtownie wpadł do wody, że fala wezbrana zalała bulwary, pochłaniając setki widzów i porywając mnóstwo drobnych statków sąsiednich.



Na wodzie już następuje umieszczenie kotłów, maszyn, rur wszelakich i rozmaitych aparatów. Wreszcie stają maszyny i zawisa kotwica okrętu. Cała budowa zajmuje conajmniej dwa lata prarubli.



Ilość kawy, jaj i mleka, spożytych w ciągu jednej podróży okrętu.

Gdyby wspaniałą kawę, wypitą w podróży, zlać do jednego imbryka, wszystkie jaja złożyć na jedno jasko ogólne, wszystko mleko zebrać do jednego dzbana, naczynia te wyglądałyby tak względem wielkości człowieka. (por. opis w artykule).

A teraz przedstawmy sobie obrazowo niektóre części i wymiary tego kosztownego środka komunikacji.

Śruba, postawiona na ziemi, objęłaby skrzydłami 4 rzędy ludzi, stojących sobie na ramionach i trzymających się za wyciągnięte ręce.

W każdym z kominów statku, położonym na ziemi, mogłyby się, jak w tunelu, wyminąć z łatwością dwa tramwaje.

Kotwice ważą po 3 tonny, a łańcuchy do nich 60 tonn czyli tyleż, co np. 60 zwykłych fur węgla (10 korcowych). Rury w kotłach i oziębialniach mają długość ogólną 78 kilometrów (11 mil); kotłów bywa do szesnastu, a ważą do 850 tonn, wody zaś w nich mieści się 460 tonn.

Co zjadają ludzie, a co statek.

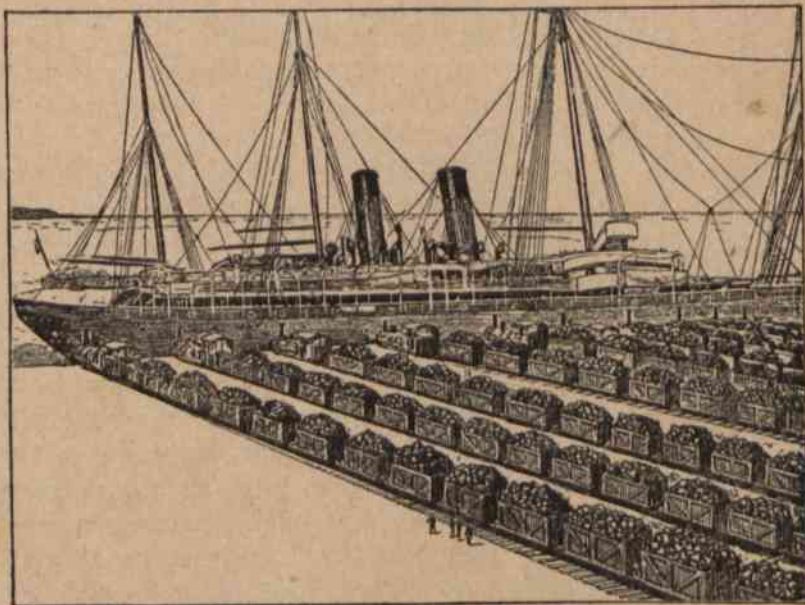
Zoyteczna, by przytaczać cyfry, wyrażające ilość mięsa, drobiu, ryb, jarzyn, nabiału, wina i t. p., jakie spożywa ten tłum półtoratysięczny w ciągu podróży. Każdy sobie łatwo wyobrazi te zapasy, pomiędzy którymi znajdują się i najdroższe, najwyszukańsze przysmaki i napoje.

Lepiej daleko przedstawi apetyt podróżnych przykład obrazowy. Gdyby zlano wszystką kawę, wypitą w czasie jednej podróży, do ogólnego imbryka, musiałby on mieć wielkość taką, jak na rysunku, gdzie człowiek stoi wygodnie na rączce imbryka. Jaja spożyte utworzyłyby jedno jajko tak wielkie, że chcący je otworzyć na końcu musiałby wlażyć na stołek. Dzban, któryby zmieścił wszystko mleko wypite, miałby wielkość taką, że po jego uchu dobry gimnastyk mógłby się wdrapać na wierzch, a krowa wspięta na przednich nogach, nie dostałaby do brzegu.

Niemniej ciekawa jest ilustracja bielizny okrętowej. Gdyby wszystką pościel statku oraz bieliznę stołową i kuchenną ułożyć w stos wązki, kładąc większe sztuki na spodzie, a mniejsze ku górze, stanęłaby ztąd wieża, przeszło dwa razy wyższa, niż Eiffla w Paryżu.

Jeżeli jednak ludzie potrzebują tyle zapasów, więcej daleko wymaga sam okręt do nasycenia potężnych swych machin.

Piece ich pożerają takie masy węgla, że rodzi się obawa o wyczerpanie najbogatszych kopalni. Dość powiedzieć, że gdyby ustawiono na jednej linii wagony, dowożące węgiel na jedną wędrowkę do Ameryki i napowrót, złożyłby się pociąg, długi na 2300 metrów (przeszło 2 wiorsty), wago-



Ilość węgla, spalonego w jednej podróży.

Jedenastcie pociągów po 35 wagonów, czyli razem pociąg, długi na 2300 metrów (przeszło 2 wiorsty), dostarcza węgla, który statek puszczą z dymem na podróż przez Atlantyk.

nów tych byłoby 380, a ustawione w szereg pociągów, jak to jedynie jest możliwe (np. 11 pociągów po 35 wagonów), dałyby widok, jak na załączonym rysunku.

Czterdzieści tysięcy korcy węgla puszczą z dymem naraz parowiec trans-atlantycki! Jest to kapitał 30 do 40000 rubli.

Liczba ta wydaje się wielką, nawet nieprawdopodobnie wielką. A jednak zużycie to węgla nie jest duże, względnie

do potęgi machin, do siły, jakiej wymaga taki kolos na przebieg 41 kilometrów na godzinę, czyli prawie 1000 kilometrów (135 mil naszych) na dobę. Maszyny największych parowców, jak „Oceanic“ i „Lucania“ angielskie, albo „Kaiser Wilhelm“ niemiecki, wydają po 30000 koni parowych. Niedawno jeszcze, bo lat temu dwadzieścia, dobra maszyna parowa spalała po 2 kilogramy (5 funtów) węgla na konia parowego w ciągu godziny; gdyby i terażniejsze motory okrętowe tyle pożerały, potrzebowałyby dwa razy tyle węgla na podróż, czyli nie za 30 do 40, ale za 60 do 80000 rubli! Nie małe i to ulepszenie pod względem ekonomicznym, że maszyny parowców potrzebują teraz tylko po 1 kilo węgla na godzinę i konia.

Tak więc, „pływające miasta“ są bardzo szybkie i wygodne, ale kosztują po kilka milionów, a za sam węgiel tylko płacą naraz po kilkadziesiąt tysięcy. Cóż więc dziwnego, że podróż do Ameryki, przy korzystaniu z tych wygód, kosztuje tak drogo?

Nierównie taniej wypada jazda wolniejsza, i dlatego większość parowców oceanowych mniejsze ma wymiary i słabsze maszyny. Okręty 100 — 120 metrów długie, czyli dwa razy krótsze od opisanych olbrzymów, i płynące tylko dwa razy dłużej, t. j. do Ameryki jakieś 10—12 dni, potrzebują siły nie 2 razy, ale 10 razy mniejszej; wystarczają maszyny o 2000 do 4000 koni parowych. Wydać na węgiel trzy tysiące rubli zamiast trzydziestu tysięcy, a na budowę statku milion zamiast siedmiu — zysk nie mały. Takimi to okrętami jeżdżą ludzie skromniejszych wymagań, przeważnie zaś wychodzący.

Ci, jeżeli płacą drogo za podróż, niechże wiedzą, że płacą nietyle za przewóz, który, jak widzieliśmy, powinien kosztować niewiele, ile napychają kieszenie obłudnym agentem, obiecującym wszelkie wygody w drodze, a zdobycie fortuny po za oceanem.

Wygody i fortunę zdobywa się niełatwo, tak jak ludzkość niełatwo zdobyła się na „pływające miasta“!

Leczenie suchot.

„Długi czas uważana za chorobę nieuleczalną, za taką, która nieodwołalnie śmierć w krótkim stosunkowo czasie sprowadzić musi, dziś, dzięki postępom nauki naszej, gruźlica zaliczona być winna do chorób w wielu razach wyleczyć się dających, a nawet do takich, których uleczenie jest łatwem, pod warunkiem spełnienia pewnych wymagań higieny. Wymaganiom tym społeczeństwo na drodze właściwych usiłowań zadość uczynić jest zdolne, chroniąc przez to od śmierci przedwczesnej, od śmierci w sile wieku, w epoce największej zdolności do pracy, miliony ofiar, a przez to zabezpieczając od niedzy tych wszystkich, którzy z przedwczesnie umierającym są związani losem, położeniem, bytem swoim.”

(Prof. I. Baranowski: „Walka z gruźlicą, jako zadanie społeczno-narodowe,” odczyt na IX zjeździe lekarzy polskich w Krakowie, w lipcu 1900 r.).

Nazajutrz po wojnie każda ze stron walczących oblicza swoje straty. Francja po dziś dzień wspomina ze zgrozą, że wojna z Niemcami w r. 1870 kosztowała ją 138,000 ludzi. Po wygaśnięciu epidemji sumujemy liczby ofiar. Zaraza, jedna z najstraszniejszych, jakie zapisała historia, dżuma w wieku XIV, zabrała w samym Paryżu 50,000 ludzi.

Ale wojny, epidemje, dżuma, cholera — są to w życiu danego narodu jedynie straszne epizody, klęski przypadkowe, zdarzające się w długich odstępach czasu. A tymczasem wszystkie narody dotyka stale klęska nieustająca, która corocznie zabiera np. we Francji tyleż ofiar, co wojna

z Niemcami i trzy razy tyle, co najstraszniejsza zaraza. Tą plagą ludzkości, z którą stykamy się na każdym kroku, ale nie zdajemy sobie sprawy z jej doniosłości, jest gruźlica, której formą najczęstszą są suchoty płucne.

We Francji umiera rocznie na gruźlicę 150,000 osób. Z ogólnej śmiertelności Paryża w r. 1897, wynoszącej na $2\frac{1}{2}$ miliona ludności 47,000 osób, więcej niż czwarta część (26%) a mianowicie 12,314 było zmarłych z gruźlicy. Jeżeli zaś weźmiemy zmarłych w wieku od 20 do 40 roku życia, to w tej kategorii ofiarą gruźlicy padło 60%.

Między rokiem 1891—1897 zmarło w Paryżu na gruźlicę 83,274 ludzi, a w tym samym okresie czasu było śmierci z dyfterji 6,216, z tyfusu 3,216, szkarlatyny 1,100, ospy 560. W Prusiech, w przeciągu lat 40 (1831—1870) zmarło na cholereę 343,953 ludzi, a w tymże czasie na gruźlicę przeszło $3\frac{1}{2}$ miliona.

Widzimy więc, że suchoty zabierają dziesięćkroć większą liczbę ofiar, aniżeli cholera i największą ze wszystkich innych chorób.

Naogół biorąc, każdy siódmy człowiek umiera na gruźlicę, a każdy trzeci zmarły, badany w zakładach anatomicznych, ma w sobie zarody nierozwiniętej gruźlicy lub ślady przebytej.

Ta najstraszniejsza choroba porywa ofiary z wszelkich warstw społeczeństwa, nie oszczędza nawet rodzin panujących. Nie wszystkie jednak warstwy ludności dotyka w równym stopniu. Mieszkańcy miast są na nią narażeni daleko więcej niż wieśniacy, ludzie ubodzy w daleko większym stopniu niż zamożni. W najbogatszej dzielnicy Paryża na 10 tys. mieszkańców śmierci z gruźlicy wypada 20, w uboższej 35, w dzielnicach robotniczych 53, w częściach miasta, zaludnionych przez najuboższych, — 65.

Ale niedość na tem, że gruźlica sprowadza tak wielką śmiertelność. Ponieważ jest to choroba o przebiegu trwającym nieraz lata całe, więc liczba osób żyjących, a dotkniętych gruźlicą, liczba chorych na suchoty jest olbrzymia. W Niemczech wynosi ona 226,000, we Francji 320,000 cho-

rych. W Królestwie Polskiem, podług obliczeń dr. Dunina, ma być 150,000 chorych na gruźlicę.

A do tej cyfry, dotkniętych bezpośrednio chorobą, trzeba teraz dodać dotkniętych pośrednio, to jest rodziny chorych suchotników, związane z nimi swym losem i bytem. Wtedy stanie się rzeczą oczywistą, że gruźlica jest najdośćniejszą klęską publiczną, ogarniającą ogromne masy ludności. Niema dziś ważniejszej i pilniejszej kwestji społecznej nad sprawę zwalczania gruźlicy.

Przyczyna choroby.

Zanim przedstawimy treściwy obraz usiłowań, podjętych w całym świecie cywilizowanym dla zwalczania gruźlicy, musimy zatrzymać się na chwilę nad przyczyną i istotą samej choroby.

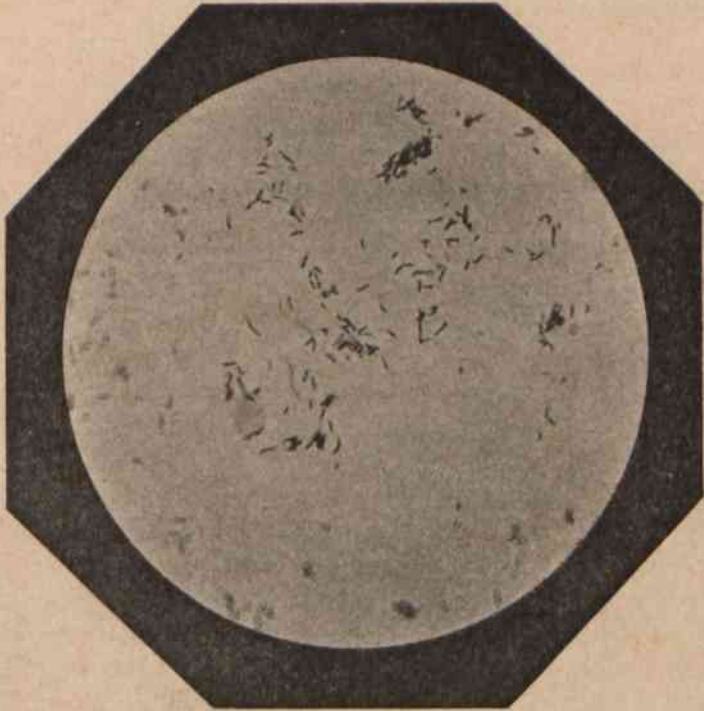
Suchoty płucne znane już były starożytnym lekarzom greckim i rzymskim, a nawet w zapiskach lekarzy indyjskich znajdujemy opisy tej choroby i jej leczenia, za pomocą środków klimatycznych i lekowych. Dopiero wszakże w końcu XVII wieku przy sekcjach zwrócono uwagę na formujące się w płucach gruzełki (*tuberculum*), które też uznano za przyczynę i anatomiczną podstawę suchot. Ztąd późniejsza nazwa choroby: *gruźlica* (*tuberculosis*). Lekarz francuski Lænnec, na początku ubiegającego stulecia, wykazał, że gruzełki te, wielkości łąka od szpilki, zjawiające się na miąższu płucnym, mają dążność do serowacenia i powodują owrzodzenia lub jamy (kawerny) w płucach.

Późniejsze badania dokładniej określiły charakter gruzełka. Zaczęto odróżniać gruźlicę miejscową w różnych organach od gruźlicy płuc.

W r. 1865 prof. Villemin, francuz, zaszczepił sztucznie gruźlicę i dowiódł, że jest to choroba specyficzna, zaraźliwa, która przez zaszczepienie substancyj gruźliczych może być przeniesiona ze zwierzęcia na zwierzę, albo na człowieka.

Toż samo stwierdził lekarz polski dr. Teodor Hering, w pracy, nagrodzonej przez Warszawskie Towarzystwo lekarskie nagrodą Helbicha.

W roku 1882-gim profesor berliński, Robert Koch, wykrył lasecznika gruźlicy. Stwierdził on przez badania mikroskopowe, że we wszystkich przypadkach gruźlicy znaleźć można maleńkie żyjątko, mikroba w formie laseczki



Kultura laseczników gruźliczych na buljonie.

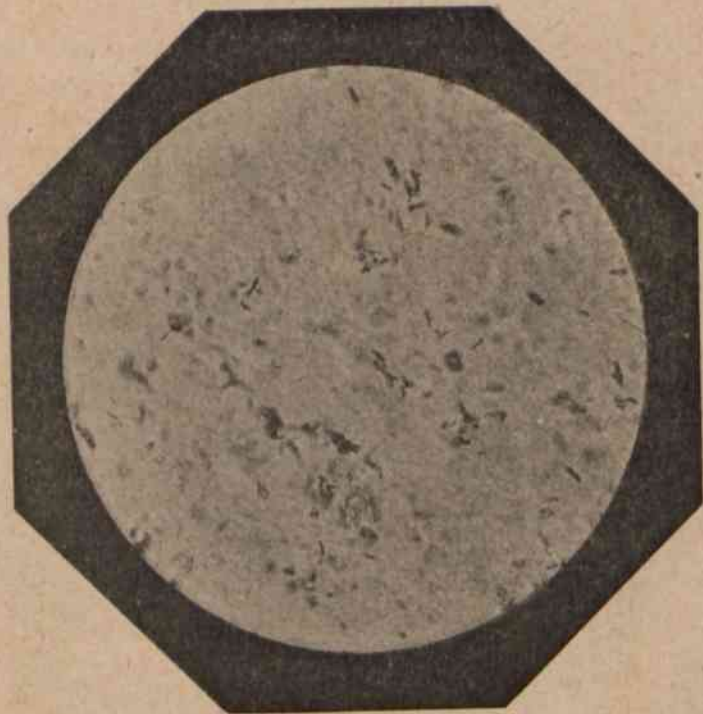
(Powiększone 1200 razy).

(*bacillus*) i że ten lasecznik jest niezbędnym warunkiem i przyczyną gruźlicy. Można go wychować po za organizmem ludzkim lub zwierzęcym, i przez zaszczerpienie go na tkance ciała ludzkiego lub zwierzęcego wywołać gruźlicę.

Jak wszystkie mikroby, lasecznik gruźliczy jest to drobne żyjątko, niedostrzegalne gołym okiem. Składa się on

z materji żywej, pokrytej otoczką i rozmnaża się przez dzielenie lub też przez tworzenie zarodników. Mnoży się zaś z niezmierną szybkością, tak, że w ciągu kilku godzin z jednego lasecznika tworzą się tysiące i rozmnażają coraz dalej.

Lasecznik gruźliczy żyć może i rozwijać się na wielu glebach. Znajdujemy go w mleku i mięsie krów chorych



Kawałek płuca, dotkniętego gruźlicą.

(Powiększenie 1200 razy).

na perlicę, w kurzu ulicznym, w pyle, który pokrywa ściany i podłogi mieszkań, meble i odzież naszą, a zwłaszcza tam wszędzie, gdzie ludzie plują wprost na ziemię lub na podłogę, a nie do sopluczek, napełnionych wodą.

Gdy płwocina wyschnie, laseczniki wraz z kurzem, poru-

szonym silniejszym prądem powietrza, mogą się dostać do organizmu.

Unikanie suchot.

Oprócz odpowiedniego fizycznego wychowywania dzieci, zwalczającego skłonność, usposobienie do przyjęcia zarazka gruźliczego, każdy, chociażby najzdrowszy człowiek, powinien pamiętać o tem, aby się chronić od tegoż zarazka przez

zachowywanie przepisów higieny. Najważniejszym zaś z tych przepisów, obowiązującym nietylko chorych, ale wszystkich ludzi bez wyjątku, jest zakaz spluwania na ziemię lub na podłogę. W plwocinie mieszczą się różne bakterje chorobotwórcze, które po wysuszeniu unoszą się w powietrze wraz z pyłem i kurzem, i mogą być wchłonięte przez człowieka.



Spluwaczka higieniczna.



Spluwaczka kieszonkowa Dettweilera.

Gdyby jakimś cudem lub nakazem powszechnym wszyscy ludzie przestali pluć na ziemię i podłogę, liczba chorych, odrazu zmalałaby niezmiernie. Gdy świadomość o tem przyniknie należycie do ogółu, splunięcie na ziemię będzie uważane za przestępstwo kryminalne. Niedawno rada miasta Paryża poleciła umieścić na ulicach, placach i gmachach publicznych tablice z napisem: „*W interesie ludności i dla zapobieżenia szerzeniu się chorób zakaźnych, uprasza się nie pluć na chod-*

niki“. Spluwać należy do spluwaczek, napełnionych nie piaskiem, jak to u nas najczęściej bywa, lecz wodą lub płynem dezynfekcyjnym. Takie spluwaczki winny znajdować się wszędzie, na każdym kroku.

Spluwanie w chustkę jest szkodliwe i niebezpieczne, bo wtedy chustka staje się zbiornikiem bakterji, które mogą dostać się do nosa. Z czasem, gdy zasady higieny bardziej się rozpowszechnią i zyskają większą siłę nakazującą, niewątpliwie nie tylko chorzy, ale i wszyscy ludzie ucywilizowani będą nosić przy sobie flaszeczki Dettweilera do spluwania. Wtedy nikogo to razić nie będzie, tak jak dziś nie razią kawałki płótna, używane powszechnie do przyjmowania wydzielin z nosa. Tymczasem chustki należy zmieniać jak najczęściej i najlepiej rzucać je wprost do kotła z wodą gorącą. Byłoby do życzenia, aby jaka moda nakazała używać chustek papierowych, które możnaby rzucać w ogień.

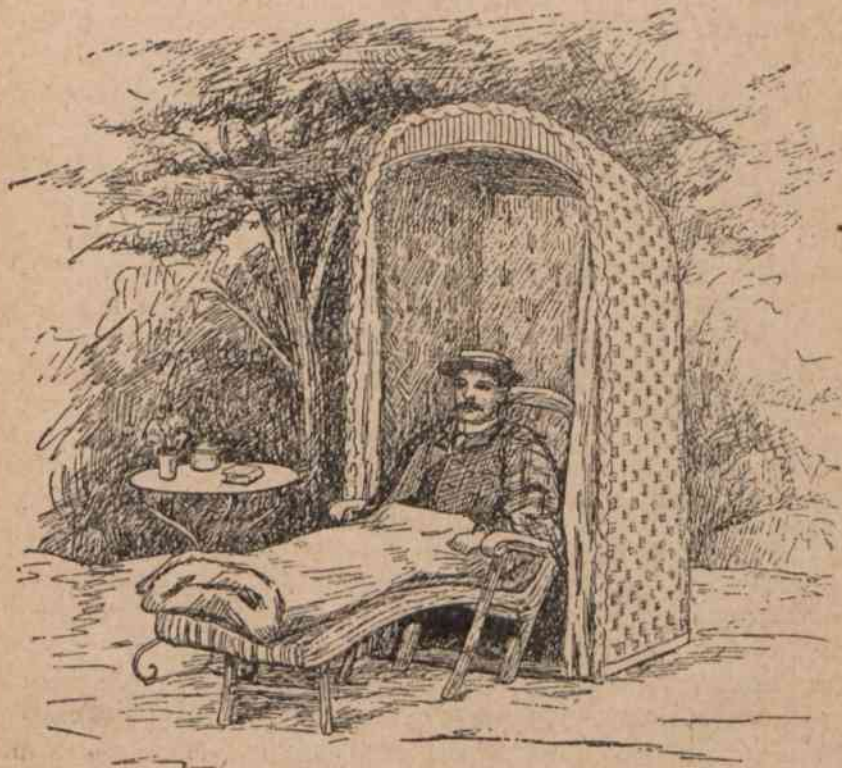
Należy się również strzedz rozpryskiwania śliny przy mówieniu, chrząkaniu lub kaszlu suchym, czego zresztą już dzisiaj wystrzega się każdy „dobrze wychowany“ człowiek, zasłaniając sobie usta ręką albo chustką.

Po za temi środkami ostrożności, najskuteczniejszym środkiem ochronnym przeciwko wszelkim zarazkom jest zachowywanie jaknajwiększej *czystości*. Lasecznik gruźlicy nie jest zbyt odporny. Ginie on w gorącej wodzie, w promieniach słońca, pod wpływem kwasów i t. d. A więc utrzymywanie czystości w mieszkaniu i czystości ciała, staranne czyszczenie naczyń kuchennych i stołowych, wietrzenie na słońcu pościeli i odzieży, wygotowywanie brudnej bielizny—wszystko to ochroni skutecznie od zakażenia wielu chorobami a specjalnie od gruźlicy.

Z chorym suchotnikiem, który powyższe ostrożności i przepisy higieny zachowuje, można obcować zgoła bez obawy. Unikanie i odosobnianie takich chorych jest zbytecznym okrucieństwem.

Obrona organizmu.

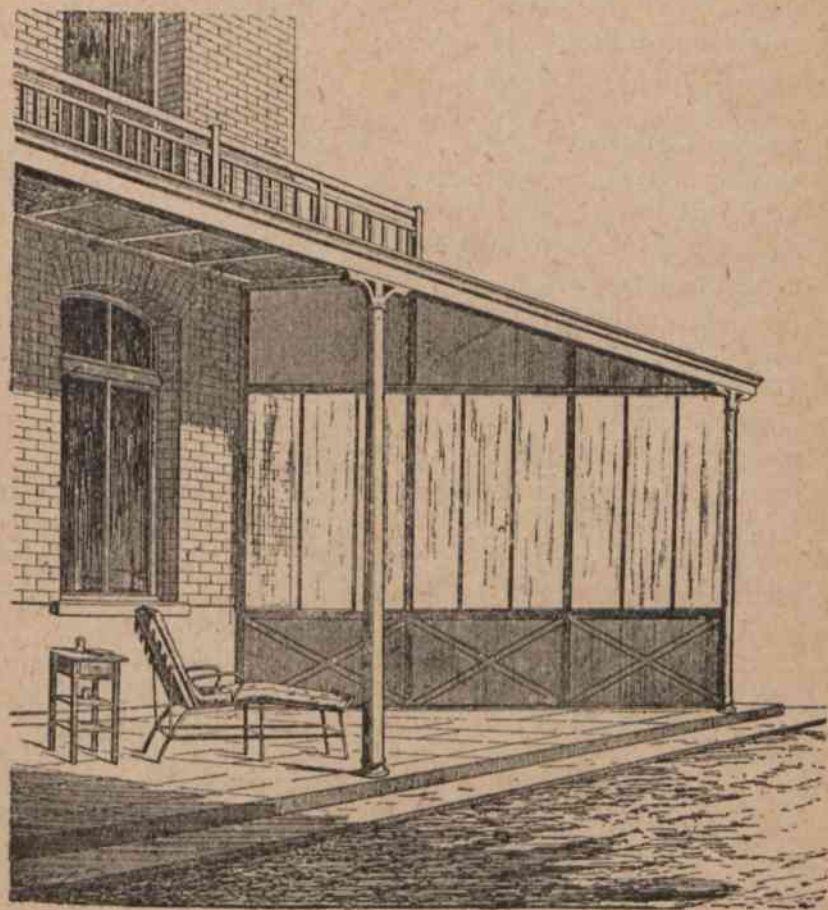
Na ostatnim zjeździe lekarzy polskich w Krakowie, dr. Bujwid zauważył, że gdyby lasecznik gruźlicy był równie zaraźliwym, jak lasecznik cholery, to ludzkość oddawna by już nie istniała. Na szczęście organizm ludzki posiada



Leczenie w domu.

środki obronne przeciwko mikrohom chorobotwórczym. Spokanie się człowieka z mikrohem nie wystarcza do wywołania choroby. Rozważmy naprzód, jaką drogę przebyć musi lasecznik gruźlicy, zanim się dostanie do płuc. Powietrze, które go unosi wraz z kurzem, musi przedewszystkiem przejść przez nos, to jest przez cały szereg korytarzy wy-

słanych błoną, którą pokrywa lepki śluz. Ten śluz zatrzymuje znaczną część ciał zanieczyszczających powietrze, a w tej liczbie i mikroby. Jeżeli pewna ilość laseczników przedostanie się przez ten filtr ochronny, to napotykają one nową przeszkodę w oskrzelach, które również pokryte są



Weranda z modelem kanapy dla chorego

śluzem. Nieczystości i bakterje, zatrzymane przez oskrzele, wydalamy za pomocą kaszlu.

Śluz i inne wydzieliny posiadają własności zabijające, a przynajmniej osłabiające jadowitość bakterji, a błona ślu-

zowa, o ile jest nieuszkodzona, opiera się zwycięsko lasecznikom.

Ale przypuśćmy, że w błonie tej nastąpiło uszkodzenie, przez które lasecznik gruźlicy dostaje się do płuca. Czy to wtargnięcie spowodować musi koniecznie suchoty płucne, to jest zserowacenie i rozkład postępowy płuc za pomocą gruzełków? Bynajmniej.

Przeciwno tym złoczyńcom organizm wysłała swoją specjalną policję. W naczyniach i tkankach krążą białe kulki, zwane *phagocytami*. Mają one własność pochłaniania ciałek obcych, które napotykają na swej drodze. Gdy więc lasecznik gruźliczy przenika do płuc, phagocyty zbierają się do zagrożonego punktu, rozpoczynają walkę z intruzem, pochłaniają groźnego wroga i czynią go nieszkodliwym.

Jeżeli mimo te wszystkie środki ochronne, działające należycie jedynie u człowieka zdrowego, lasecznik, przeniknąwszy do płuc, zaszczepli się w nich, wywołując uformowanie się gruzelka, to czy wtedy suchoty są już rzeczą nieuniknioną? Otóż nie. Jeżeli osoba, nosząca w sobie zarazek gruźliczy, jest zupełnie zdrową i silną, jeżeli nie posiada *skłonności, usposobienia* do przyjęcia zarazka, to lasecznik gruźliczy zostaje otoczony tkanką, nasycony solami wapniowymi i staje się nieszkodliwym. Wyleczenie gruźlicy przez zwapnienie jest formą spotykaną bardzo często.

I na tem jeszcze nie koniec. Już rozwinięta gruźlica, sprowadziwszy już nawet dość znaczne zmiany w płucach, może zostać następnie *wyleczoną*.

Skłonność do suchot i ich dziedziczność.

Zanim wszakże o wyleczalności i leczeniu suchot mówić będziemy, zatrzymamy się jeszcze na kwestji *skłonności* do suchot i *dziedziczności* tej choroby.

Wśród ogółu bardzo rozpowszechnione jest mniemanie, że

suchoty są dziedziczne, to jest, że choroba ta może być przenoszona we krwi z rodziców na dzieci. Powodem tego mniemania jest niekrytyczna obserwacja tego faktu, że wypadki gruźlicy w danej rodzinie nie są zazwyczaj pojedyncze, odosobnione, lecz że najczęściej zapada na suchoty kilka osób w rodzinie, np. jedno z rodziców i dziecko, albo kilkoro rodzeństwa. Ztąd wnioskuje, że dzieci odziedziczyły gruźlicę po ojcu lub matce, albo nawet po dziadach.

Otóż uczeni lekarze i badacze dzisiejsi uważają takie wnioski za błędne, nie uznają dziedziczności suchot albo zupełnie, albo przyjmują ją tylko w bardzo rzadkich wypadkach. Trzymają się oni przekonania, że suchot dostać można tylko przez wchłonięcie, zaszczepienie i przyjęcie się w organizmie zarazka, i dodają przytem, że ścisła obserwacja faktów nie upoważnia bynajmniej do twierdzenia, jakoby zarazek ten mógł się przedostać z rodziców na potomstwo jeszcze przed urodzeniem się dziecka, jakoby mógł tkwić we krwi lub tkankach dziecka przez całe lata, by się następnie w późniejszym wieku rozwinąć. Jeżeli w jednej rodzinie zdarza się najczęściej kilka wypadków gruźlicy, to dlatego, że żyjąc i mieszkając razem, bez zachowania odpowiednich środków ostrożności, zarażają się jedni od drugich, a więc i dzieci od rodziców i rodzeństwo od siebie nawzajem, ale takie zarażanie się przez współobcowanie nie jest dziedzicznością i z wielką łatwością uniknąć się daje przez zachowanie przepisów higieny.

Natomiast zgoda jest dzisiaj na to, że można odziedziczyć po przodkach suchotnikach *usposobienie* do przyjęcia gruźlicy, to jest takie zmiany w organizmie, które go czynią nie dość odpornym na zarazek gruźliczy. Za najważniejszą z cech usposobienia do gruźlicy uważano dotąd głównie płaską, nazbyt długą klatkę piersiową; dr. Edward Zieliński z Warszawy przytoczył na ostatnim zjeździe krakowskim cały szereg innych zmian anatomicznych i histologicznych, cechujących usposobienie do gruźlicy. Zauważono wszakże na to, że zmiany te niekoniecznie muszą być odziedziczone; stanowią one mogą o skłonności nabytej już po urodzeniu, a może nawet są objawem nietylko usposobienia,

ale już samej, rozwiniętej gruźlicy. Bądź co bądź usposobienie, skłonność do gruźlicy, czy to odziedziczona, czy nabyta później, może być usunięta w drodze odpowiedniego wychowania fizycznego, przy zachowaniu przepisów higieny.

Uleczalność suchot.

Tak więc nauka dzisiejsza odnośnie do suchot płucnych przyjmuje trzy tezy:

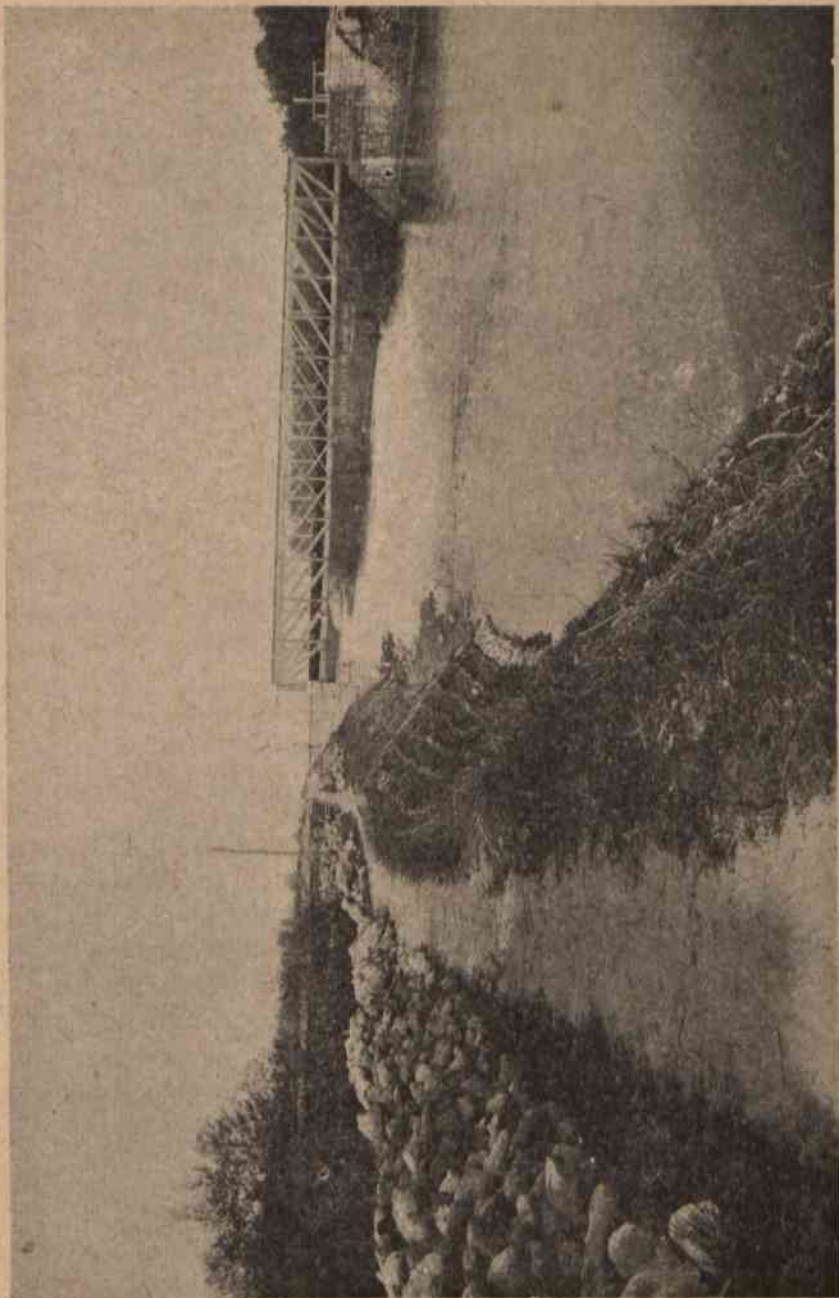
1). Suchoty są zaraźliwe, ale od zarażenia uchronić się można z łatwością.

2). Dziedziczność suchot jest wątpliwą i w każdym razie nie częstą.

3). Suchoty są wyleczalne.

Uleczalność suchot uznawana była przez lekarzy starożytnych i średniowiecznych. Ale na początku ubiegającego stulecia dr. Lænnec, ten sam, który się znakomicie przyczynił do poznania natury gruźlicy, ogłosił gruźlicę za bezwarunkowo nieuleczalną. Taki pogląd długo panował w medycynie, rozpowszechnił się wśród ogółu.

W najnowszych wszakże czasach przekonano się, że pomimo całej bezsilności medycyny w stosunku do suchot, można zauważyć wielu ludzi, żyjących z suchotami wyleczonemi, a przy sekcjach anatomicznych osób, zmarłych na inne choroby, znajdowano bardzo często w płucach ślady gruźlicy przebytej i następnie zabliznionej, wyleczonej. Musiano więc wniosek o nieuleczalności suchot zmodyfikować w ten sposób, że to tylko w aptece niema na nie specjalnego środka leczniczego; ale natura sama leczy suchoty względnie dość często, organizm sam może zwalczyć zarazek nawet wtedy, gdy ten już się przyjął i poczynił istotne zmiany w płucach. Heitler na 16,572 sekcji, znalazł ślady gruźlicy przebytej i wyleczonej u osób zmarłych na inne choroby w 789 wypadkach. Letulle na 189 sekcji miał 92 wy-



Okolice Otwocka: Nad Świdrem.

padki (t. j. 50%) wyleczonej gruźlicy, nie ulegające żadnej wątpliwości, a nadto 18 wypadków podejrzanych o gruźlicę. Profesor Brouardel powiada, że wśród zmarłych śmiercią nagłą, a zamieszkałych w Paryżu przynajmniej od lat 10-ciu, niema ani jednego, u któregoby przy sekcji nie znaleziono uszkodzeń gruźliczych, bardzo często wyleczonych *).

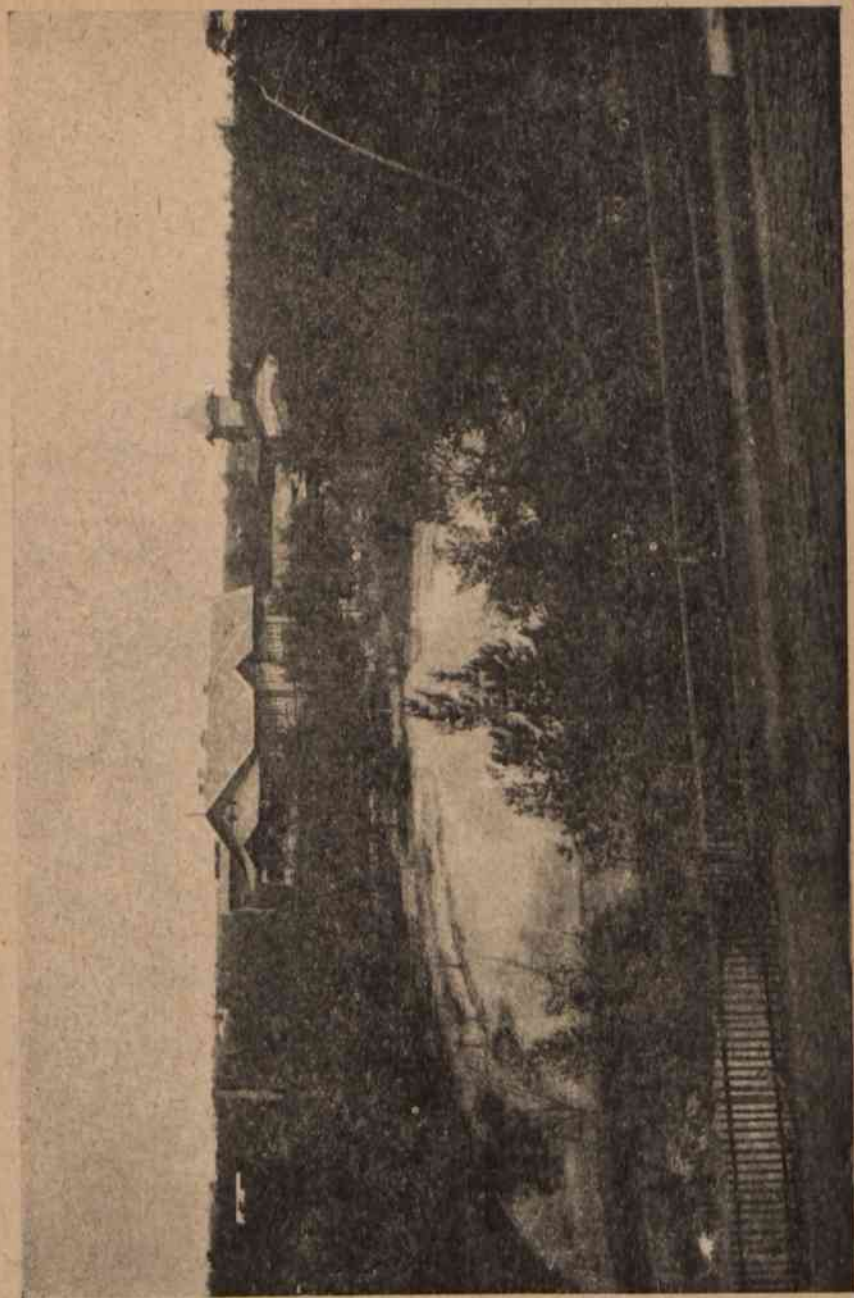
Tak więc uleczalność suchot płucnych nie podlega dzisiaj wątpliwości.

Ponieważ wszakże sama natura, przyrodzone siły organizmu, pozostawionego samemu sobie, zwalczały i zwalczają tylko *niektóre* wypadki suchot płucnych, a *bardzo wiele* organizmów ulega w tej walce i choroba, wzięwszy górę nad organizmem doprowadza go do śmierci, więc też w miarę postępów w poznawaniu istoty i przebiegu sprawy gruźlicy, szukano bezustanku takich środków leczniczych, któreby przebieg sprawy gruźliczej doprowadzały do rezultatu pomyślnego, to jest do takiego, jaki w pewnych wypadkach osiąga sama natura.

Leczenie suchot.

Oprócz mnóstwa środków aptecznych (w ostatnich czasach arsenik, kreozot i guajacol), z których żaden nie wykazał specyficznego działania na gruźlicę, oddawna i aż do ostatnich czasów stosowano klimatoterapię. Wyszukiwano mianowicie takich miejscowości, w których ludność miejscowa nie choruje wcale na gruźlicę albo bardzo rzadko, i poselano tam suchotników, w przekonaniu, że klimat tej miejscowości posiada jakieś specjalne własności lecznicze. Miejscowości takie znajdowano i w krajach ciepłych i na dalekiej północy, i w górach i na nizinach. Przeważnie jednak

*) S. A. Knopf: „Les Sanatoria, Traitement, et prophylaxie de la phtisie pulmonaire“ (Paryż 1900).



Ogólny widok sanatorjum w Otwocku.

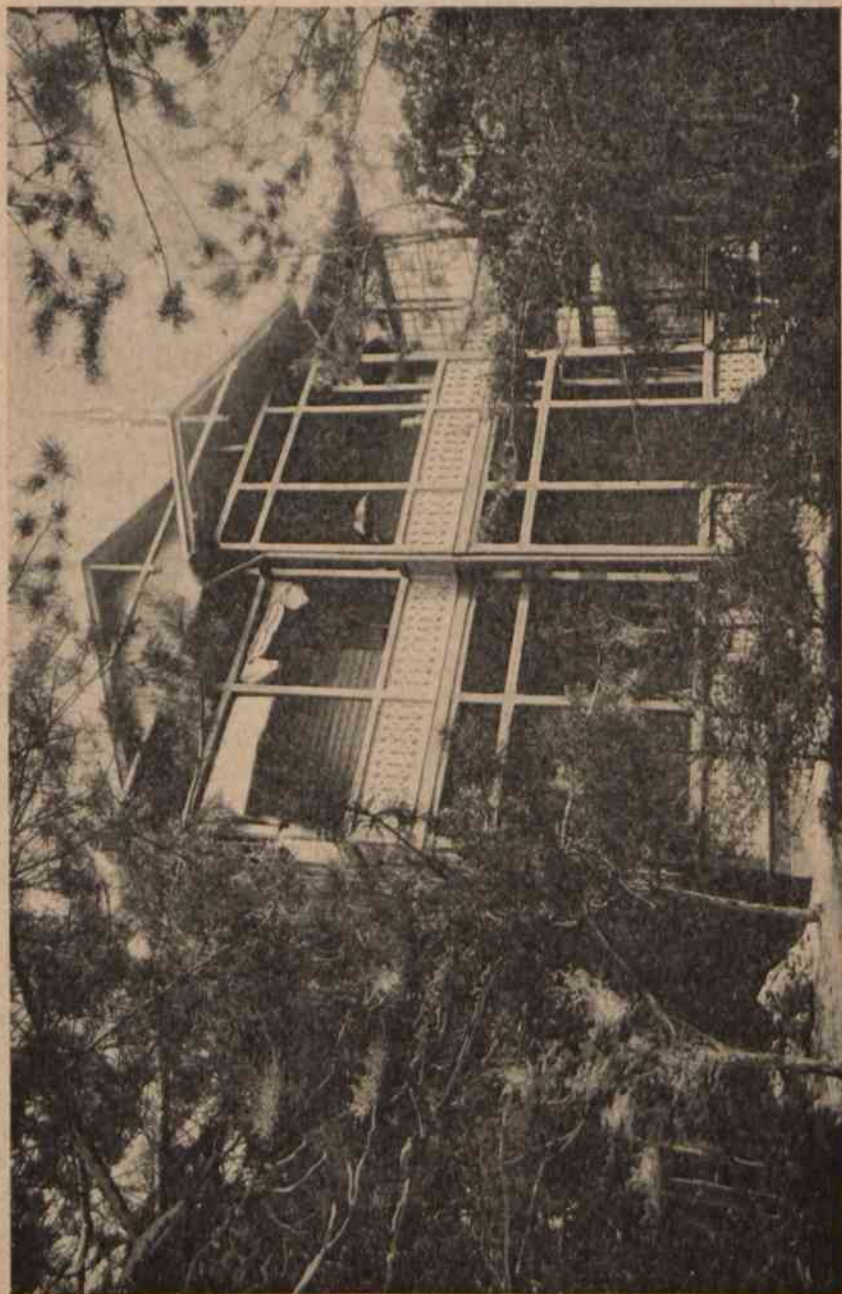
za najzbawienniejszy poczytywano klimat południowy i wysłano suchotników do Meranu, Algeru, Egiptu i t. d.

Pierwszym lekarzem, któremu się udało osiągnąć rzeczywiste pomyślne rezultaty leczenia suchot, był dr. Hermann Brehmer z Goerbersdorfu, twórca metody higieniczno-dietetycznej. Metodę tę uzupełnił i zmodyfikował w niektórych szczegółach uczeń Brehmera Dettweiler. Ta metoda przyjęta dziś została powszechnie, gdyż zbawienne jej skutki zostały stwierdzone w różnych krajach i przez różnych uczonych.

Na czem więc ta metoda polega? Opiera się ona na następujących przesłankach i wnioskach. Skoro organizm sam posiada [tendencję do zwalczania gruźlicy, a my nie posiadamy żadnego na nią specyfiku, więc całe nasze zadanie winno się ograniczyć do tego, aby organizmowi w walce przezeń toczonej dopomagać. Ponieważ zaś nie wiemy, na czem mianowicie polega siła lecznicza organizmu i znowu bezpośrednio dopomódz mu nie możemy, więc winniśmy mu dopomagać pośrednio, to jest nie przez dostarczenie mu jakiegoś oręża specjalnego, którego nie znamy i nie mamy, ale przez zapewnienie mu możliwie najlepszych, najkorzystniejszych dla organizmu warunków ogólnych bytu i rozwoju. Jakie to są warunki—o tem poucza nas hygjena.

Chodzi więc przedewszystkiem o dostarczenie choremu możliwie *najczystsze go powietrza*. Metoda klimatoterapii znajduje tutaj tę modyfikację, że nie chodzi o taką miejscowość, któraby miała specjalny klimat, lecz o taką, w którejby chory znalazł przedewszystkiem *czyste* powietrze. Im mniejsze są w takiej miejscowości wahania temperatury, im lepiej jest dana miejscowość zasłonięta od wiatrów, im suchszy i przepuszczalniejszy jest grunt, tem oczywiście lepiej dla kuracji. Ale te warunki można znaleźć pod każdą długością i szerokością geograficzną i bez względu na większe lub mniejsze wzniesienie terenu nad poziom morza.

Klimat górski dlatego się doskonale nadaje do leczenia gruźlicy, że na wyżynach i pod osłoną ścian górskich o wszystkie powyższe warunki łatwiej niż gdzieindziej. Ale i na płaszczynach, osłoniętych iglastymi lasami, o przepuszczal-



Sanatorjum w Otwocku: Weranda górna.

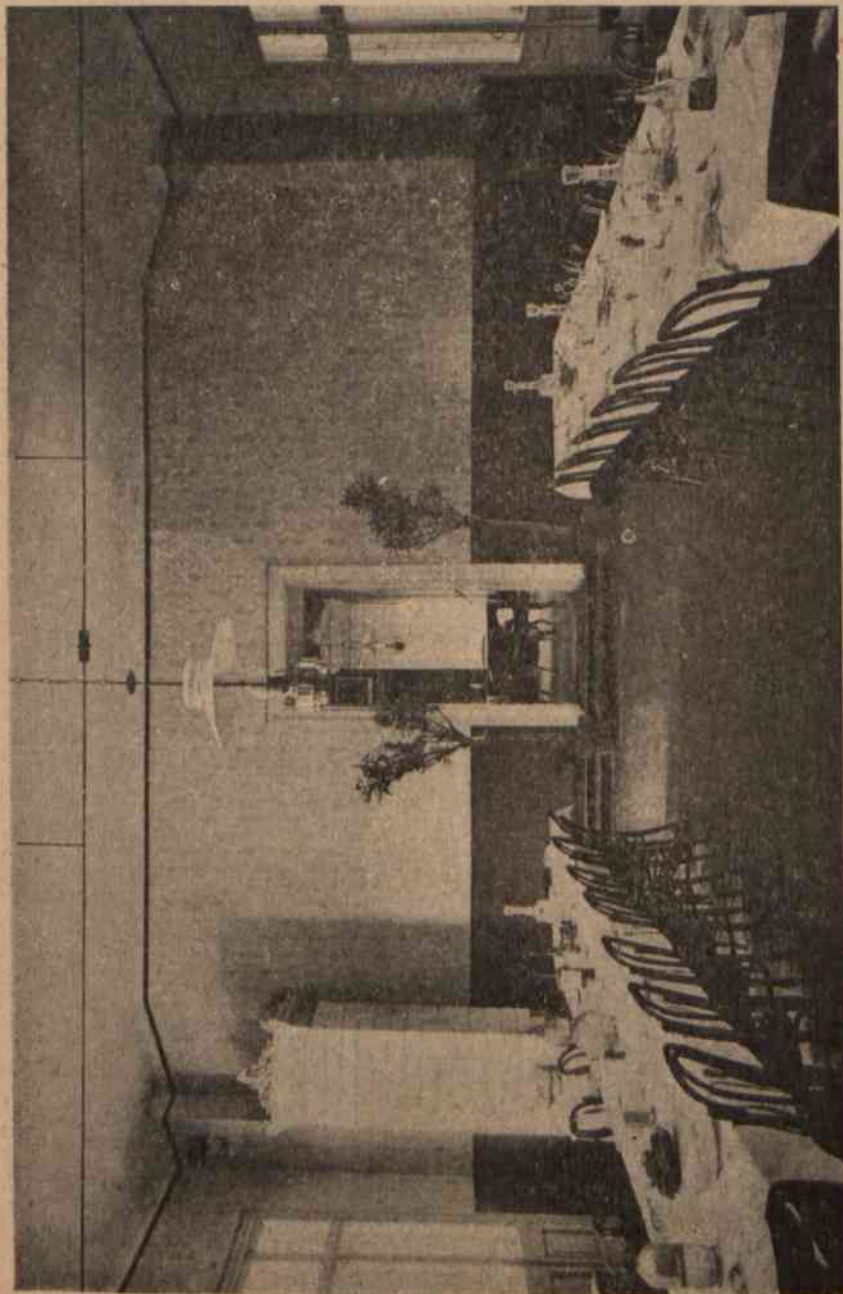
nym gruncie, też same warunki znaleźć można. Niektórzy zresztą badacze obstają przy tem, że klimat górski posiada pewne właściwości, specjalnie przy leczeniu gruźlicy przydatne, jako to: zmniejszone ciśnienie atmosferyczne, intensywniejsza insolacja, zwiększony wpływ światła, większa zawartość ozonu i t. d. *) Bądź co bądź, nie ulega już dzisiaj wątpliwości, że leczenie gruźlicy może się skutecznie odbywać w każdym zdrowym klimacie, bez względu na szerokość geograficzną i wzniesienie nad poziom morza, niektórzy zaś lekarze wprost twierdzą, że najlepiej jest pozostawić chorego w tym klimacie, w którym się wychował, to jest w klimacie, który jest dla niego „swojskim“.

Ale niedość jest umieścić chorego wśród powietrza z natury czystego. Najczystsze powietrze w przestrzeni zamkniętej, w której nadto przebywa człowiek chory, zanieczyszcza się bardzo prędko. Aby więc chorego uchronić od zarażeń wtórnych (*reinfekcja*), należy w jego otoczeniu zachowywać pedantyczną czystość, a nadto pokój i wszystkie sprzęty poddawać dezynfekcji: przez częste bielnie wapnem lub zmywanie ługiem ścian i sufitów, przez pranie i gotowanie odzieży, bielizny i pokrowców, przez niszczenie wszelkiego kurzu, przez zmywanie na wilgotno podłogi jaknajbardziej uszczelnionej, a najlepiej pokrytej linoleum. Z kurzu wilgotnego i z napełnionych płynem spluwaczek, laseczniki nie mogą unieść się w powietrze, a w gorącej wodzie giną.

Sam chory musi zmieniać jaknajczęściej bieliznę (rzucając ją wprost do gorącej wody), spluwać tylko do spluwaczek, a przy kaszlu zasłaniać sobie usta chustką, najlepiej papierową, którą łatwo spalić. Pościel i ubranie chorego należy wietrzyć na słońcu, gdyż promienie słoneczne są doskonałym środkiem dezynfekcyjnym.

Drugim warunkiem ogólnym, niezbędnym dla organizmu, który ma stoczyć walkę z zarazką gruźliczym, jest doskonałe odżywianie. Chorzy muszą się nie tylko dobrze odżywiać, ale wprost forsownie tuczyć. Winni się zmuszać do

*) Patrz Dr. J. Gaik: Gruźlica płucna i jej leczenie, z uwzględnieniem w szczególności klimatu górskiego. Kraków 1908.



Sanatorium w Otwocku: Sala jadalna.

jedzenia, którego podstawę stanowi mleko, a zresztą jeść wszystko i tyle, co i ile żołądek może należycie strawić.

Nakoniec, trzecim warunkiem ogólnym jest możliwie największy spokój fizyczny i moralny. Dla osiągnięcia pierwszego, chorzy, zwłaszcza gorączkujący, leżą całymi godzinami i dniami na specjalnych leżankach lub szeslongach na świeżem powietrzu, na obszernych werandach, unikając wszelkiego ruchu fizycznego i wszelkiego wzruszenia moralnego.

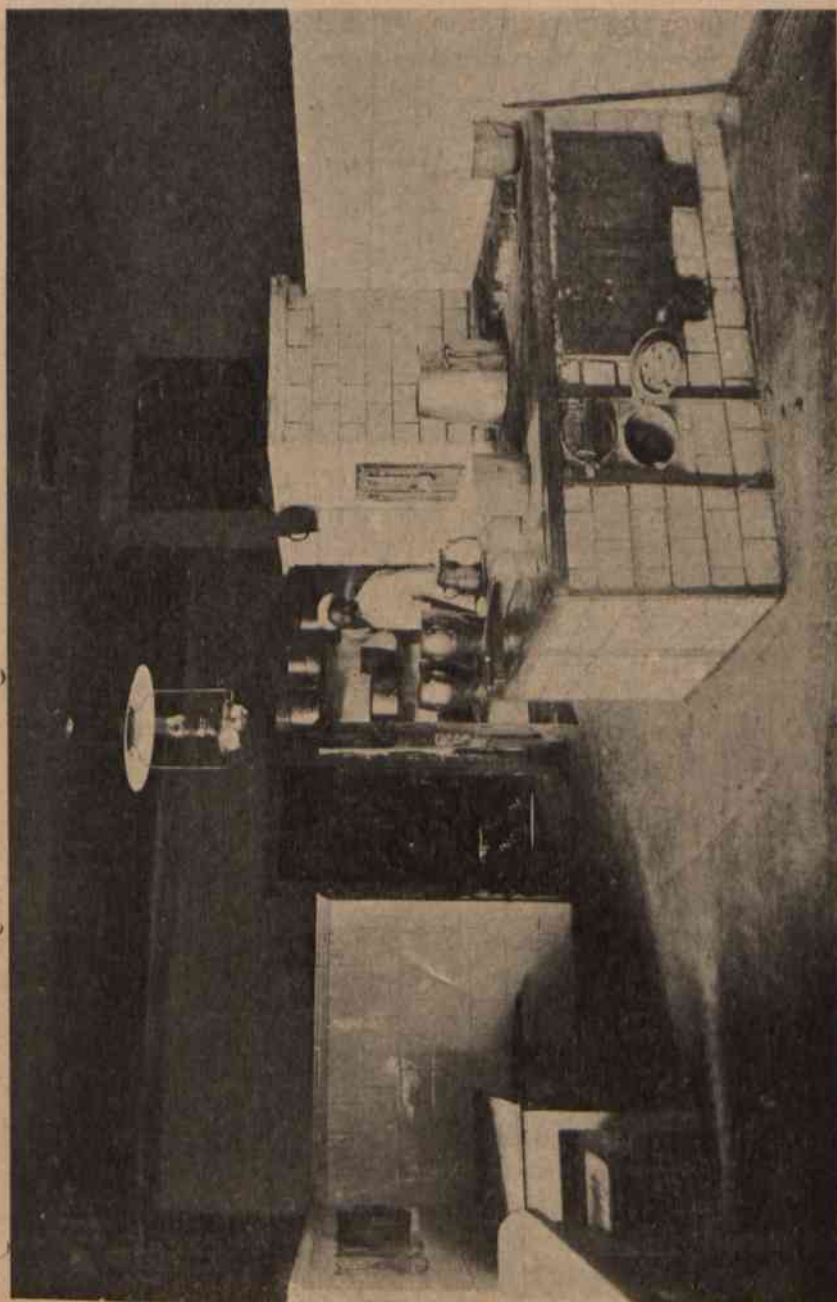
Oto cała kuracja. Jakież przypadłości i cierpienia specjalne lekarz stara się usunąć przez odpowiednie środki. W miarę potrzeby stosują się nacierania, masaż, kąpiele itd.

Sanatorja.

Jak widzimy, całe leczenie, powyżej przedstawione, nie zawiera nic takiego, co by nie mogło być stosowane w zwykłym domu prywatnym, dość zamożnym na to, aby przeznaczyć dla chorego pokój osobny, należycie go urządzić i utrzymywać w czystości, przy pomocy specjalnej obsługi. Dlatego też leczenie suchot w domu, mianowicie na wsi, jest zupełnie możliwe, o ile się ma zapewniony nadzór lekarski.

Ale dla mieszkańca miast, nawet zamożnego, leczenie się domowe przedstawia znaczne trudności. Trudność znalezienia gdzieś w lesie lub w górach mieszkania czasowego, odpowiednio położonego, trudność urządzenia obsługi, zaprowiantowania się, przygotowywania pokarmów — wszystko to sprawia, że rodzina zamożniejsza, której jeden z członków zapadł na gruźlicę, ma przed sobą alternatywę: albo przenieść się na wieś i tam poświęcić się pielęgnowaniu chorego, albo go oddać do specjalnego domu zdrowia, czyli sanatorjum dla chorych piersiowych.

Rodzina uboga, zmuszona mieszkać w mieście, będzie w położeniu rozpaczliwem dopóty, dopóki nie będzie pobudo-



Sanatorjum w Otwocku: Kuchnia.

wana dostateczna ilość oddziałów szpitalnych wiejskich lub leśnych, specjalnie przeznaczonych dla suchotników, albo też sanatorjów ludowych, zgoła bezpłatnych lub o bardzo niskiej opłacie. Ruch w tym kierunku jest dzisiaj potężny w całym świecie cywilizowanym.

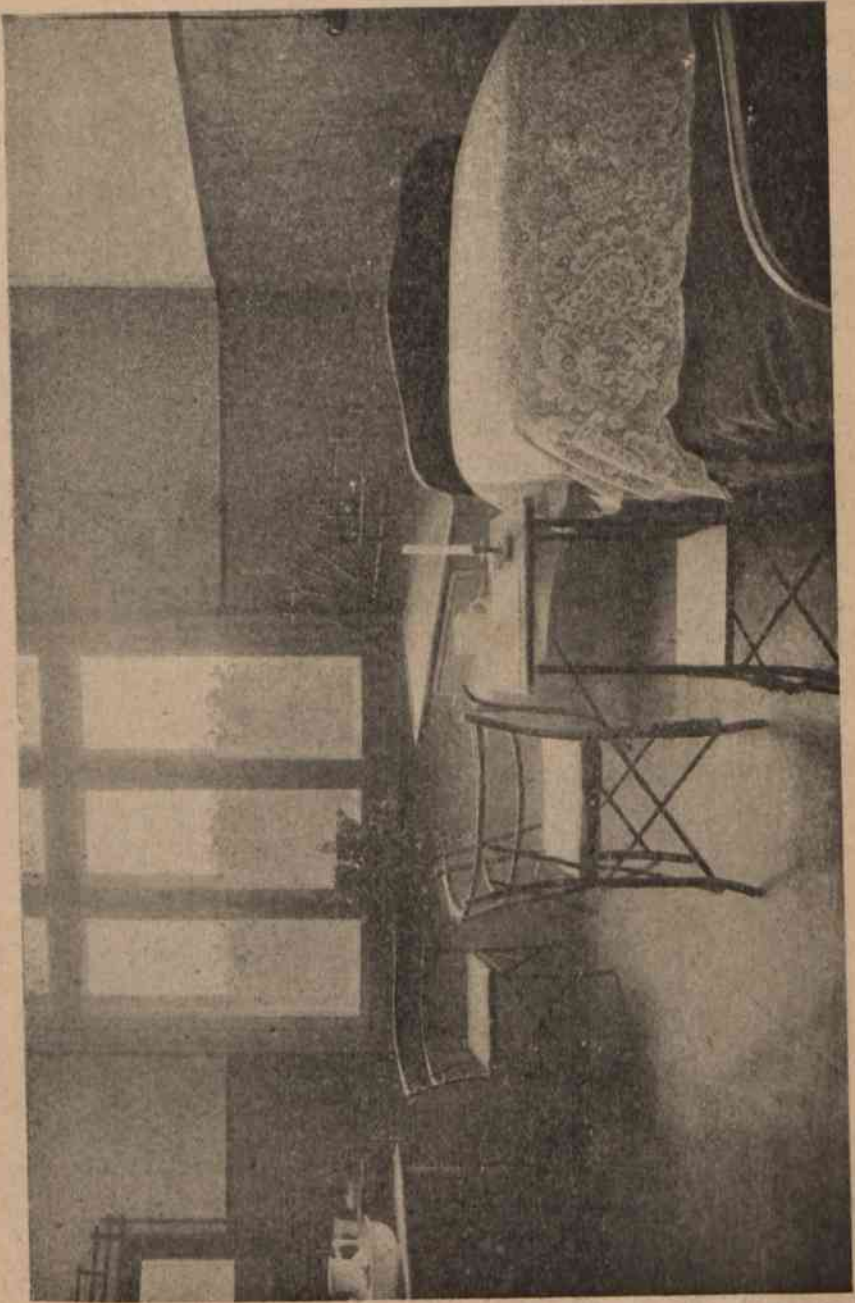
U nas 25 lat temu, kiedy w Europie jeszcze nikomu się nie śniło o specjalnych zakładach leczenia suchot dla ludności ubogiej, doktor Henryk Dobrzycki przedstawił warszawskiej Radzie miejskiej dobroczynności publicznej projekt założenia w lasach Mieni sanatorjum dla suchotników. „W lat kilka po wniesionem podaniu — powiada w swoim odczycie prof. Baranowski—coś niecoś z myśli d-ra Dobrzyckiego postanowiono ziścić, w formie bardzo niedokładnej. Rzecz cała jednak upadła, z chwilą gdy lekarzem w Mieni przestał być dr. Dobrzycki, któremu się wdzięczne od nas należy wspomnienie za usiłowanie, podjęte w tym kierunku wcześniej niż gdziebądź w Europie“.

Przed dwoma laty projekt założenia sanatorjum dla ludzi ubogich podniósł w Warszawie dr. Teodor Dunin i zebrał już na ten cel około 60 tysięcy rubli. Obecnie po zjeździe krakowskim, na którym sprawa zwalczania gruźlicy pierwsze zajmowała miejsce, rozpocznie się zapewne u nas szerszy ruch w tym kierunku.

Zanim się wszakże tą sprawą specjalnie zajmiemy, zatrzymamy się przedewszystkiem na pierwszym i jak dotąd jedynym w Królestwie zakładzie dla chorych piersiowych, w Otwocku.

Sanatorjum w Otwocku.

Otwock jest to miejscowość letnicza, przy stacji kolei Nadwiślańskiej, o godzinę drogi od Warszawy oddalona. Miejscowość ta leży wśród obszernych lasów sosnowych, mających kilka mil kwadratowych obszaru. Grunt przepusz-



Sanatorjum w Otwocku: Pokój chorego

czalny, piaszczysty, w lesie pokryty mchem i wrzosami, co zabezpiecza od kurzu. Nigdzie niema stojących wód ani bagnisk. Studnie abisyńskie dostarczają wody nader czystej i zdrowej.

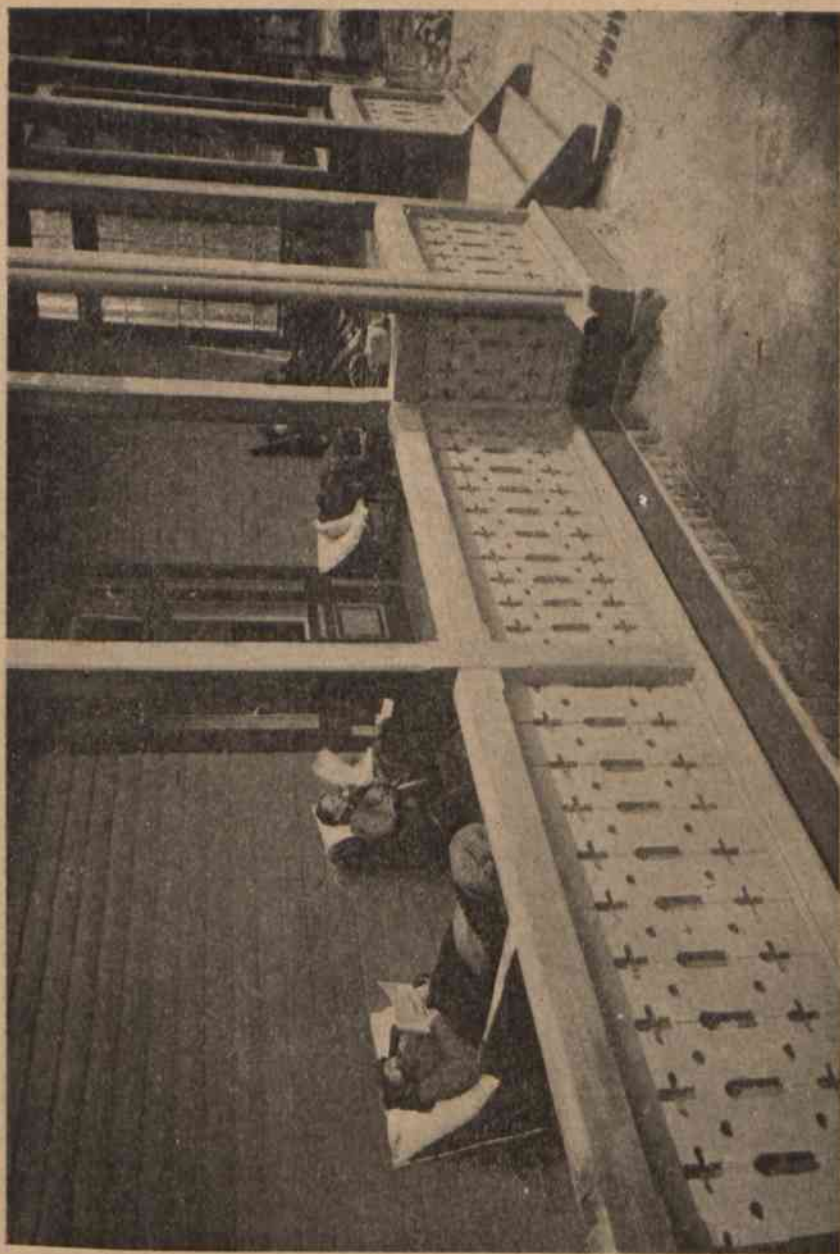
Na zdrowotne warunki Otwocka, jak świadczy lekarz sanatorjum dr. Władysław Wroński *), pierwsi zwrócili uwagę lekarze prof. I. Baranowski i dr. K. Dobrski i zaczęli skierowywać tutaj chorych. W r. 1890 powstał tu zakład kąpielowy d-ra Gajslera, zamieniony w r. 1893 na Sanatorjum, czyli internat dla chorych piersiowych. Zakład ten, oddalony o 10 minut drogi pieszo od stacji kolejowej, leży wśród młodego lasu sosnowego, urządzonego na sposób parku.

Zbudowany pierwotnie na małą skalę, zakład ten obecnie został rozszerzony przez dobudowanie nowego piętrowego gmachu o trzydziestu kilku pokojach dla chorych. W głównym budynku wielka sala jadalna, czytelnia, podręczna pracownia chemiczno-mikroskopowa, trzy werandy, taras od frontu, nadto pewna ilość pokojów posiada balkony. Cały zakład skanalizowany i zaopatrzony w wodociągi.

Sposób leczenia chorych piersiowych dr. Wroński opisuje w sposób następujący: *)

Główną zasadą jest, aby chorzy, o ile możności, zawsze przebywali w świeżem i czystem powietrzu. W ciepłej porze roku chorzy leżą po całych dniach na odpowiednich łóżkach lub krzesłach składanych, porozstawianych w różnych punktach lasku; w zimie leżą na werandzie lub balkonach, odpowiednio ubrani i okryci. Tylko ciężko chorzy, mocno gorączkujący i wycieńczeni, leżą w swoich pokojach przy oknach, w ciągu całego dnia otwartych; w zimie większą część dnia okna w pokojach chorych są otwarte. Lżej chorzy lub chorzy nie zaliczeni do kategorii płucnych, spędzają część dnia na spacerach, stosownie do zalecenia lekarskiego, w godzinach zaś wolnych od przechadzki, spoczywają w lasku lub na werandzie. W porze letniej sypiają chorzy przy całkiem lub częściowo otwartych oknach, a w porze zimowej pokoje

*) „Otwock, jako miejscowość lecznicza“. Warszawa, 1898.



Sanatorjum w Otwocku: Chorzy na werandzie letniej.

są dostatecznie przewietrzone przez wentylatory i przez otwieranie okien w ciągu dnia. Chorzy, świeżo przybyli do zakładu w porze zimowej, widząc, jak inni pacjenci leżą na werandzie na świeżem powietrzu i znoszą tę kurację znakomicie, sami chętnie się zgadzają na kurację na otwartem powietrzu, i ci nawet, którzy poprzednio jej się obawiali, prędko tak przywykają do tej kuracji, że czują się pokrzywdzeni, gdy czasem wskutek jakiegoś wyjątkowego stanu pogody, nie mogą wyjść na werandę.

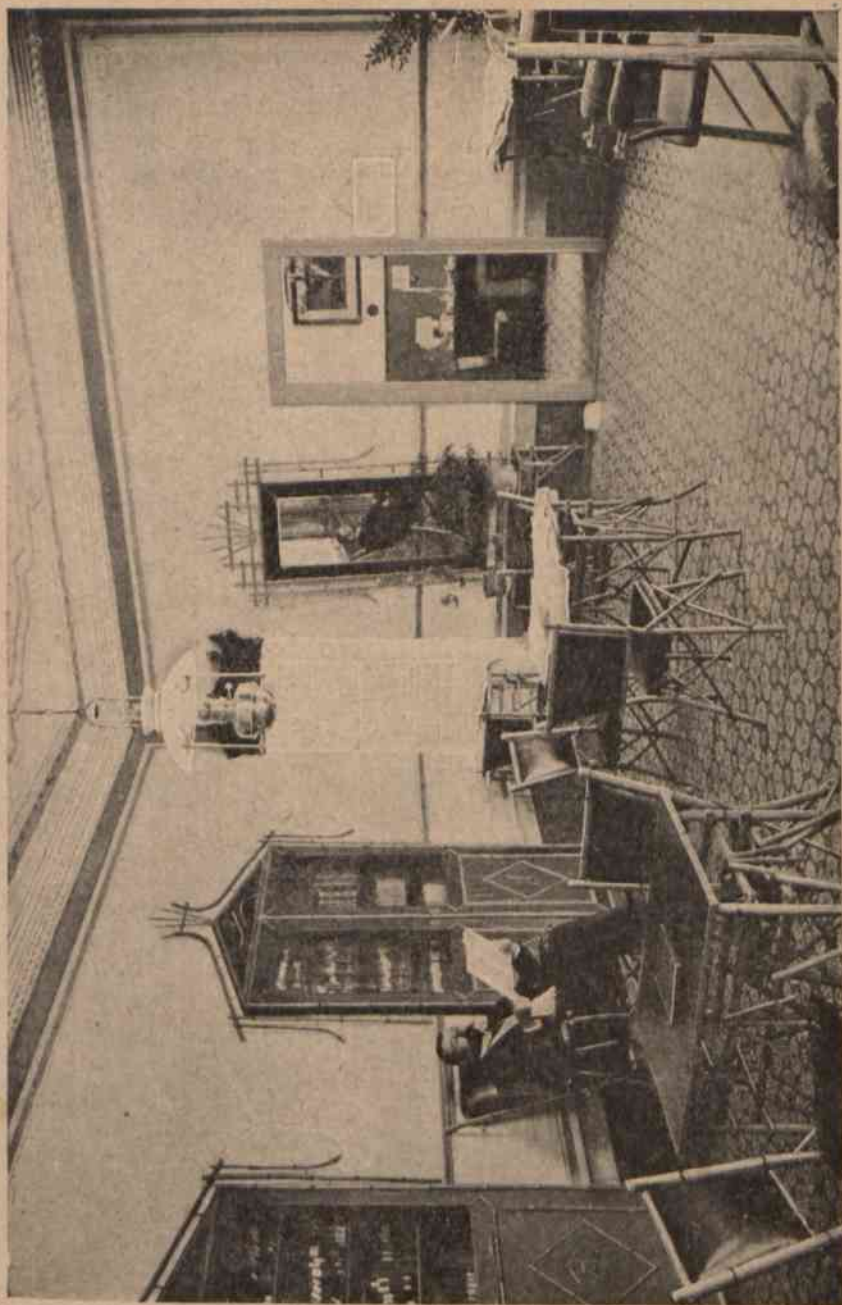
Drugim, również ważnym czynnikiem tej kuracji, jest możliwe podniesienie odżywiania pacjentów. Chorzy jadają 5 razy na dzień, dostając nadto duże ilości mleka lub kumysu, stosownie do potrzeby. Obiady składają się z 4-ch dań, z tych dwa mięsne; kolacja z jednego mięsnego dania i jarzyny; przytem kładziony jest duży nacisk na dużą ilość pokarmów mącznych i jarzyn, niezbędnych dla wycieńczonych chorych. Napoje wyskokowe są używane tylko z osobnego zalecenia lekarskiego.

Warunki czystości (aseptyka) i odpowiednia dezynfekcja (antyseptyka) tak mieszkań, jak i płwociny, surowo są przestrzegane. Każdemu choremu zaleca się systematyczne codzienne płukanie ust i gardła płynami dezynfekującymi. Każdy chory piersiowy obowiązany jest zaopatrzyć się i ciągle nosić przy sobie sopluczkę kieszonkową Dettweilera. U większości chorych stosuje się codziennie obmywanie.

W leczeniu chorych piersiowych i wogóle chorych wycieńczonych i osłabionych *ściśle przestrzegany jest spokój, jako metoda oszczędzająca.* O godzinie 10-cj wieczorem wszyscy chorzy udają się na spoczynek.

Chorzy pozostają pod ciągłą opieką lekarską; lekarze czuwają, aby przepisy higieniczno - djetetyczne były ściśle wypełniane, starają się odpowiednio psychicznie oddziaływać na pacjentów, dodając im otuchy w zwątpieniu i zachęcając do cierpliwości i wytrwałości, tak niezbędnych w ciągu długotrwałej kuracji.

Przy leczeniu w sanatorjum zwraca się uwagę na cały tryb życia leczącego się; przez to *chorzy podczas pobytu w za-*



Sanatorium w Otwocku: Czytelnia.

kładzie wdrażają się do przestrzegania zasad indywidualnej higieny i po opuszczeniu zakładu.

W zakładzie stale w ciągu całego roku przebywają dwaj lekarze, oprócz tego regularnie w ciągu roku odwiedza zakład lekarz-konsultant z Warszawy, a w sezonie letnim poza zakładem praktykuje nadto kilku lekarzy.

Wyniki leczenia, jak zapewnia dr. Wroński, są bardzo domyślne. Byłyby zaś z pewnością jeszcze lepsze, gdyby nie ta okoliczność, że u nas jeszcze publiczność, a nawet nie wszyscy lekarze zdecydowali się uciekać do sanatorjum w Otwocku w samym zarodku choroby. Dopiero gdy chory objechał już bezskutecznie różne bady i uzdrowiska zagraniczne i żadnego już dlań niema ratunku, przywożą go do Otwocka. Ztąd statystyka wyleczeń musi tu się przedstawiać inaczej, niż gdziekolwiekby indziej. Ale w wypadkach mniej posuniętych suchot wyniki są doskonałe i całkowite wyleczenie lub stanowcza poprawa bardzo często osiągane.

L. Gr.

Monarchowie włoscy.

Humbert „Biała ręka”, pierwszy hrabia Sabaudzki z łaski cesarza Konrada Salickiego, który mu darował gniazdo orle w Alpach, jako uposażenie, — był dziewięćset lat temu panem o bardzo niewielkiem znaczeniu.

Jego Królewska Mość Humbert I, król włoski, potomek tamtego, był monarchą rozległego półwyspu włoskiego, a rezydował w Rzymie. Założyciel dynastji, ów pierwszy Humbert, gdyby powrócił na ziemię, mógłby być dumny z wielkiego dzieła następców.

Powodzenie Domu Sabaudzkiego nie ma w historii równego sobie, z wyjątkiem rodziny Hohenzollernów: wznosił się on o własnych siłach, z początku wolno rozwijał się, ale ciągle, dzięki cierpliwości i zdolnościom długiego szeregu książąt, aż nagle osiągnął cel najwyższy w chwili przełomu najcięższego, kiedy mógł uleść ostatecznej zapładzie.

Obecne królestwo włoskie, którego Humbert I był drugim monarchą, powstało 17 marca 1861 r., a Wiktor Emanuel był jego pierwszym królem.

Król Humbert i królowa Matgorzata.

Humbert I-szy urodził się w Turynie d. 14 marca 1844 roku. Matka jego, arcyksiężna austriacka, zmarła, gdy miał lat jedenaście. Ojciec, pochłonięty już przez politykę i srodcze przestrzegający ceremonjału Domu Sabaudzkiego w stosunku do rodziny, bardzo mało się zajmował wychowaniem syna, powierzając je staraniom żołnierza, generała Józefa Rossi'ego. Młodość przeszkodziła Humbertowi wziąć udział

w wojnie 1859 r., aż dopiero w r. 1866 poznał pole bitwy pod Custozzą. D. 22 kwietnia 1868 r. zaślubił swą siostrę stryjeczną, Małgorzatę, księżniczkę sabaudzko-genueńską, mającą wówczas zaledwie lat siedemnaście. Następnego roku miał z nią syna, który pozostał jedynym ich dzieckiem, księcia Neapolu, Wiktora Emanuela, domniemanego wtedy spadkobiercą korony. Humbert, aż do wstąpienia na tron, co się stało d. 9 stycznia 1878 r., nie miał historii: krył się w cieniu zupełnie, bo tak mu nakazał charakter i postępowanie ojca Wiktora Emanuela.

Przeszło dwadzieścia lat upłynęło od czasu, gdy Humbert, jako monarcha, zaprzysiął wierność konstytucji; czas mógł wyręć na nim swe piętno, ale przymioty księcia przetrwały u króla. Jego popularność nie zmniejszyła się, a poddani odnaleźli z przyjemnością w jego osobie pewne podobieństwo do swego dawnego bóstwa: króla „grzecznego człowieka“.

Dwoje oczu błyszczących, ognistych, siwe brwi krzaczaste, wąs biały, gęsty, ogromny, którego pozazdrościłyby każdy stary wiarus,—oto jak wyglądał Jego Królewska Mość, król włoski Humbert. Wzrostu więcej niż średniego, zawsze silnie zbudowany, w ostatnich latach życia przytył i przestał przypominać księcia wysmukłego i szczupłego z przed lat trzydziestu. Włosy mniej obfite, były teraz jeżem nastroszone, a oddawna straciły swą barwę naturalną.

Lubiąc życie na świeżem powietrzu, oraz ćwiczenia fizyczne, zdołał zachować do ostatniej chwili zdrowie doskonałe, o które dbał. Zaprzysiął raz na „cześć królewską“, że nie będzie palił, i odtąd zarzucił zupełnie „wirginje“—cygara narodowe, przetknięte słomką, które lubił namiętnie. Wrażenie pewnej surowości, jakie wywieriała zazwyczaj twarz jego, łagodniało i zacierało się, gdy zaczął mówić; wyglądał wspaniale, gdy wyprostowany, dumny, obciśnięty w kurtkę mundurową, w wysokim kaszkiecie na głowie, prowadził pod rękę królowę Małgorzatę, uosobienie majestatu, „monarchini“.

Małgorzata Sabaudzka jest jeszcze dotąd piękną. Włosy blondynki wenecjańskiej o odcieniu ciepłym i jaskrawym,



Królestwo włoscy od r. 1868, czasu ich ślubu, do r. 1898.

*J. K. M. królowa Małgorzata w r. 1868, 1898, 1893 i 1896. — J. K. M. król
Humbert I w r. 1868, 1868, 1898, 1878 (data wstąpienia na tron) i 1893.*

otaczają oblicze uderzającej białości. Oczy jej ciemno szare, jednocześnie dumne i pieszczośliwe, odsłaniają duszę szlachetną, wyższą. Uśmiech, pełen słodyczy i pobłażania, odkrywa zęby cudowne. Wysmukłość kibici, wdzięk w ruchach, całość zresztą postaci przyczynia się do tego, że królowa jest powabną i miłą. Zawsze elegancko ubrana, Małgorzata z niezrównanym wdziękiem nosi swe tualety.

Z brylantową koroną królewską na głowie, ramiona pokryte wielkimi perłami, które szczególnie lubi — królowa wywiera wrażenie silne, niezatarte.

Umysł jej wykształcony miał w każdej chwili na wszystko gotowe i odpowiednie słowo. Pełna łaskawości i przystępna, swobodnie z każdym rozmawia, zachowując przy tem swą godność królewską. Jako kobieta i jako królowa, silnie przyczyniała się od czasu swego małżeństwa do roztaczania uroku, jaki mieli królestwo włoscy, oraz do rozbrojenia wielu nieprzyjaciół: najbardziej stanowczy przeciwnicy korony byli pierwszymi przy oddawaniu jej hołdu.

Króla Humberta cechowała przedewszystkiem krew zimna i odwaga. Pod Custozzą, więc w bardzo jeszcze młodych latach, dowiódł rzadkiej przytomności umysłu, formując bez wahania czworobok ze swego wojska, zaskoczonego w szyku marszowym przez kawalerję austriacką. W Neapolu, gdy szaleniec Passanante usiłował w r. 1878 zaszyteltować go w powozie przy boku królowej, potrafił wczas obronić życie, ogłuszając napastnika uderzeniem szpady po głowie. Późniejszy zamach anarchisty Acciaritto dał mu sposobność do okazania mocy charakteru. „To wypadek zawodowy“, mówił do swego adjutanta. Wreszcie jego zachowanie się podczas cholery w Neapolu było pełne odwagi i zaparcia się siebie.

Rezydencje królewskie. — Podróże po Włoszech.

Król włoski miałby zapewne kłopot z wyborem rezydencji, gdyby bieg spraw politycznych nie wymagał obec-

ności monarchy w stolicy. W każdej części państwa posiadał gmach gotowy do przyjęcia: w Turynie, Medjolanie, Wenecji, Florencji, Neapolu, Caserte, — wszędzie mógł przybyć z nienacka, bez żadnych przygotowań specjalnych. Liczne pałace, jakie posiadał, przypadły mu w udziale już to drogą dziedzictwa, już prawem zdobycy, a mimowolnie wywoływać musiały w umyśle króla pamięć dawnych właścicieli. Czy mógł Humbert się czuć prawdziwie jak w domu w pałacu Pitti, we Florencji, czy mogło mu się nie zdawać, że jest gościem chwilowym wielkiego księcia Toskańskiego; pałac w Neapolu przypominał mu z pewnością królów dawnych, a nawet w Rzymie pałac Kwirynalski był własnością papieża. Jedynie w Piemontcie, w Turynie, swem mieście rodzinnem, monarcha spotykał same tylko przyjemne pamiątki rodzinne; i tylko obawa wywołania zazdrości w innych częściach królestwa wstrzymywała go od przybywania tam częściej i dłużej. Licząc się z wymaganiami miejscowemi i chcąc zadość uczynić pragnieniom arystokracji starych królestw, która trzymała się zdaleka od Rzymu pomimo powabów Dworu, Humbert urządził się tak, że książęta jego rodziny zastępowali go w głównych miastach włoskich; w Turynie mieszkali książę i księżna Aosty; w Wenecji książę Genui; w Neapolu, we Florencji książę Neapolu z żoną.



Król i królowa.

Król sam podróżował wiele z królową. Każdego roku przybywał do Neapolu, mieszkał jakiś czas we Florencji, nie zapominał o Wenecji, ślicznem mieście jezior, szczególnie

Król sam podróżował wiele z królową. Każdego roku przybywał do Neapolu, mieszkał jakiś czas we Florencji, nie zapominał o Wenecji, ślicznem mieście jezior, szczególnie

przez Małgorzatę umiłowaniem. Odświeżenie pomników, wystawy, zwykle konkursy rolnicze, wszelka uroczystość, jaką bądź przyczyna starczyła na to, żeby się zbliżyć do ludu, i król nie omieszkiwał nigdy, w czasie uroczystości ukazywać się na balkonie pałacu. Niestrudzona w tych podróżach para królewska świadczyła wszędzie grzeczności aż do znużenia dam honorowych i adjutantów, zostawiając po sobie pamięć świetną i trwałą. W Monzie tylko król i królowa używali każdego lata odpoczynku, dobrze zasłużonego. W tej rezydencji, bliskiej Medjoianu, otoczonej ogromnym parkiem, Ich Królewskie Mości chronili się przed żarem słońca rzymskiego. Ale to schronienie nie starczyło dla królowej, która poszukiwała samotności, znajdując ją jedynie w chłodnej dolinie Gressonney, u stóp kolosalnej góry Rose. W powabnym domku, okolonym łąkami, prowadziła życie spokojne, w całym skupieniu myśli. Król się tutaj spotykał z nią od czasu do czasu, polując na kozły skalne w górach; towarzyszył jej wtedy często na przechadzkach alpejskich, w wycieczkach po górach, często niebezpiecznych; czyste powietrze tych miejscowości o śniegach wiecznych, cisza majestatyczna, panująca na tych lodowcach, wracały im zawsze równowagę fizyczną i moralną, potrzebniejszą jeszcze monarchom niż poddanym.

Monarchowie i ich dwór w Rzymie.

Sześć miesięcy do roku dwór rezyduje w Rzymie. Od d. 20 września 1870 r. miasto cesarów i papieży jest stolicą oficjalną Włoch. Tam są posiedzenia parlamentu, tam srodowisko rządowe, tam przebywa ciało dyplomatyczne. W Rzymie odbywają się uroczystości urzędowe państwa, tu się święci rocznice urodzin monarchów i uroczystości państwowe, a pałac Kwirynalski jest wciąż (od stycznia 1871 r.) pierwszą i główną rezydencją.

Powróciwszy do Rzymu w końcu listopada, król i kró-

lowa prowadzili życie skromne, wolne od zbytków i mocno zazwyczaj pracowite. Czas ich pochłaniały obowiązki wszelkiego rodzaju, jakie pociąga za sobą stanowisko królewskie. Widywali się też niewiele. Król wstawał co dzień bardzo wcześnie, około w pół do siódmej; dosiadał konia, albo bywał obecny przy tresowaniu koni: przy tej sposobności nie zapominał nigdy o lewku, który się w stajni urodził i który bawił bardzo króla. Po południu odbywała się przejażdżka klasyczna po Corsie, po parku Willa Borghèse i Pincio, wtedy publiczność mogła widzieć i witać Ich Królewskie Mości. Król wyjeżdżał powozem, zaprzęgniętym we dwa konie, którymi sam powoził; ubrany bywał po cywilnemu, a towarzyszył mu oficer ordynansowy w pełnym uniformie, oraz lokaj w czarnej liberji. Królowa zaś jeździła w wielkim lando—stangret i lokaje w galowej czerwonej liberji, z czasów Wiktora Emanuela, w perukach upudrowanych. Jeśli król mijał ekwipaż królowej, zatrzymywał się, schodził z powozu i całował uroczyście rękę małżonki.

Po za temi dwoma wycieczkami codziennemi, Humbert nie używał żadnych innych rozrywek. Udawał się jeszcze tylko na wyścigi w Centocelle i Campanelle, oraz często na łowy na odyńce w okolicach miasta. W teatrze nie ukazywał się nigdy po za widowiskami galowemi.

Wieczorem lubił wcześnie udawać się na spoczynek do swych apartamentów, około godziny dziesiątej lub później, przyjmował rzadko zaproszenia. Jeżeli zaś przez sezon zabaw robił jakieś wyjątki z tej reguły prawie nieodmiennej, czynił to jedynie dla niektórych ambasad, gdzie obecność jego, zarówno jak i królowej była konieczną, ze względów politycznych.

Królowa Małgorzata przeciwnie ukazywała się w Operze, Komedji, na koncertach, wszędzie zresztą, gdzie jej umysł nader subtelny znaleźć mógł jaką przyjemność. Przyjęcia dworskie nie miały same przez się tego blasku i przepychu, jakie im nadawać lubiał Wiktor Emanuel. Nielicznie uczęszczane, kończyły się zresztą prędko, z wyjątkiem okoliczności nadzwyczajnych, podczas cerklu dworskiego, odbywającego się d. 30 grudnia, gdy Ich Królewskie Mości przyj-

mowali życzenia ciała dyplomatycznego, oraz podczas dwóch wielkich balów, które królowa rozpoczynała kadrylem honorowym, według starożytnego ceremonjału. O tych uroczystościach urzędowych dochodziły do publiczności tylko [słabe i dalekie odgłosy. Rocznica urodzin króla, a zwłaszcza przegląd wojsk przez monarchę na placu Niepodległości d. 4 czerwca, dzień święta „Statutu“, dawały ludowi sposobność okazania uczuć dla dynastji i jednocześnie zadowolenia wrodzonego pociągu do widowisk błyskotliwych. Tego dnia mogły tłumy podziwiać wdzięk majestatu królowej, która siedziała w wspaniałym ekwipażu, oraz marsową postać króla, ubranego, jak na wszystkich ceremonjach urzędowych, w pełny uniform generała: dołman czarny ze srebrnymi galonami, pantalonny obcisłe szaro-perłowe i kask złoty, na którym powiewał gruby, biały pióropusz.

Lecz jeżeli król Humbert spełniał w Rzymie wszechstronnie czynności monarchy, uważając to za konieczne, celem pochlebiania miłości własnej narodu, to jednocześnie widział, na jakie to go wystawia nieprzyjemności. Za każdym razem, gdy się ukazywał publicznie, a ktoś mu nie oddał ukłonu, przypominało mu to, że jest tylko monarchą w „Rzymie“, nie zaś „Rzymu“; przez okna Kwirynału widział wznoszący się z daleka Watykan, gdzie następcą św. Piotra skazał się dobrowolnie na więzienie, żeby protestować przeciw obecności w Wiecznym Mieście głowy Domu Sabaudzkiego.

Część ludności, wierna papieżowi, nie uznaje króla: księża odwracają się, gdy przechodzi, połowa arystokracji rzymskiej nie zjawia się na uroczystościach Kwirynału. Księżęta katolicycy, nie chcąc wyrządzać przykrości Monarsze Kościelnemu przez odwiedziny w byłej jego stolicy innego monarchy, trzymają się zdala. Takimi są naprzykład siostrzeniec Humberta I-go, Karol I, król portugalski, oraz Franciszek Józef, cesarz austriacki, który z tej przyczyny nie oddał wcale wizyty królowi włoskiemu, pomimo, że ten był u niego w Wiedniu r. 1881. Księżęta protestancy, nie liczący się z temi skrupułami, muszą jednak, jeżeli życzą sobie odwiedzić Leona XIII-go, odprawić pewną ceremonję nieprzyjemną dla dworu włoskiego. Muszą się niejako „oczy-

ścić“, zanim dostaną się po Kwirynale do Watykanu, przechodząc przez mieszkanie swych ambasad, uwierzytelnionych u św. Piotra. A toć własna siostra króla, kochana przezeń najczulej, księżna Klotylda, odmawiała przyjęcia gościnności brata przez wzgląd na Papieża! Zresztą klątwa, rzucona przez Piusa IX, wisi ciągle nad głową króla włoskiego, o ile nie opuści krajów papieskich.



Królowa włoska Helena.



Król włoski Wiktor Emanuelll.

Stosunek króla do Kościoła.

Rozłam i nieprzyjaźń między dwiema potęgami, wspólnie w Rzymie zamieszkałymi, nie są jednak tak zupełne i gwałtowne, jak nieraz sądzą. Naprzód, już czas trochę złagodził ostrość stosunku, a powtóre, Kościół rozróżnia w osobie monarchy króla Sardynji i Piemontu od króla Włoch, co umożliwia życie obok siebie z dnia na dzień.

Humbert I asystował przy mszy świętej, przyjmował sakramenty, miał kapelanów — co prawda, zawsze piemont-

czyków—w Rzymie i Monzie. Przy obsadzeniu stolicy arcybiskupiej w Turynie potrzebną jest zgoda króla. W dniu urodzin królewskich śpiewają oficjalnie *Te Deum* w krajach dziedzicznych Domu Sabaudzkiego, oraz w Lombardji i Wenecji, w prowincjach odebranych Austrii. W tychże częściach królestwa duchowieństwo może asystować przy uroczystościach publicznych; tak np. w Wenecji patriarcha poświęca nowe okręty wojenne w obecności rodziny królewskiej.

Między królem włoskim a Kościołem w teorii nie powinno być żadnej styczności. W rzeczywistości tak nie jest. Już Wiktor Emanuel przed śmiercią otrzymał wszelką pomoc religijną i to z wyraźnego upoważnienia Papieża.

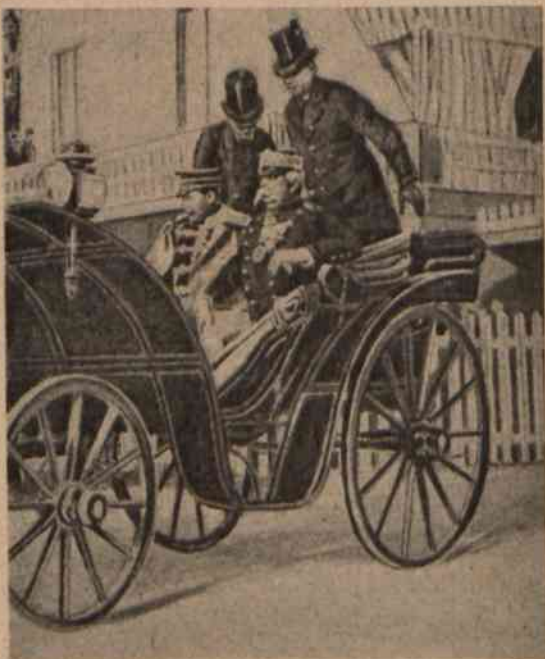
W samym Rzymie król ma kościół oddzielny, świątynię del Sudario, gdzie w r. 1893 odprawiono nabożeństwo z powodu srebrnego wesela Ich Królewskich Mości. Ślub religijny księcia Neapolu z księżniczką Heleną Czarnogórską mógł się odbyć w r. 1896 w stolicy, w kościele Świętej Marji Anielskiej, za zezwoleniem Leona XIII-go, chociaż ceremonji nie przewodniczył prałat rzymski w bazylice, jak tego sobie życzyli na Dworze.

Rozrywki królowej.—Zajęcia króla.

Królowa Małgorzata nie zajmowała się wcale polityką. Obwarowała się w państwie, o które nikt nie myślał z nią się sprzeczać, w państwie literatury i sztuki. Wykształcona i piękna, o bardzo szerokim umyśle, ma ona smak subtelny i wyrobiony. Znajomość francuskiego, niemieckiego, angielskiego i łaciny pozwala jej czytać w oryginale arcydzieła czterech literatur. Pragnąc być obeznaną z ruchem umysłowym współczesnym, otrzymuje wszystkie wydawnictwa, przedstawiające jakiś interes, i poświęca czytaniu ich godziny przedpołudniowe, zachwyca ona też wszechstronnością

wykształcenia, zwięzłością i dokładnością poglądów artystów, poetów, pisarzy, których przyjmuje zawsze, gdy przybywają do Rzymu. Genjusz, talent, w jakiejbądź formie się wyrażają, nęca ją. Wielbicielka Duse i Novelliego, dwójga wielkich aktorów włoskich, zaszczyca swą obecnością ich występy. Są pewni jej odwiedzin na wystawach malarskich i rzeźbiarskich: jej bardzo żywe upodobanie w muzyce jest

znane powszechnie; mówią, że sama śpiewa, a jedna z jej ulubionych artystek, wirtuozka Tua, gra często w Kwirynale we środy wieczorami, podczas tych wieczorków tygodniowych, na które zaprasza się tylko wybór towarzystwa. To uwielbienie przez królową Małgorzatę sztuk pięknych, objawia się w sposób nader pochlebny dla Francji podczas



Cesarz Wilhelm II i król Humbert I,
podczas odwiedzin cesarza niemieckiego w Rzymie 1893 r.

wizyty, jaką oddaje co rok we francuskiej Akademji w Rzymie, na villa Medicis. Dnia tego przed obchodzeniem salonów, w których się wystawia dzieła artystów, malarzy, rzeźbiarzy, rytowników, budowniczych szkoły francuskiej, i gdzie królowa robi uwagi zawsze słuszne i wytworne, — jest ona obecną przy wykonywaniu przez wychowañców Konserwatorjum rzymskiego ostatniego dzieła, skomponowanego przez

jednego z młodych mistrzów francuskich. Aby zaś zakończyć ten dzień tak, jak tylko pragnąć może dusza wybrana, trzyma się ona przepięknej tradycji, wedle której monarchini ofiarować sobie zezwala najwonnieszy z owoców pierwszych wiosny, poziomki.

Humbert I miał umysł bardziej trzeźwy, mniej też był od żony skłonny do ideałów sztuki: jego zajęcia ograniczały się na polityce i sprawach społecznych. Rozumie się samo przez się, że to starczy do wypełnienia życia.

Bezpośrednie oddziaływanie króla znać było jednak tylko w sferze polityki zewnętrznej państwa. Przez cały czas panowania, Humbert trzymał się ściśle granic, zakreślonych mu przez konstytucję. Wierny swej przysiędze, że będzie szanował wszelką swobodę publiczną, trzymał się zdaleka od walk stronnictw i żył w zgodzie z ministrami, jakich wyznaczyła mniej lub więcej stała większość parlamentu. „Statut“ powierzył mu wyłączne prawo zawierania przymierzy, król korzystał z tego na rzecz Niemiec i Austro-Węgier; jego wykształcenie wojskowe, wspomnienia młodości, datujące się od r. 1866, a nawet uczucia wrodzone królowej, córki księcia Saskiego,—wszystko zbliżało go do Niemiec. Podróże Wilhelma II-go z cesarzową do Rzymu, Wenecji, wizyty oddane w Berlinie i Poczdamie, stworzyły od lat dwunastu więzy osobiste między dwiema rodzinami panującymi, a naród włoski, któremu pochlebiał szacunek, świadczony monarsze, nie sprzeciwiał się zbytecznie polityce ani dlań sympatycznej, ani dotychczas bardzo korzystnej.

Sprawy i kłopoty publiczne zostawiały i musiały królowi Humbertowi zostawiać czas do zajmowania się sprawami własnymi.

Wiktor Emanuel, który wydawał bez rachunku, pozostawił piętnaście milionów długu. Syn jego chciał wszystko spłacić w jaknajkrótszym terminie, i żeby dojść do tego, musiał się uciec do zaprowadzenia oszczędności i reformy w zarządzie prywatnego majątku. Spłacił naprzód najbardziej naglące długi, sprzedając za przeszło cztery miliony ziemi, zostało mu zaledwie kilka folwarków. Potem zmniejszył służbę dworską, znosząc urzędy i posady zbyteczne

a nawet zawarł z kucharzem umowę hurtową, według obyczaju krajowego. Takimi środkami energicznymi, pomimo dobrowolnego zmniejszenia o sześć milionów swej listy cywilnej, wynoszącej czternaście milionów franków, doszedł nie tylko do uregulowania należności po Wiktorze Emanuelu, lecz zaoszczędził jeszcze około piętnastu milionów. Aby osiągnąć tak świetny rezultat, trzeba było dokazać cudu w administracji, tembardziej, że obowiązki korony są ciężkie (utrzymanie pałaców królewskich należy do nich), i że król był bardzo dobroczynny. Gdy tylko katastrofa jaka, lub epidemia spadły na jaką prowincję, król nie omieszkiał pospieszyć z pomocą zazwyczaj poważną: szlachetność jego względem biednych i służby w rezydencjach stała się przysłowiową.

Pamięć też o nim żyć będzie długo, przystrojona w tęczowe barwy miłości i wdzięczności.

W żyłach króla Humberta płynęła odrobina krwi polskiej. Babka jego Marja Krystyna, małżonka Karola Alberta, księcia de Carignan, była urodzona z Polki, *Franciszki Kraszińskiej*, żony Karola, księcia Saskiego i Kurlandzkiego. Ponieważ druga siostra Franciszki, Barbara Świdzińska miała syna i sześć córek, powinowactwo tedy panującego we Włoszech domu rozciągnęło się na liczne grono rodów polskich. Szymanowska, dwie Karczewskie, Jabłonowska, Kuszłowa i Wiesiołowska, były siostrzenicami księżny Kurlandzkiej, a przez nie Fredrowie, Szeptyccy, Łubieńscy, Polanowscy do koligacji tej praw nabyli. Jedyne dziecko Barbary był ojcem zasłużonego Konstantego Świdzińskiego.

Dom Sabaudzki zachował pamięć tego pokrewieństwa. Humbert zaraz po wstąpieniu na tron zawiadomił skoligacyjne ze sobą domy, iż, o ile zechcą, mogą synów swoich na dwór rzymski przysłać, on zaś zajmie się ich losem. Szczegóły, dotyczące tej koligacji, znajdzie czytelnik w „Pamiętniku“ Franciszki Kraszińskiej, przez Klementynę Hoffmannową.

Królowa Małgorzata żywo się interesowała losem J. I. Kraszewskiego, uwięzionego przez prusaków, wstawiła się też do Dworu niemieckiego z prośbą o uwolnienie starca.

Balon hr. Zeppelina.

W ubiegłym roku utworzyło się w Sztutgarcie „Akcyjne towarzystwo żeglugi napowietrznej“ z kapitałem zakładowym w wysokości 800,000 marek.

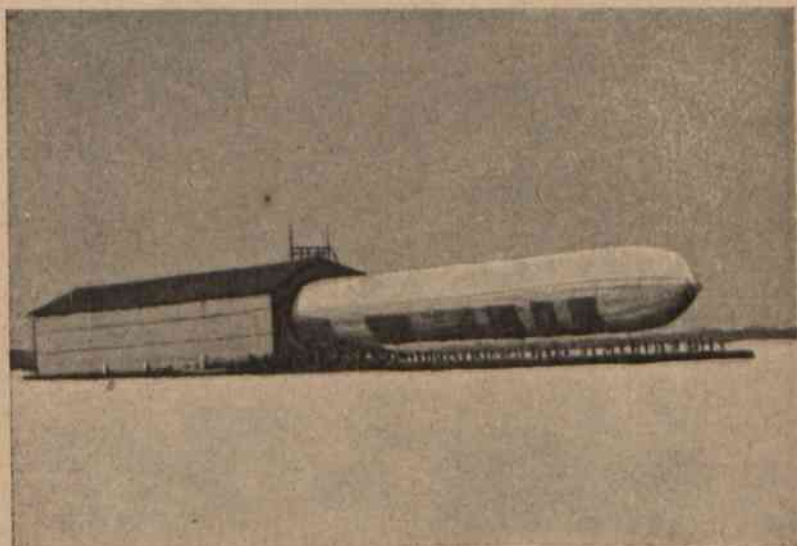
Głównym akcjonarjuszem i duszą nowego towarzystwa był hr. Zeppelin. Pracował on już od szeregu lat z wielkim zamiłowaniem nad rozwiązaniem zagadki kierowania balonami i zdawało mu się, że w końcu udało mu się rozwiązać to trudne zagadnienie. Kilkakrotne doświadczenia, dokonane w zamku własnym w Giersberg pod Konstancją, natchnęły go myślą zorganizowania towarzystwa akcyjnego, przy którego pomocy mogłyby zbudować obmyślony przez siebie przyrząd do latania.

W małej miejscowości Manzell pod Friedrichshafen nad jeziorem Bodeńskim, rozpoczął też wkrótce po zorganizowaniu się towarzystwa pracę nad urzeczywistnieniem planów swoich. Budowę balonu rozpoczęto w olbrzymiej hali drewnianej, umieszczonej na środku jeziora na pontonach.

Właściwy balon ma kształt olbrzymiego wrzeciona, długości 117 m., o średnicy 11,5 m., zaopatrzonego po obu końcach w osłony z aluminium. Materiał ten, z powodu lekkości swej, znalazł wogóle przy budowie nowego przyrządu do latania bardzo obszerne zastosowanie. U spodu balonu, po obu stronach, w odległości 30 m. od środka, umieszczone są dwie olbrzymie śruby z aluminium. Śruby te, średnicy 1,13 m., są wstanie dokonać przeszło 1000 obrotów na minutę. Śruby te, służące do wprawiania w ruch całego przyrządu, poruszane są za pomocą motoru benzynowego, zapalanego iskrą elektryczną. Rolę kierowników balonu odgrywają żagle pegamoidowe (rodzaj materji, przypo-

minającej bawełnę), umieszczonych po obu końcach balonu w ramach z aluminium.

Balon napełniony jest wodorem. Dla zapobieżenia nie-szczęściu na wypadek pęknięcia balonu, skonstruował go hr. Zeppelin tak, że składa się on z 17 małych balonów z jedwabiu, napełnionych gazem i umieszczonych w jednej wspólnej powłoce pegamoidowej. U spodu balonu przytwierdzone są 2 łodzie z aluminium, długości 17 m. i szerokości 6 m., połączone ze sobą za pomocą długiej sztaby również z aluminium. Łodzie te służą do zabrania wszystkiego, co jest potrzebne do wzlotu, a więc: maszyn, przyrządów, ży-



Wydobywanie balonu z hali.

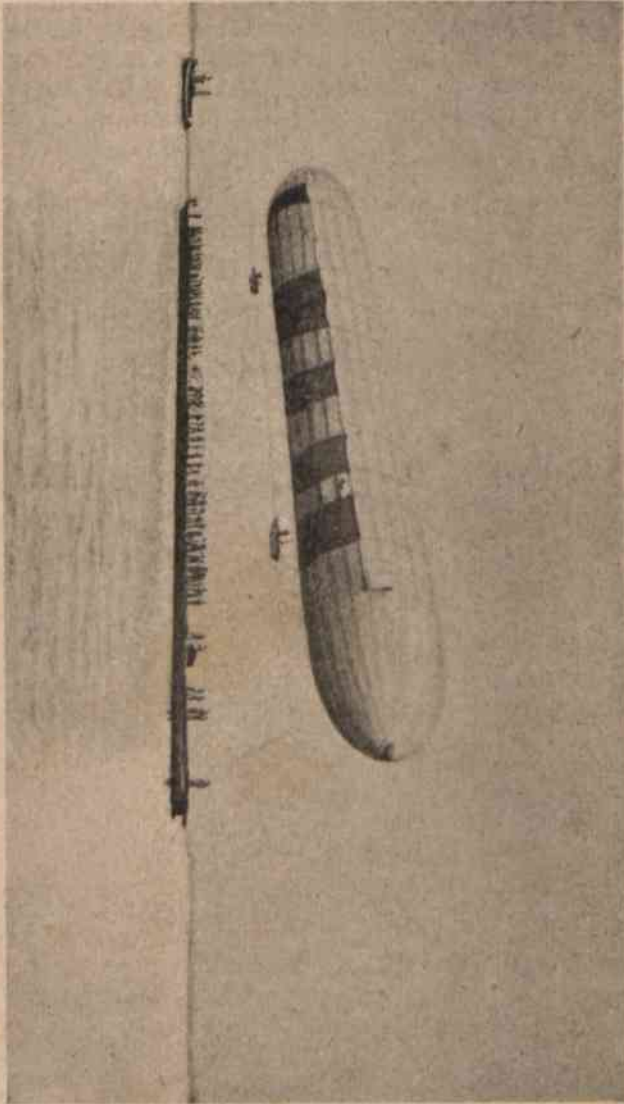
wności i wreszcie podróżnych. Ci ostatni rozdzielają się na obydwie łodzie równomiernie i porozumiewać się mogą za pomocą telefonu. Pod łodzią umocowana jest lina, długości 100 m., która wlokąc się po ziemi, zmniejsza szybkość balonu.

Ogólna waga balonu wraz z załogą, złożoną z 5 osób, wynosi około 100 centnarów metrycznych (przeszło 600 pudów). Pojemność balonu obliczona została na 120 centnarów metrycznych, co umożliwia zabranie wielkiej ilości balastu.

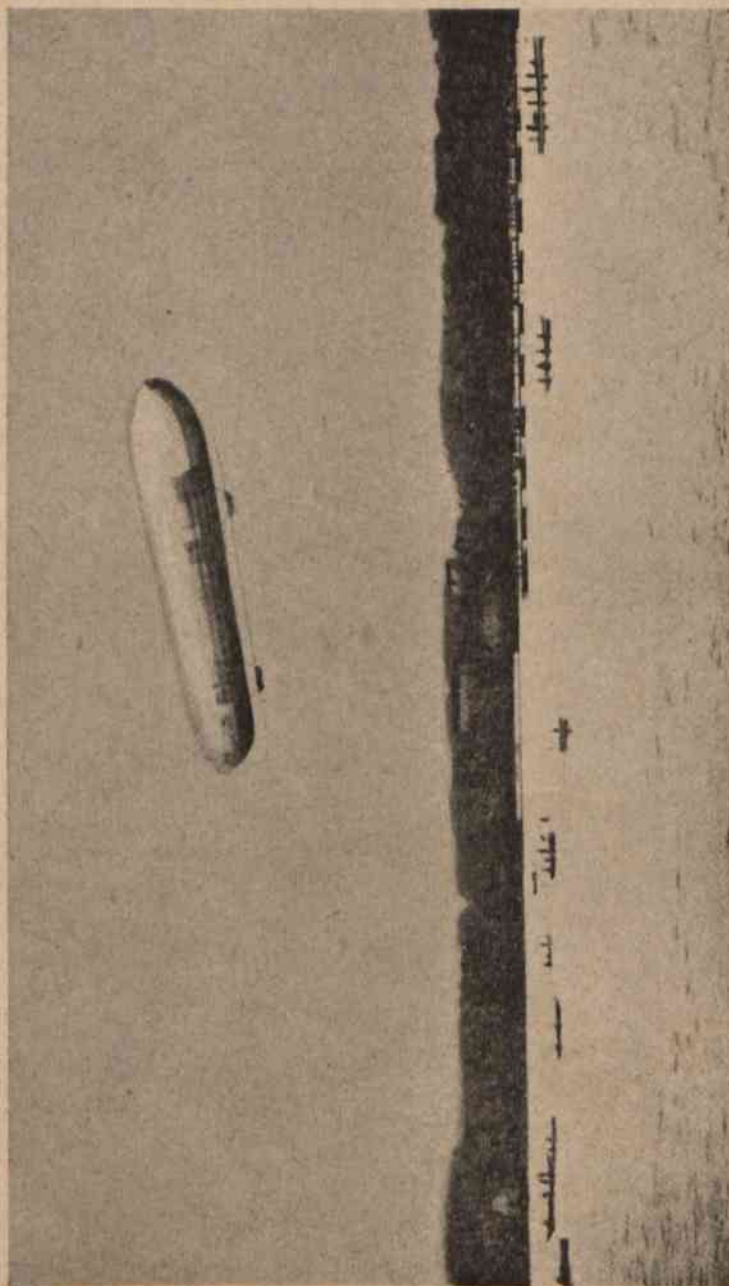
Jako pole dla prób swych wybrał hr. Zeppelin jezioro

Bodeńskie, które przez swoją powierzchnię, wynoszącą przeszło 328 klm. kwadr., najbardziej się do tego rodzaju do-

Balon przed wzlotem.



świadczeń nadawało. Licznie zebrana publiczność mogła z łodzi obserwować dokładnie poruszenia balonu, z drugiej



Wzlot balonu.

strony, w razie jakiegoś uszkodzenia, powodującego powolne opadanie balonu—szybkim zapobiegało rozdzielenie gazu na 17 małych balonów—można było pospieszyć natychmiast z pomocą.

Pierwsza próba z nowym przyrządem do latania wyznaczona była na 1-go lipca b. r., godz. 5-ą po południu. Od wczesnego ranka zaroilo się jezioro Bodeńskie mnóstwem łodzi i okrętów osobowych. Na wszystkich wzgórzach dookoła jeziora tysiące publiczności oczekiwały z niecierpliwością wlotu. Niestety jednak tego dnia dokonać go nie



Balon na najwyższej wysokości.

można było, z powodu zbyt silnego wiatru. O g. 3-ej nad ranem wskazywał anemometr szybkość wiatru nad jeziorem równą zeru, około południa zwiększyła się ona i wynosiła na wysokości 500 m., 7 do 8 m. na sekundę. Ze pierwszej próby postanowiono dokonać przy zupełnym spokoju, odłożono więc ją do dnia następnego.

Rozpoczęła się ona nazajutrz około g. 8 wieczorem. Trzeba było najpierw (jak rysunek nasz wskazuje), wydobyć balon z hali. Rysunek 2-gi przedstawia chwilę na kilka minut przed wlotem. Balon wznosi się nad pontonami, do

których przytwierdzony jest za pomocą lin. Wszystko gotowe do wzlotu, podróżni zajęli miejsca w łodziach. Godz. 8 m. 7 wieczorem: balon wznosi się majestatycznie w górę (rysunek 3-ci).

Publiczność z zapartym oddechem śledziła poruszenia balonu, który wzbiwszy się od razu na wysokość od 300 do 400 m. (rysunek 4-ty), wykonywał w tej wysokości rozmaite ruchy, według woli sternika. Po 17 minutowym locie coś się popsło w sterze i balon spuścił się z wolna w pobliżu brzegu. Obie łodzie dotknęły lekko powierzchni wody, poczem podróżni przesiedli się na pobliski okręt, podczas gdy drugi zajął się przewiezieniem balonu.

W ciągu 17 minut przebył balon 6 klm. i wykonał kilka dowolnych zwrotów w prawo, w lewo i w tył. Na ogół biorąc, rezultat pierwszej próby był bardzo pomyślny i posunął, zdaniem znawców, sprawę kierowania balonami o ważny krok naprzód.

Powietrze skroplone.

Skroplenie powietrza czyli zagęszczenie tegoż na ciecz, którą można przechowywać we flaszkach, jak wodę lub wino, stanowi nie tylko świetną zdobycz naukową, ale staje się źródłem coraz szerszych zastosowań praktycznych. Obecnie powietrze płynne staje się produktem fabrycznym, otrzymywanym szybko i tanio; teraz już przewidywać można jego znaczenie, jako potężnej siły poruszającej zamiast pary, jako niezrównanego źródła zimna, obok którego uiczem są mrozy podbiegunowe, wreszcie jako środka wybuchowego, oraz leczniczego. W miarę ułatwienia fabrykacji, szybko rozpowszechnią się nieocenione użytki powietrza skroplonego.

Wiadomo, iż w naturze istnieją ciała stałe, płynne i lotne. Podział ten jest tylko pozorny. Lód jest ciałem stałym; ogrzejmy go jednak, a stopnieje, i otrzymamy ciecz — wodę; ogrzejmy wodę, ulotni się, i otrzymamy ciało lotne — parę. Naodwrot, pod wpływem oziębienia, para zamienia się na wodę, woda na lód; wszystko zatem zależy od temperatury, czyli od stopnia ogrzania.

Obecnie wszelkie gazy możemy skroplić, podobnie jak parę wodną, oziębiając je silnie i jednocześnie tłocząc za pomocą pompy. Nawet powietrze i wodór, które się opierały tak długo usiłowaniom uczonych, nie ostają się wobec ciśnienia i mrozu, jakim rozporządza nauka współczesna. Pierwszych prób skroplenia opornych gazów dokonali Francuzi Cailletet i Pictet, faktycznie zaś otrzymali je w płynie rodacy nasi, prof. Wróblewski i Olszewski w Krakowie. Była to praca zbyt trudna i kosztowna, aby się w praktyce mogła opłacić. Praktyczne aparaty do skraplania powietrza zbudowano dopiero ostatnimi czasy, mianowicie Linde w Europie i Tripler w Ameryce. Ostatni zwłaszcza urządzony

został na większą skalę; z nim właśnie i jego wyrobem zapoznajemy tutaj czytelników.

Zadaniem uczonego Amerykanina było oziębianie powietrza tylko przez rozszerzanie się powietrza, bez użycia innych środków chemicznych lub fizycznych.

Pompa zagęszcza powietrze, które następnie szybko się rozszerza za pomocą odpowiedniego kрана. Stosując ciągle tę czynność, oziębia się coraz bardziej powietrze aż do temperatury -191°C ., czyli 191 stopni mrozu; wtedy powietrze się skrapla i wypływa do zbiornika. Tą drogą otrzymuje Tripler do 150 litrów powietrza płynnego na godzinę.

Tak więc, do skroplenia potrzeba tylko siły mechanicznej; płyn powietrzny otrzymuje się na koszt węgla, spalonego w maszynie parowej.

Jak przechować płyn tak zimny? Sto dziewięćdziesiąt stopni! Najsilniejsze mrozy na kuli ziemskiej, na Syberji, a nawet pod biegunem, jak okazał Nansen, nie przenoszą 62 stopni; zwykły zaś lód, ten symbol zimna, ma temperaturę 0, lub kilka stopni mrozu.

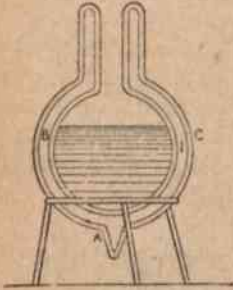
Niepodobna powietrza płynnego trzymać w naczyniu zamkniętem; ogrzałoby się ono od zetknięcia z atmosferą, a wtedy powietrze w naczyniu przeszłoby w stan lotny, gdyż niema siły, któraby gaz skroplony utrzymała w tym stanie powyżej pewnej temperatury (*temperatura krytyczna*). Jakiej zaś wytrzymałości musiałoby być naczynie, by nie pękło od prężności zawartego powietrza, które zwyczajnie zajęłoby 800 razy większą przestrzeń, niż to samo powietrze płynne. W lufie armaty, w chwili wystrzału, wytwarza się masa gazów, która niewiele większe sprawia ciśnienie, a jednak pocisk wyrzuca na milę odległości.

Niebezpieczna to materia, owo płynne powietrze; nieraz rozsadza mocne rury stalowe, rozdziera je w płyty, jak proch bombę armatnią. Rycina, zdjęta z natury, okazuje taki wypadek. (Rysunek 1-szy).



Rysunek 1-szy.

A jednak potęga taka daje się przechowywać bezpiecznie w sposób najprostszy—w flaszkach otwartych, w ścianach podwójnych. Sposób ten podał fizyk francuzki d'Arsonval. Z pomiędzy ścian flaszki (pt. rys. 2-gi) wyciąga się powietrze raz na zawsze, a próżnia ta chroni płyn nalany od ciepła otaczającego: parowanie zaś powietrza płynnego oziębia je wciąż tak, że utrzymuje się ono długo w temperaturze— -191° . Ztąd flaszka musi być otwarta; zamknąwszy ją, usunęlibyśmy parowanie, zatem i oziębienie, i naczynie pękłoby w jednej chwili od prężności ulotnionego powietrza.



Rysunek 2-gi.

Po skropleniu powietrze ma wygląd cieczy przezroczystej, koloru blado-błękitnego. W opisanych flaszkach otwartych można je mieć przez kilka godzin, zanim się zupełnie ulotni. Jakież są własności powietrza płynnego i jakież ztąd użytki?

Poznamy je najlepiej na przykładach.



Rysunek 3-ci.

Kilka kropeł powietrza, wpuszczonych do lufy, wyrzuca na paręset kroków korek, którym lufę zatkamy. Oto wymowne potwierdzenie konieczności niezamykania naczyń

z płynem powietrznym. Jest to działanie czysto mechaniczne; można je znacznie spotęgować, łącząc ze spalaniem czegoś w powietrzu płynnym, czyli z działaniem chemicznym.

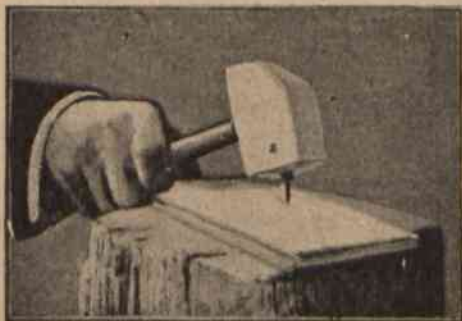
Gąbka, zmoczona w powietrzu płynnym i zapalona, wybucha podobnie jak proch. Bawełna, napojona terpentyną i zanurzona do powietrza płynnego, wybucha od ognia tak gwałtownie, że rozrywa walec metalowy, choćby nawet otwarty z obu stron. Eksplozja ta działa silniej od prochu i bawełny strzelniczej; możnaby nią zastąpić wybuch dynamitu. To też podjęto próby zastosowania w kopalniach, zamiast dynamitu, mieszaniny węgla z powietrzem skroplonym.

Powietrze, jako środek wybuchowy! Zdziwiający, a jednak prawdziwy, zarazem zaś pożyteczny, bo niewrażliwy na wstrząśnienia, których tak się boi dynamit. Nie ma się też co obawiać kradzieży tego materiału wybuchowego, skoro niedaje się długo przechowywać.

A teraz inny szereg doświadczeń.

Flaszeczka z powietrzem skroplonym, zanurzona do wody, zamraża ją szybko; powietrze zaś wre i kłęby oparów opadają dokoła.

Nalane do imbryka, postawionego na lodzie, powietrze



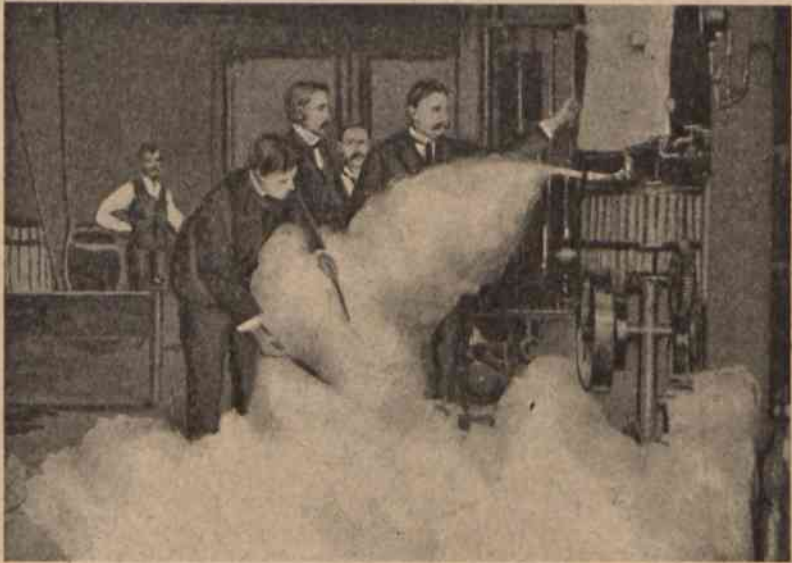
Rysunek 4-ty.



Rysunek 5-ty.

kipi gwałtownie, ogrzewając się od lodu; lód działa na nie tak, jak żar na wodę. Na imbryku zaś od zimna, sprawionego tem parowaniem powietrza, osiada warstwa lodu, powstałego ze zmarzniętej pary wodnej z powietrza, podobnie jak w zimie na szybach. Ogrzewając imbryk z powietrzem nad płomieniem, zauważymy jeszcze grubszą masę lodu na nim, ponieważ płomień wytwarza parę wodną i kwas węglowy, które tu krzepną. Podobnież dym papierosa krzepnie na śnieg, po nad zbiornikiem płynnego powietrza. (Rys. 3-ci).

Na cieple jednak powietrze skroplone nie sprawia uczu-



Obtok, wywołany skutkiem zetknięcia się powietrza płynnego z powietrzem otaczającym.

cia takiego zimna, jakby się można było spodziewać po płynie, mającym temperaturę -191°C . Można się o tem przekonać, zanurzając na chwilę rękę do powietrza. Tłomaczy się to w sposób podobny, jak zanurzanie ręki bez szkody do roztopionego żelaza; tworzy się dokoła ręki warstwa pary, która przez chwilę, niby rękawica gazowa, chroni ciało od zetknięcia z płynem. Ktoby jednak dłużej nad sekundę doświadczenie przeciągnął, oparzyłby rękę od powietrza, podobnie, jak od stopionego metalu.

Ciekawe są próby zamrażania rtęci i alkoholu. Rteć

czyli żywe srebro, znany metal płynny, którym napełniono są termometry, krzepnie około -40°C ., czyli dopiero w najtęższe mrozy, jakie istnieją na północy. Parę kropeł powietrza, puszczonej na powierzchnię rtęci, zamraża ją natychmiast, tak, iż powstały kawałek metalu staje się twardym, jak żelazo. Załączona rycina przedstawia młotek rtęciowy, którym wbijać można gwoździe. (Rysunek 4-ty).

Alkohol, czyli najmocniejszy, bezwodny spirytus, nie dał się dotąd zamrozić żadnym sposobem. Powietrze skroplone natychmiast go zamraża, tak, iż zanurzwszy do naczynia pałeczkę, wyjmuje się istny sopel alkoholu, gęsty jak karmel. (Rys. 5-ty).

Powietrze skroplone odegra niezawodnie w przyszłości rolę poważnego środka leczniczego. Ludzkość skorzystać zapragnie z możliwości posiadania powietrza czystego, zdrowego w bardzo małej objętości, podobnie jak teraz korzysta z buljonu i ekstraktów, dających po rozcieńczeniu pożywienie lub lekarstwa.

W dusznym mieszkaniu, w pełnej wyziewów sali szpitalnej butelka świeżego powietrza, przywieziona z gór, lasów lub morza, przyniesie niby powiew świeży, pokrzepiający i łagodzący. Kto wie, czy nie powstanie nowy rodzaj kuracji, skoro znajdzie się sposób przewożenia powietrza w płynie.

Zdawałoby się, że powietrze takie powinno się nadawać za wyborny środek dezynfekcyjny, choćby już dla niezmiernego swego zimna. Tymczasem próby wcale tego nie stwierdziły. Bakterje, zarazki różnych chorób, pozostawione tydzień cały w powietrzu skroplonym, nie ucierpiały nic, tak, iż po wyjęciu odżyły napowrót.

Do oddychania zapas powietrza płynnego nadaje się zwłaszcza dla nurków oraz statków podwodnych.

Nadspodziewane zastosowanie znajduje już teraz powietrze skroplone w metalurgji. Stal hartowana w niem, t. j. rozżarzona i zanurzona do tego płynu, nabiera twardości niebywalej, zarazem staje się bardzo kruchą; podobnie zachowuje się żelazo i cyna. Inne zaś metale, jak złoto, srebro, miedź, glin nie zmieniają się wyraźnie; materje sprężyste, np. kauczuk, twardnieją, jak szkło. Przewodnictwo elektryczne wzrasta skutkiem zimna tak, iż zachodzi pytanie, czyby się nie opłacało krącenie powietrza koło przewodników.

Wreszcie jednym z najważniejszych pożytków, jakiego należy oczekiwać od produkowanego powietrza, jest jego siła poruszająca. Wpuszczone do walca maszyny parowej,

nadaje jej ruch, podobnie jak para, tylko daleko silniejszy. Rzecz to naturalna: ulatniając się od ciepła, powietrze stara się zająć objętość blisko 800 razy większą, niż w stanie płynnym, czyli wywiera ciśnienie 800 atmosfer, które zredukowane odpowiednio, działa na tłok maszyny. Potrzebny więc do maszyny jest tylko niewielki zbiornik powietrza zamiast ogromnego kotła, paleniska, zapasu węgla lub drzewa.

Powietrze płynne, obracając maszynę, zwraca tę pracę, której potrzebowało do swego zagęszczenia; oto jeszcze jeden i tak świetny dowód niezniszczalności siły!

Drobne motorki, zasilane tą energją, mogą mieć siłę ogromną. Kto wie, czy nie odegra to wielkiej roli w kierowaniu balonami?

Tak więc, istniejące obecnie lub przewidywane użytki powietrza w płynie budzą podziw ogólny. A co będzie w przyszłości? Nauka nie zna dziwów; ona sama je stwarza. Wszystko na świecie zmienia się i przekształca; w naturze odkrywamy nowe, nieznane siły, w najbliższem, od wieków znanem otoczeniu, wynajdujemy nowe pierwiastki, wreszcie samo to otoczenie, którem żyją i oddychają wszelkie twory — atmosferę, zmuszamy do nowych, niezwykłych i tak różnorodnych czynności na pożytek człowieka.

×

Z DZIEDZINY POLITYCZNEJ.

Oczy świata całego zwrócone są na Daleki Wschód, gdzie w chwili obecnej rozgrywają się krwawe wypadki, mogące stanowić epokę w dziejach. Bramy stolicy Państwa Niebieskiego, Pekinu otworzyły się, wprawdzie niedobrowolnie, przed armją związkową, spieszącą na odsiecz więzionym tam od dłuższego czasu posłom mocarstw zagranicznych. Po dwumiesięcznem oblężeniu, w czasie którego świat cały dowiadywał się z „najwiarogodniejszego źródła“ naprzemian to o wymordowaniu wszystkich posłów, to o tem, że są zdrowi i pod „troskliwą“ opieką rządu chińskiego, posłowie ci zostali wreszcie oswobodzeni. Wojska chińskie i bandy rozbestwionych bokserów opuściły Pekin, na murach „zakazanego miasta“ i pałacu cesarskiego powiewają sztandary europejskie, cesarz i cesarzowa, po niefortunnej ucieczce, dostali się w ręce armji związkowej, — słowem, zwycięztwo na całej linii. Mimo jednak powodzenia, jakie tym razem równie jak i dawniej, towarzyszyło oddziałom związkowym, zaprzęta dyplomację świata w chwili obecnej kłopotliwe pytanie: co dalej?

Odpowiedź na pytanie to znajdujemy poniekąd w mowie, wygłoszonej w Foix przez francuskiego ministra spraw zagranicznych, Delcasségo, jeszcze przed zajęciem Pekinu. Mocarstwa—mówił minister—muszą w kwestji chińskiej zdać jasno sobie sprawę z tego, czego chcą, a nie chcieć nic takiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób zakłócić niezbędne porozumienie i jedność mocarstw. Jednomysłny okrzyk całej ludzkości wskazał im jako cel: natychmiastowe uwolnienie posłów w Pekinie. I to jest najgłówniejszem zadaniem wspólnej akcji wojskowej. Prócz tego mają wojska związ-

kowe uzyskać zadośćuczynienie za przeszłość i gwarancję na przyszłość. Jakiemkolwiek byłoby specjalne stanowisko każdego z mocarstw z osobna w powyższym kierunku, to zasadniczą kwestją jest, aby mocarstwa pretensje swe o ile możliwości ograniczyły i wszystko to uważały za wykluczone, co mogłoby popsuć i zniszczyć ich jedność, obudzić wzajemne niedowierzanie, a może nawet wywołać fatalne w następstwie nieporozumienie.

Mowę swą zakończył minister Delcassé oświadczeniem, że rząd francuzki w kwestji chińskiej zawsze działał i będzie działał w zupełnem porozumieniu z rządem rosyjskim.

Pekin zdobyty, posłowie uwolnieni. Główne więc zadanie wspólnej akcji wojskowej, wskazane w mowie ministra francuzkiego, zostało spełnione. Pozostaje teraz do spełnienia zadanie dalsze: uzyskanie zadośćuczynienia za przeszłość i gwarancji na przyszłość. I w tem właśnie zachodzi trudność, jak mocarstwa, interesowane w kwestji chińskiej, zrozumieć zecheą owo „zadośćuczynienie za przeszłość i gwarancję na przyszłość“. W prasie niemieckiej odzywają się już dziś głosy, że główne zadośćuczynienie otrzymać powinny Niemcy, jako najbardziej dotknięte przez zamordowanie posła swego w Pekinie. Pretensje innych mocarstw zejść winny na razie na plan dalszy. Wojska niemieckie — mówią dalej te dzienniki — wystarczą, aby silny cios zadać Chinom, a w razie potrzeby akcję ich poprą inne oddziały europejskie. Czyli innymi słowy. Niemcy otrzymać mają jakieś specjalne zadośćuczynienie. Poseł niemiecki został w Pekinie zamordowany—to prawda, że rząd niemiecki czuje się tym wypadkiem bardzo dotkniętym — pojąć również łatwo; jak jednak pogodzić te pretensje niemieckie do specjalnego jakiegoś wynagrodzenia z owem „niezbędnem porozumieniem i jednością mocarstw“, o którym z takim naciskiem mówił minister francuzki, jak pogodzić dalej z tem, że „zasadniczą jest kwestja, aby mocarstwa pretensje swe o ile możliwości ograniczyły i wszystko to uważały za wykluczone, co mogłoby popsuć i zniszczyć ich jedność“.

Jest jeszcze inny tytuł, na podstawie którego Niemcy, jak sądzą, rościć sobie mogą pretensje do jakichś wyjątkowych korzyści z wypadków chińskich. Prócz ofiar w krwi i pieniądzech, dały one armji związkowej, operującej w Chinach, głównodowodzącego w osobie feldmarszałka, hr. Waldersee'go. Na wybór ten zgodziły się mocarstwa interesowane. Jak dziś jednak rzeczy stoją, wątpić należy, ażeby nowy dowódca znalazł w Chinach sposobność do okazania swych zdolności strategicznych. Główne zadanie wspólnej

akcji wojskowej dokonane zostało jeszcze przed wyjazdem hr. Waldersee. Zanim dopłynię do brzegów Chin, łatwo stać się może, że i druga część akcji mocarstw, polegająca na uzyskaniu zadośćuczynienia za przeszłość i gwarancji na przyszłość, stanie się faktem dokonanym. W takim razie nie pozostawałoby hr. Waldersee nic innego, jak tylko zawołać podobnie jak to, według legendy, uczynić miał Aleksander Wielki, na wieść o nowem zwycięstwie ojca swego, Filipa Macedońskiego: Cóż mnie pozostanie do uczynienia?

Nie brak oznak, dowodzących, że i rząd Państwa Niebieskiego,—jeżeli w dzisiejszych warunkach można tam wogóle mówić o jakimkolwiek rządzie,—przekonawszy się, że wojsko chińskie nie jest jeszcze dziś w stanie sprostać armji europejskiej, i że dalszy opór sprowadziłby mógł dlań skutki bardzo niepożądane, pragnie szczerze przywrócić stosunków normalnych i prześląganiami zagniewanych rządów europejskich. Sędziwy, a bardziej jeszcze przebiegły dyplomata chiński Li-Hung-Czang, którego nazwisko nie po raz pierwszy wypływa na widownię dziejową, zwrócił się do wszystkich mocarstw, akredytowanych w Chinach, z jednobrzmiącą notą, w której prosi o wyznaczenie pełnomocników, celem rozpoczęcia rokowań pokojowych. Mocarstwa odpowiedziały jednobrzmiąco, że rokowań pokojowych rozpocząć nie mogą, pełnomocnictwo bowiem Li-Hung-Czanga jest niewystarczające. A że dziś, po uwięzieniu cesarzowej i cesarza, niema w Chinach żadnego rządu, a przynajmniej niema takiego, któryby uznawały rządy europejskie, więc i lepszymi pełnomocnictwami Li-Hung-Czang, na razie przynajmniej, wykazać się nie może. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, mocarstwa nie mają wcale zamiaru rozpoczęcia rokowań pokojowych, zanim spełniona zostanie druga część wspólnej akcji: uzyskanie zadośćuczynienia za przeszłość. Ze tak jest, wskazywać by się zdawała odmowna odpowiedź niektórych rządów na prośbę o wycofanie wojsk związkowych z stolicy Chińskiej.

Wiadomości nadechodzące w ostatniej chwili, donoszą, że Japonja gotowa jest podjąć się pośrednictwa między Chinami a Europą, warunkując akcję swą wypełnieniem przez Chiny pewnych żądań, postawionych w formie rad przyjacielskich, jak upokorzenie się, formalne przyznanie się do winy, dobrowolne zobowiązanie się do wynagrodzenia strat i t. p. Nie można wątpić, że Chiny, przyciśnięte do muru, wszystkie te rady skwapliwie wypełnią i że na Dalekim Wschodzie działa wkrótce zamilkną.

Nie zamilkły jednak dotąd jeszcze w Afryce południo-

wej, mimo usiłowań Roberta, mimo solennych zapewnień i obietnic, że wojna jest na ukończeniu i że Anglicy lada dzień będą mieli sposobność oglądać na ulicach Londynu sędziwego prezydenta Kruegera, w charakterze jeńca wojennego. Nie zamilkły, lecz przeciwnie, grzmiały coraz silniej, roznosząc po świecie sławę bohaterskiego narodu, walczącego, w ścisłym tego słowa znaczeniu, do sił ostatka w obronie swej niezależności.

Napoleon słusznie powiedział, że nie wiedza, nie nauka, lecz wojna robią generałów. Nowy dowód prawdziwości tego twierdzenia dają wodzowie walczących dziś jeszcze oddziałów boerskich: De-Wet, Botha i Delarey. Zwłaszcza pierwszy z nich cudów bohaterstwa dokazuje na czele kilkutyśięcnej swej armji. Jednego dnia okazuje się nagle pod murami Pretorji, to znowu wyrasta, jak z pod ziemi, w rzeczpospolitej Orańskiej, znacząc ukazanie swe wszędzie mnóstwem zabitych i wziętych do niewoli Anglików. I niemożę sobie z nim dać rady taki wytrawny i wyćwiczony w bojach dowódca, jak feldmarszałek Roberts, na czele armji, wobec której zastępy De-Weta stanowią niemal zero.

Męstwo burgerów transwaalskich i orańskich, które pod wpływem klęsk doznanych stygnąć poczęło, odżyło teraz na nowo i to z zdwojoną siłą. Przyczynił się do tego w znacznym stopniu sam Roberts przez bardzo niepolityczne, że niepowiemy nieludzkie, postępowanie z tymi, którzy się już wahałi i gotowi byli w najbliższej przyszłości złożyć broń. Generałowi Robertsowi zachciało się laurów dyplomaty i jednym pociągnięciem pióra popsuł to wszystko, czego dokonał przy pomocy oręża. Groźba, zawarta w ogłoszonej przezeń proklamacji, że uważać będzie za wyjętych z pod prawa jeńców wojennych tych wszystkich burgerów, którzy mu nie złożą przysięgi na neutralność, i że wysyłać ich będzie tysiącami na wyspę św. Heleny, wywołała skutek wręcz przeciwny, aniżeli ten, jakiego się po niej spodziewał Roberts. Burgerzy, którzy, widząc bezowocność dalszej walki, przechylali się już na stronę nieprzyjaciela, przejrżeli odrazu, że wódz miłującej wolność i szczytającej się gorliwą obroną praw człowieka Anglji, pragnie pozbawić ich wolności nietylko politycznej, obywatelskiej, ale i osobistej. Skupili się więc zwartą masą dokoła przejętych gorącym patryjotyzmem prezydentów swoich, Kruegera i Sztejna, i rozpoczęli na nowo walkę na śmierć i życie z nieludzkim wrogiem.

Prasa angielska, która z zapałem powitała nominację feldmarszałka Roberta na głównodowodzącego w Afryce południowej, nie szczędzi teraz słów ostrej krytyki generałowi

za te właśnie jego drakońskie rozporządzenia, nie liczące się ani z względami sprawiedliwości, ani ludzkości. Dzięki też nietaktowi Roberta, sprawy w Afryce południowej stoją dziś tak, że do pomyślnego ukończenia wojny trzeba by jeszcze dużo wojska i dużo pieniędzy, którymi Anglja, strzegąca pilnie interesów swych na Dalekim Wschodzie, w danej chwili nie rozporządza.

Misja boerska objechała świat cały, witana wszędzie z zapalem przez społeczeństwa i powróciła do ojczyzny nie nie wskórawszy. Nie zniechęciło to jednak Boerów. Poprzysięgli, że walczyć będą do ostatniej chwili, i walczą z powodzeniem i, jak dotąd, z pomyślnymi widokami na przyszłość.

Zdała od wielkoświatowych wypadków w Azji wschodniej, wybuchł i na bliższym, europejskim Wschodzie, na półwyspie Bałkańskim, między Rumunją i Bułgarią ostry zatarg, który przez pewien czas zaprzętał umysły polityków. Rząd rumuński od dłuższego już czasu oskarżał sfery decydujące w Bułgarji, że rozmyślnie tolerują, a nawet popierają zbrodniczą działalność rewolucyjnego komitetu macedońskiego w Rumunji, mającego siedzibę swą w Sofji. Gdy przed niedawnym czasem członek komitetu tego, Bułgar Dimitr Stojanow zabił w Bukareszcie znenawidzonego przez rewolucjonistów profesora Michajleano, rząd rumuński zwrócił się do rządu bułgarskiego z ostro zredagowaną notą, w której wypowiedział wszystkie swoje żale.

Rząd bułgarski w odpowiedzi, równie ostrej, dał dość wyraźnie do zrozumienia, że rząd bukareszteński w oskarżeniach swoich mija się niejednokrotnie z prawdą, i że całe jego postępowanie zdradza złą wolę i zamiar pozbycia się przebywających w Rumunji poddanych bułgarskich. W końcu oświadcza nota, że, jak długo rząd rumuński nie przedstawi dowodów prawdziwości swego oskarżenia, tak długo Bułgarja nie uczyni ani jednego kroku przeciw komitetowi macedońskiemu. Rząd rumuński posiada podobno dość liczne dowody, że pojedynczy członkowie wspomnianego komitetu dopuścili się w kraju, który dał im gościnę, szeregu karygodnych czynów,—postanowił tedy cały ten materiał dowodowy przedstawić wielkim mocarstwom. Nadto zwróciła się Rumunja do sułtana z prośbą, aby na mocy prawa, przysługującego mu z tytułu zwierzchnictwa, zrobił, co uzna za właściwe, dla zupełnego stłumienia działalności macedońskiego komitetu rewolucyjnego, gdyż jest to „gniazdo

ciągłych zmachów na spokój publiczny i bezpieczeństwo osobiste“.

Na razie więc zatarg, który przybierać już zaczynał ostre formy, skończył się na wzajemnej wymianie ostrych not. Ze nieporozumienie to, na dziś przynajmniej uważać należy za zażegnane, dowodzi niedawny pobyt króla Karola rumuńskiego w Ischlu, u cesarza Franciszka Józefa.

Wizyta ta, w czasie której omawiane będzie niezawodnie obecne położenie polityczne,—dowodzić się zdaje tego równoczesny pobyt tamże ministra spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskiego—jest zwyczajnym aktem przyjaźni, łączącej oba domy panujące. Franciszek Józef obchodził niedawno 70-letnią rocznicę urodzin, król rumuński, którego z sędziwym monarchą austriacko-węgierskim łączą węzły przyjaźni, udał się do Ischlu, ażeby mu osobiście złożyć życzenia.

We Włoszech zmiana tronu nie przyniosła żadnej zasadniczej zmiany w polityce zewnętrznej tego państwa. Nowy król Wiktor Emanuel III, jest, jak ojciec jego, gorącym zwolennikiem trójprzymierza, widząc w niem gwarancję pokoju europejskiego.

Wielkie wrażenie w całym świecie wywołało pewne zbliżenie się, a przynajmniej przełamanie lodów, jakie zauważyć się dało pomiędzy Watykanem i Kwirynałem, podczas ostatnich wypadków: śmierci i pogrzebu króla Humberta, oraz wstąpienia na tron Wiktora Emanuela III. W zachowaniu się Stolicy Apostolskiej w czasie pogrzebu Humberta, widzieli jedni stanowczy zwrot w dotychczasowych stosunkach między władzami świeckimi, a duchownymi we Włoszech; inni znowu, nie zapoznając doniosłości tego faktu, uważali go za epizod przemijający. W sprawie tej, posiadającej niezwykłą doniosłość dla ukształtowania się przyszłych stosunków, ograniczymy się do przytoczenia opinii, jaką otrzymała wiedeńska „Politische Correspondenz“, organ sfer dyplomatycznych, z 2 stron równocześnie.

Dziennik wiedeński stwierdza, że oba głosy zgodne są na tym punkcie, że objawu wyżej wspomnianego nie należy ani przeceniać, ani też lekceważyć. Relacja, pochodząca od korespondenta, zostającego w blizkich stosunkach z włoskimi kołami rządzącymi, zaznacza, że postępowaniu Watykanu, który nie tylko pozwolił, aby duchowieństwo katolickie przyłączyło się do narodowej żałoby, lecz wyraził nawet pragnienie, żeby przez przykład swój i wskazówki dawało do tego podniecie, przypisać trzeba znaczenie, sięgające da-

leko po za dni ciężkiej żałoby. Można, zdaniem korespondenta, żywić uzasadnioną nadzieję, że nie będą mieli słuszności ci bezwzględnie nieprzejednani, którzy sądzą, że w danym wypadku ma się do czynienia z ustępstwami na rzecz boleśnie dotkniętej rodziny królewskiej i okrytego żałobą kraju, z ustępstwami, które nie będą miały żadnych konsekwencji na przyszłość; przeciwnie, spodziewać się należy, że owocem ściślejszego zbliżenia się reprezentantów Kościoła z kołami dworskimi pozostanie bardziej pojednawcze usposobienie między Kwirynałem a Watykanem. Ustanie dotychczasowego naprężenia byłoby, zdaniem korespondenta, dobrodziejstwem dla Włoch, dla Kościoła i dla całego świata. Tragiczny wypadek w Monzy zrodził w jednym zwłaszcza kierunku wspólną misję: zwalczanie anarchizmu. Z takiego współdziałania przeciw nieprzyjaciółom porządku publicznego musi się,—kończy korespondent—naturalnym biegiem rzeczy wytworzyć bardziej przychylnie stanowisko duchowieństwa katolickiego wobec władz państwowych.

Zupełnie inaczej na sprawę tę zapatruje się watykański sprawozdawca dziennika wiedeńskiego. Protestuje on przede wszystkim stanowczo, jakoby z polecenia Leona XIII uczyniony został wobec króla Wiktora Emanuela III jakiś krok, mający utorować drogę do porozumienia. Przypuszczenie, że kwestja takiej doniosłości światowej i historycznej, jaką jest sprawa stosunków między Watykanem a Kwirynałem, dałaby się załatwić ze stanowiska dyplomatycznego według takiej metody, dowodzi, że ci, którzy przypuszczenie podobne wygłaszają, kierują się raczej sentymentalnością, aniżeli wytrawnym sądem politycznym. Ktoś, choć trochę obznajmiony ze stosunkami, nie będzie z współczucia i życzliwości, okazanej przez przedstawicieli Kościoła włoskiemu domowi królewskiemu, wyprowadzał wniosku, że stoimy w przededniu zupełnego porozumienia między Stolicą św., a nowemi Włochami. Owa natomiast, w skromniejszych granicach obracająca się nadzieja, że ostatnie wypadki nie pozostaną bez skutków dodatnich, nie powinna, zdaniem korespondenta watykańskiego, doznać rozczarowania. Kościół i państwo zwalczać muszą w równej mierze anarchizm. Wspólna walka ta może i musi między oboma wytworzyć w tym kierunku pewien rodzaj przymierza. W Watykanie uważają za konieczną potrzebę, ażeby kościelne władze we Włoszech bardziej bezpośrednio, niż to miało miejsce dotąd, udzielały władzom świeckim poparcia przy zwalczaniu niebezpieczeństw anarchji. Na tem polu wspólny in-

teres sprowadzi Kościół i państwo razem, a do tego niezbędne jest pewne zbliżenie się i zbliżenie to będzie też wytworzone.

Widzimy z tego, że żadna z 2 powyższych opinji, zarówno korespondenta, mającego stosunki z kołami dworskimi, jak i sprawozdawcy watykańskiego, nie wyklucza zasadniczo pewnego zbliżenia się między Watykanem a Kwirynałem, aczkolwiek zupełne porozumienie uważają obydwie za zbyt dalekie, ażeby można dziś o niem mówić poważnie.

Z

Z prasy rosyjskiej.

Przed wieloma laty jedni z najbardziej wpływowych działaczy rosyjskich, Aleksander Engelhardt i wielki powieściopisarz hrabia Leon Tołstoj, starali się słowem i żywym przykładem ściągnąć inteligencję miejską na wieś. Starania pierwszego pozostały bez znaczących rezultatów, lecz Tołstoja usłuchały setki ludzi i utworzyły sporo kolonji „inteligentnych“. Były to po największej części gospodarstwa, prowadzone wspólnie przez większą lub mniejszą liczbę osób z inteligencji obojga płci. Oprócz uroku, jaki miało słowo i pragnienie hr. Tołstoja, ciągnęły ludzi i pobudki inne, najrozmaitsze: więc pociąg do ziemi i życia na łonie natury, chęć obcowania z ludem i służenia mu przykładem wyższej kultury, wreszcie wielu pociągała nawet forma wspólnego władania i gospodarowania, oraz całego układu życia w takich „wspólnych“ kolonjach. Lecz ruch ten nie był bardzo rozpowszechniony i nie wydał nic trwałego; po kilku latach trwania rozleciały się już gromadki, zginęły kolonje i ruch zamarł. Nie umiemy powiedzieć dokładnie, dlaczego dobre zamiary wielkiego człowieka nie wydały żadnych owoców, w każdym razie ruch sam był niewątpliwym dowodem, że wśród inteligencji rosyjskiej istnieje pociąg do życia wiejskiego i do pracy na roli, ale prawdopodobnie, że w samej formie i organizacji kolonji tak zwanych „tołstowców“, było coś wadliwego.

Obecnie, jak się zdaje, nastąpiła chwila dla nowej próby, lecz wielce co do formy odmiennej, daleko bodaj praktyczniejszej i obiecującej trwalsze owoce. P. Romer, obywatel z gub. orłowskiej, (rodem z Krakowa), znany jako publicysta-kronikarz i rzecznik gospodarzy wiejskich, zwraca właśnie uwagę w miesięczniku „Russkij Wiestnik“ na fakt następujący:

W końcu zeszłego roku w jednym z bardziej poczytnych dzienników znalazło się ogłoszenie, w którym pewien jegomość, bardzo

zresztą mało znany publiczności czytającej, wzywa ludzi, przekładających życie wiejskie, swobodne i lepsze dla zdrowia i ducha nad duszenie się w mieście, aby porozumiewszy się, zakupili odpowiedni majątek, podzielili go między sobą (bez żadnych wspólności i t. p.), tak aby każdy miał tyle, na ile mu wystarczy środków i chęci do prowadzenia większego lub mniejszego gospodarstwa. Cel główny—utworzenie kolonji ludzi mniej więcej jednego poziomu intelektualnego i społecznego—będzie osiągnięty przez osiedlenie się w możliwie najbliższem sąsiedztwie, bo w innych warunkach, bez obcowania z ludźmi podobnych środków, potrzeb i t. d., wyżyć na wsi obecnie nie tylko trudno, lecz prawie niepodobna — nudy wielu, bardzo wielu już wypędziły ze wsi, prawie zupełnie ogołoconej z inteligencji. Autor projektu tego nieomal przysięga, że nie ma wcale żadnych celów altruistycznych, że nie idzie mu o żadne dążności do dobra powszechnego i do podniesienia „mniejszych braci“, lecz po prostu chce możliwie wygodnie i tanio urządzić się na wsi, aby zaś tam się nie zanudzić na śmierć, potrzebuje pewnego otoczenia, równego mu pod względem kulturalnym i umysłowym. A że takich, jak on, musi być wielu, ufa więc, że głos jego będzie usłyszany i projekt takiej kolonji „inteligentów-indywidualistów“ dojdzie do skutku.

P. Romer powiada, że początkowo był przekonany o zupełnej bezowocności tego wezwania. Przekonał się jednak, że autor projektu, który wołał na wypadek niepowodzenia ukryć się pod literami A. A. K., lepiej widać zna i rozumie usposobienie oraz pożądanja inteligencji, a raczej pewnych jej sfer i warstw. Listy z zapytaniami i propozycjami posypały się nie tylko z Petersburga, lecz z różnych stron Rosji. Odezwali się urzędnicy, wojskowi, technicy, lekarze, pedagodzy i t. d., i nawet właściciele ziemscy.

„W ciągu jakichś dwóch miesięcy zebrano się deklaracji na sumę przeszło 100,000 rubli — i to bez żadnej reklamy, jedynie tylko wskutek dwukrotnego ogłoszenia w jednej tylko gazecie.“

P. Romer niepomaha raduje się z tego objawu, daje różne życiwe rady przyszłym kolonistom tego rodzaju i sądzi, że podobne przedsięwzięcia zasługują na poparcie ze strony rządu, w drodze kredytu i t. p. Nam się zachwyty p. Romera wydaje zbyt wczesnym i przesadnym. Kilkudziesięciu ludzi i 100 tysięcy rubli w olbrzymiej Rosji to cyfry niezbyt imponujące. Zresztą początkowe powodzenie pomysłu a wykonanie, to rzecz inna — wady występują zawsze później. Bądź co bądź, to rzecz ciekawa i ważna; wypada nie spuszczać z oczu dalszych jej kolei.

* * *

Ciekawe dane o wzroście Japonji komunikuje wice-konsul w Chakodate, p. Rospopow. Przedewszystkiem uderza tam szybko

wzrost ludności; wynosiła ona w 1882 roku 36,700,000 a w 1898 r. już 43,200,000 dusz, zatem w ciągu lat 16 przyrost uczynił przeszło 17%, a więc z górą 1% rocznie. Lecz przestrzeń gruntów uprawnych zwiększa się w stosunku daleko powolniejszym, bo pod pług i szpadel wzięto już dawniej prawie wszystko, co się tylko nadaje do uprawy polnej lub ogrodowej. Według p. Rospopowa, niema wątpliwości, że Japonja nie może już wyżywić swojej ludności własną produkcją, czyli Japonja znajduje się w przededniu silnego rozwoju emigracji, której rząd japoński nie tylko nie tamuje, lecz bardzo chętnie ją popiera.

Łatwo przewidzieć,—mówi sprawozdawca „Ruskiego Wiestnika“ — że ogromna większość japońskich emigrantów skieruje się na wschodnie krańce Syberji, i kończy uwagą, że trzeba będzie stanowczo sprzeciwić się temu najściu.

Lecz Japonja szybko postępuje pod każdym względem u siebie. Naprzykład flota jej handlowa liczyła w r. 1886 tylko 470 statków parowych z objętością ładunkową 63,000 tonn, a w r. 1897 było ich już 970 i 273,000 tonn. Pomimo tak potężnego postępu marynarki parowej, w tymże czasie ilość statków handlowych żaglowych zwiększyła się z 688 do 714. Taki rozwój, floty handlowej — donosi p. R. — Japonja zawdzięcza temu, że: „prywatna przedsiębiorczość — usiłowania rządu działały w tej sprawie ręka w rękę. Poświęcono dużo kapitałów, wystudjowano warunki ruchu handlowego, pasażerskiego i pocztowego w różnych państwach; zbudowano u siebie i nabyto w innych krajach dużo statków morskich różnych typów, odpowiednich warunkom miejscowym; otwarto dużo nowych linii, po których krążą statki japońskie, a rząd wszystkie podobne przedsiębiorstwa usilnie popiera subsydjami i pożyczkami. Jest więc do przewidzenia, że znaczną część ruchu handlowego na Oceanie Spokojnym zagarną Japończycy, i że dalsze, morskie przedłużenie kolei syberyjskiej wpadnie również w ich ręce.“

Flota handlowa oddała już ważne usługi rządowi japońskiemu, mianowicie podczas wojny z Chinami, kiedy dla przewozu wojsk japońskich do Chin prawie połowa statków handlowych została szybko przerobiona na tak zwane „transporta wojskowe“.

* * *

Prasa rosyjska dość często porusza kwestję żydowską, którą traktują bardzo różnie organa rozmaitych kierunków. Obok anty-semitów dają się słyszeć głosy, pełne żywej sympatji dla żydów, co prawda nie dla wszystkich, lecz dla głównej ich masy, biednej i, co za tem idzie, we wszystkim upośledzonej i cierpiącej.

Trafiają się i bardzo wybitne objawy takiego, głęboko humanitarnego traktowania spraw żydowskich. Naprzykład w ostatnim

czasie pewne grono pisarzy rosyjskich wydało, pod tytułem: „Sylwetki żydowskie“, zbiór opowieści celniejszych polskich i ruskich belletrystów z życia żydów. Zyski z tego wydawnictwa przeznaczono na pomoc dla cierpiących w skutek nieurodzaju. Z polskich opowieści znajdujemy tam: „Samsona Silnego“ i „Gedali“ Orzeszkowej, „Mendla Gdańskiego“ Konopnickiej, „Sruła z Lubartowa“ Szymańskiego, „Krawca“ Junoszy i „Chawę Rubin“ Świętochowskiego; z rosyjskich: „Jom Kipur“ Korolenko, „Kobyłka w drodze“ Melszina, „Isajka“ Staniukowicza, „Icek Szmul“ Potapenko, „Icek i Dawydka“ Garina i „Nuchim“ Jabłonowskiego.

Witając sympatycznie to wydawnictwo, przyjazne żydom organa prasy rosyjskiej zaczynają swoje sprawozdania od zastrzeżenia, że te „Sylwetki żydowskie“ to obrazy z życia mas ludu izraelskiego, nie mających nic wspólnego „z żydami-wyzyskiwaczami“, kupcami, bankierami i fabrykantami, a które jednak muszą pokutować za sprawki tych ostatnich i cierpieć za sprawiedliwie lub niesłusznie zrozumiane i tłumaczone skutki ich działalności“. W tych właśnie wyrazach zaczyna swoje sprawozdanie o „Sylwetkach“ krytyk miesięcznika „Mir Bożyj“. Krytyk ten, p. A. B. podnosi, że literatura polska wyprzedziła rosyjską w zobrazowaniu typów żydowskich, i że idealizacja, którą odznacza się „Jankiel“ Mickiewicza, stała się rysem charakterystycznym w przedstawieniu żyda w literaturze polskiej; że ta idealizacja była dość silną u Korzeniowskiego i Kraszewskiego, zarówno jak u Orzeszkowej, Konopnickiej, Szymańskiego i u innych, i że takie, tchnące potroszę ozułostkowością traktowanie żydów, dobitnie wyróżnia polskie opowieści o żydach od rosyjskich, w których stanowczo przeważają rysy realistyczne. Krytyk przyznaje, że u polskich pisarzy czuć większą sympatję do swoich bohaterów-żydów, większą życzliwość. „Być może—dodaje p. A. B.— że w tem bezwiednie odbija się pewna wspólność w nastroju obydwóch narodowości, polskiej i żydowskiej, na którą w swoim czasie tak wyraźnie wskazał Mickiewicz w „Księgach pielgrzymstwa polskiego.“

W miesięczniku „Literatura i Życie“, p. Diżura dowodzi, że zesłanie na Syberję, jako system karny, jako środek kolonizacyjny, w ciągu 300 lat stosowania tego środka, okazało się zupełnie nieprzydatnem i nie odpowiadającym zamierzonym celom. Od r. 1754 (od tego czasu są ściśle dane), do r. 1899 zesłano na Syberję 1,450,000 ludzi, co jednak prawie nie wpływało na powiększenie ludności tego kraju. Powodami nikłości tego wpływu były: masowe ucieczki, które dochodziły do 50%, a czasem i do 90% ogółu zesłanych, brak kobiet (od $\frac{1}{11}$ do $\frac{1}{7}$) ogółu zesłanych, złe warunki higienicz-

ne i choroby. *Ilościowe* więc rezultaty kolonizacyjne były mniej niż skromne, *jakościowe* zaś były jeszcze gorsze, bo nawet ujemne, skutkiem szkodliwego wpływu zesłanych wyrzutków społeczeństwa na ludność miejscową i na warunki jej życia. Z tych wybiórków utworzył się proletarijat bezdomny, z bardzo niskim poziomem moralnym. Zbudowanie wielkiej kolei syberyjskiej podniosło życie ekonomiczne kraju, przyciągnęło kapitały i spotęgowało ruch przesiedleńczy. Antor wita więc z radością Najwyższy rozkaz z 6 (18) maja r. b., który znosi karę zesłania na Syberję.

* * *

P. Bielów podaje w miesięczniku „Mir Bożyj“ pouczający opis tak zwanego drobnego przemysłu we wsi Czerkizowie, pod Moskwą. Duża to wieś, bo ludność jej, według ostatniego spisu, dochodzi do 15,000, z których przeszło 3000 trudni się tkactwem, rozwijaniem jedwabiu (przeważnie kobiety) i wyrobem pończoch, sznurów i wazkich, tak zwanych „chłopskich pasów“.

„Mała, ciasna, brudna chałupka, trzy okna w dół frontu, w niej dwa małe, brudne, zakopczone pokoiki i kuchenka. W jednym, cokolwiek większym pokoiku, pracują trzy tkacze, lecz nie samodzielnie, lecz na rzecz i rachunek przedsiębiorcy, który wynajmuje dla nich ten pokój i płaci za niego — 3 ruble na miesiąc: dwa okna w dół, jedno wszcz — i tutaj mieszcza się aż trzy warsztaty tkackie, zajmujące prawie całą przestrzeń, tak — że nawet obrócić się trudno; ciasnota taka, że niema gdzie usiąść, ciągle trzeba stać na nogach i to w naprężeniu. Cały odpoczynek polega na tem, że robotnik opiera się od czasu do czasu tyłem o warsztat. Objętość całego pokoju wynosi 60 arszynów kubicznych. Kurz, pochodzący z cząstek włókien, zapelnia powietrze gęstą chmurą, pokrywa ściany, podłogę, warsztaty i pracownikowi zalatuje w nos, usta i uszy. Wentylacji, ma się rozumieć, niema żadnej, okna szczelnie przyknięte.

— Dla czego nie otwieracie okien?

— Bo wtedy gorzej jeszcze kurz gnębi, tak, że nawet pracować nie można. Jak tylko dmuchnie przewiew, tyle kurzu naleci w gardło, że niepodobna wytrzymać...

„Tkacze są uzbrojeni w duże błękitne okulary, lecz pomimo to wszyscy źle widzą i skarżą się na silny ból oczu. Zmęczone szczupłe figury tkaczy, z wklęsłymi piersiami, o twarzach z barwą zielonkawą, i suchy kaszel budzą przygnębiające wrażenie. Zarabiają po *dwa ruble tygodniowo*; tyle wynosi płaca po 1 kopiejce od arszyna, z wyłączeniem jednak wszystkiego, co przedsiębiorca uzna za wadliwe. Za większe wady oprócz tego z płacy wytrąca się kara.

Ażeby zarobić te dwa ruble, trzeba pracować od wschodu do zachodu słońca. Pożywienie składa się z razowego ohleba, cebuli, kwasu i tak zwanej „ceglanej“ herbaty; o mięsie niema mowy. W rozwijalniach jedwabiu od funta (60 szpulek) płacą doświadczonym robotnikom po 10 kop., początkującym zaś po 5 kop. Robota zaczyna się o 5 z rana i kończy się o 8 wieczór; wystarcza ten czas do rozmotania właśnie jednego funta, czyli do zarobienia 10 kop. Za każdy funt przedsiębiorca dostaje w fabryce 70 kop., czyli zarabia 180%, (bo jedwab surowy i szpulki daje fabryka).“

Tak wygląda zbliska ten sławiony „przemysł domowy“, wykolejony z warunków właściwych przez oderwanie ludu od ziemi i pozostawienie go na łasce przedsiębiorców.

Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

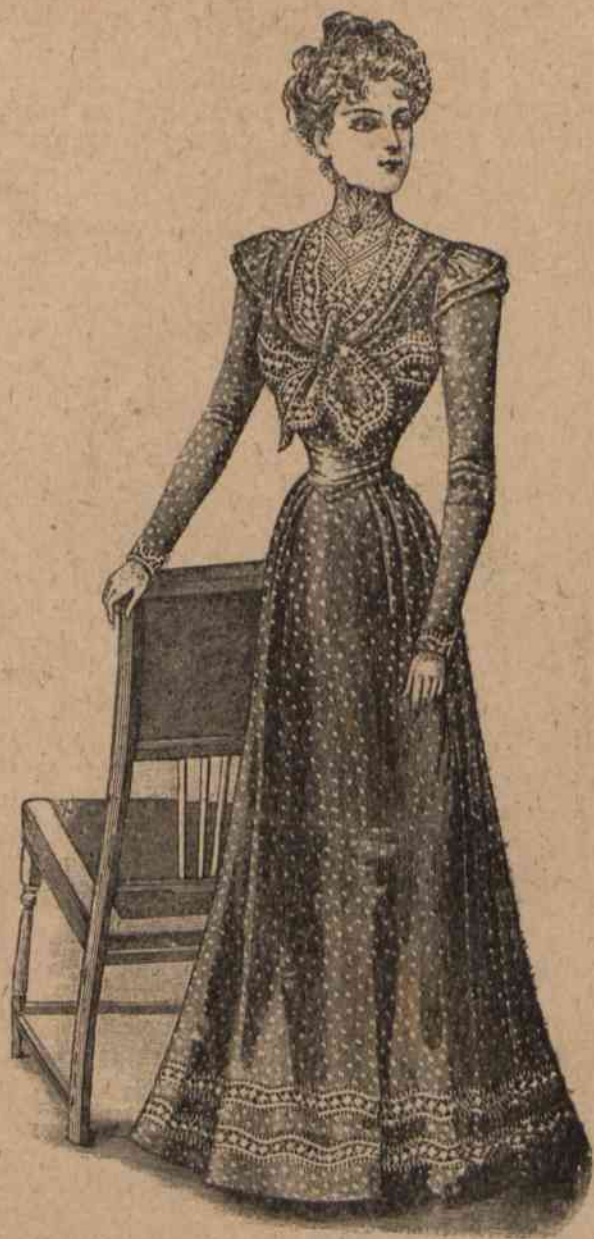
Koniec lata sprzyja letnim wycieczkom i podróżom: upały już mniej dokuczają; wiele rodzin miejskich, wypocząwszy na wsi, po całorocznej pracy, korzysta z ostatnich tygodni letnich wakacji, aby zwiedzić kraj lub zagranicę, częściej niestety, dążąc zagranicę niż do tak pięknych, licznych, a mało znanych okolic ziemi ojczystej. Jakkolwiek ma to wiele wspólnego z „modą“, nie wchodzi jednak w zakres niniejszej pogadanki.

Pragnę pomówić w niej o sprawie bieżącej: sukien podróżnych. Wybierając się na dalszą wycieczkę, trzeba mieć głównie na względzie stronę praktyczną, a więc wygodę, tanią i przyzwoity pozór. Kto zagranicę wyrusza, powinien wiedzieć i pamiętać, że wszędzie, tak samo w Austrii, Prusach, jak i we Francji, opłata za bagaż wynosi stosunkowo drożej od opłaty za bilet, dlatego starajmy się mieć jak najmniej pakunków, przeważnie ręczne, i to niewielkie, bo konduktorowie są mniej wyrozumiali, niż u nas, i nie wpuszczają do wagonów kufereków i łomoków, które my przewozimy bezkarnie na naszych kolejach; przytem w dalszej drodze wypada nieraz przesiadać się, a na stacjach nie ma tylu tragarzy, jak u nas, tak, iż często, prawie zawsze, trzeba dźwigać i przenosić samemu swoje bagaże. Dla uniknięcia trudu, nieprzyjemności i kosztów, najlepiej, wyruszając w podróż zagranicę, mieć przy sobie mały, lekki kufeczek, w którym mieściłaby się jedna sukienka na zmianę i trochę bielizny, a po za tem parasol, pled w paskach i—

nie więcej. Jakto? nie po nadto? Wyjeżdżać nawet bez pudełka, z drugim kapeluszem? Tak, moje panie, nawet bez tak niezbędnego artykułu toalety. Radzę z własnego doświadczenia. Zdobyłam je, przyglądając się Amerykankom i Angielkom, które spędzając pół życia w wagonach, doprowadziły sztukę podróżowania do mistrzostwa. Bez wielu rzeczy, które nam się wydają niezbędnymi, obejść się można doskonale. Chodzi o to tylko, by wyglądać porządnie i zgrabnie; świetnością toalet nie zaimponujemy nikomu, choćbyśmy nawet obstałowały je u Hersego. Nikt przyzwoity nie stroi się do wagonu, ani na ulicę, zaś w teatrach, na widowiskach suknia skromna nigdy nie razi, a najpiękniejsza warszawska nie zwróci uwagi wobec arcydzieł Felixa lub Wantha. Rozsądniej zatem i praktyczniej odrazu wyjeżdżać z takim przeświadczeniem—nie doznamy zawodu i nie wydamy pieniędzy bez potrzeby. Natomiast suknia podróżna powinna być, o ile możliwości, wytworna: dobrze leżąca i w dobrym gatunku—bo taka znosi kurz i nie płowieje od słońca.

Podaję tu parę wzorów: (fig. 1). Suknia z zakieciem z beżowego cover coat, oszyta białą stębnówką. Zakieciak otwarty szeroko na piersiach, ze szmizetką plisowaną kolorową; (fig. 2) suknia z lekkiej wełny brunatnej, stanik bluzkowy, zapinany na boku, do tego wążutki pasek skórzany. Uzupełnieniem toalety jest zakieciak; pelerynki mniej używane do drogi. Kapelusz podróżny obowiązkowo skromny, bez piór, które się rozfryzowują w drodze. Kapelusz fantazyjny, który wieczorem, przy lekkiej, powiewnej toalecie, może się wydać ładnym, w dzień biały w wagonie, na ulicy, jest po prostu śmiesznym. Do podróży najwygodniejszy jest okrągły *canotier*. W roku bieżącym ten fason wyrabia się z włókien aloesu barwy naturalnej; do tego opaska z czarnego aksamitu, zakończona kokardą kolorową. Najmodniejsze są trzy ogromne *chaux* z boku, bądź z materji, bądź z wstążki kolorów odmiennych, a więc: beżowy i *mauve*, popielaty i wiśniowy, niebieski i żółty i t. d., z tych *chaux*, wychodzi pióro czaple lub też—ostatnia nowość—liść tytuniowy: paleta, naśladująca do złudzenia taki liść zeschnięty, na którym pozostały już tylko włókna. Muszę jednak dodać, że kapelusze *canotier* nie są odpowiednie dla dam w pewnym wieku. Ze zaś kapotki niewygodne do podróży, radzę zatem korzystać z nowego fasonu: jest nim szeroki toczek ze słomki czarnej z białą, ozdobiony węzłami, kokardami, skrzydłami z tejsze słomki, bez żadnych innych ozdób.

Ładna suknia podróżna, do niej na odmianę dwie blu-



zki, jedna płócienna, druga jedwabna, po za tem toaleta — czarna do teatru — z takim zapasem strojów można świat cały objechać i wyglądać zawsze elegancko. Drugi kapelusz jest zgoła zbyteczny, bo tylko obciąża nas pudełkiem; na ulicę jeden wystarcza, a w teatrach zagranicznych damy siedzą bez kapeluszy.

Przy takim systemie podróżowania, podróż będzie znacznie tańsza i wygodniejsza o wiele. Naśladujemy zagranicę tak często w zbytkach, naśladujmyż ją i w skromności.

Naśladownictwo jest wogóle wadą naszą narodową. Chcemy mieć to, co inni: mieszkać, ubierać się, zbytekować,



Fig. 1.



Fig. 2.

tak, jak nasz znajomy, krewny, stojący o jeden szczebel wyżej na społecznej drabinie. Nie mając odpowiednich na to środków, staramy się przynajmniej udawać dobrobyt, wytworność: na wierzchu suknie wedle ostatniej mody, pod spodem — koszula perkalowa, spódnica szeleszcząca wprawdzie, ale zużyta, popękana. Chcąc wyrównać bogatszym, pozorna eleganka pozbawia swe otoczenie rzeczy najniezbędniejszych: głodzi męża, dzieci, sługi, siebie samą, zadłuża się na prawo i lewo. A próżność jej nie ogranicza się na samych strojach, ogarnia także dom, jego umeblowanie, urządzenie. Zamiast rzeczy praktycznych i trwałych, fałszywa strojnisia kupuje taną, lecz efektowną tandetę, na-



śladującą brzozy, makaty, otacza się parawanikami, ekranami, parasolami i t. d. Dla tego fałszywego zbytku ponosi ciężkie ofiary, nie zyskując nawet zadowolenia próżności, bo w gruncie rzeczy wie, że to tylko blichtr; nie chroni jej to również od zazdrosnej niechęci względem innych, lepiej uposażonych. Więc po cóż tyle ofiar, skoro to są ofiary bezużyteczne, bezcelowe, nie zdolne zamydlić oczu nikomu, nawet nam samym. Osoba średniej zamożności lepiej wygląda w kapeluszu skromnym, niż w piórach lichego gatunku; w sukni wełnianej—zimną, kretonowej—latem, niż w jedwabnej wyświeconej, zrudziałej. Lepiej stokroć nie mieć na so-



bie żadnych brylantów, niż fałszywe. Blask ich nikogo nie olśni, a niejednego rozśmieszy.

* * *

Obecna moda, wprowadzająca wiele koronek i tiulu w postaci szmizetek, oszyć i t. d., zmusza do częstego prania tych drobiazgów. Oddawać je za każdym razem do pralni, byłoby zanadto kosztownem; lepiej więc załatwiać się z tem w domu, a najlepiej dokonywać tego własnoręcznie, bo służą-



ce bywają zwykle niedbałe i niszczą tak delikatne przedmioty. Takie pranie jest rzeczą łatwą do wykonania. Na parę godzin przed jego rozpoczęciem zwija się gładko na wałek wszystkie muśliny, koronki, batysty, kładzie się je w miednicę i nalewa ciepłą wodą, z dodaniem pół łyżki stołowej salamoniaku i pół łyżki terpentyny na litr wody; wałek musi być zupełnie zanurzony. Po paru godzinach lub nazajutrz, trzeba wyjąć każdą sztukę z osobna, namydlić prostym mydłem, położyć znowu w miednicę i nalać wodą zimną. Po godzinie wyżyma się każdą sztukę znowu, znowu się mydli i znowu wodą zalewa; w tej wodzie koronki i muśliny powinny stać 12 godzin. Wreszcie płucze się po dwa razy w czystej wodzie i wieszka się na cienkich sznurkach, a potem, gdy wszystko wyschnie, kropi się zdaleka i prasuje przez muślinek. Jestto sposób lepszy i łatwiejszy od prania w rękę, a przytem ręce oszczędza. Ma się rozumieć przed upraniem należy obejrzeć starannie każdą sztukę i zacerować, gdzie potrzeba.

Słowiałym sukienkom dziecinnym perkalowym przywraca się lepszy wygląd, spierając je w ługu z chlorkiem, wygryzają one resztę deseni i koloru. Gdy sukienki zblakną zupełnie, nalazurkować je mocno tak, by wyglądały na niebieskie, lub zagotować w lekkiej kawie, co im nada barwę ciemno-kremową.

Rękawiczki glansowane piorą się w następujący sposób: zagotować mleko, ostudzić, zebrać kozuch, potem wzięwszy rękawiczki na rękę, maczać gąbkę w mleku, mydlić prostym mydłem i pocierać gąbką na wszystkie strony, dopóki brud nie zejdzie, potem rękawiczki zlekką wyjąć, powiesić, by podeschły, a gdy będą już tylko wilgotne, włożyć na ręce i suszyć dalej.

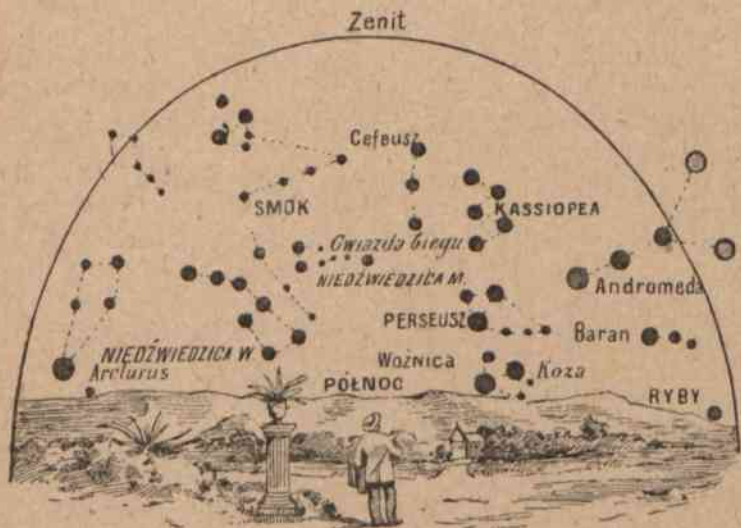
Mlekiem czyszczą się najlepiej trzewiki z żółtej skóry; następnie wyciera się je skrawkiem jedwabnej materji, co im glans nadaje.

Wiele osób uskarża się na włosy tłuste i łupież. Bywa to zwykle zależnem od ogólnego stanu zdrowia, chodzi w parze z anemią, skłonnością do artretyzmu i do cierpień żołądkowych; ma się rozumieć trzeba przedewszystkiem leczyć się na te choroby, ale też nie należy zaniedbywać i samych włosów, bo odpowiednie staranie może ochronić od łysiny, a nawet od egzemy. W tym celu doświadczony lekarz chorób skórnych, którego rady zasięgałam, poleca myć często głowę w odwarze liści orzechu włoskiego i kory dębowej z domieszką szczypty alunu. Jeśli to nie pomaga, jedną szklankę dekoktu, zamiast alunu dodawać: 3 gr. amo-

niaku i 3 gr. esencji gorzkich migdałów. W razie, gdyby nawet ten środek nie skutkował, probować jeszcze silniejszego, a mianowicie, dodać do odwaru: 12 gr. ichtjolu, 10 gr. eteru i 48 gr. lawendy z wódką. Nie można spodziewać się natychmiastowego skutku; trzeba przynajmniej kilka miesięcy obmywać w ten sposób głowę po parę razy na tydzień. Komu czasu nie brak, ten dobrze zrobi, myjąc głowę codziennie odwarem drzewa Panama, do którego dodaje się na jedną szklanekę po łyżeczce od kawy następującej mikstury: proszku beladony 2 gr., bismutu 4 gr., magnezji 10 gr. Łupież tępi się częstym myciem głowy w odwarze z gorzkich ziółek.

E. Żmijewska.

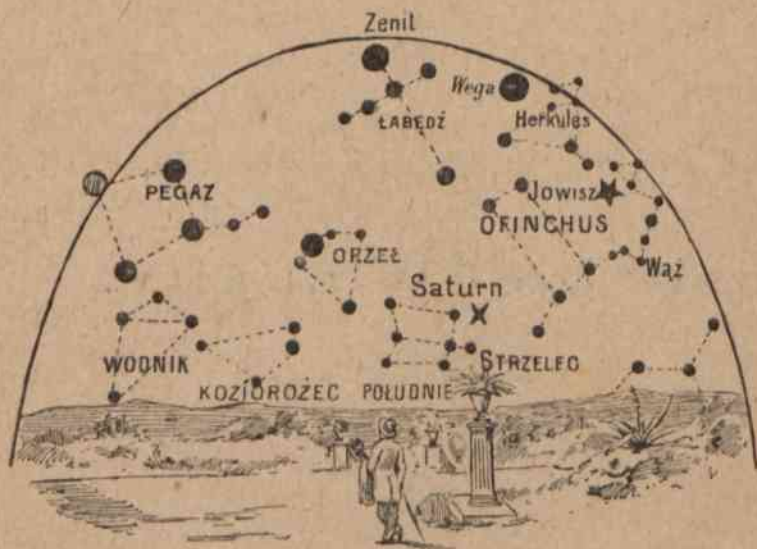
Karta nieba na miesiąc Wrzesień.



Widok nieba od strony północnej.

Zwróciwszy się twarzą ku północy, nie widzimy w zenicie naszym żadnej gwiazdy. W kierunku horyzontu spostrzegamy *Cefeusza*, *Niedźwiedzicę Małą* z *Gwiazdą Biegunową*. Na prawo widzimy *Kassjopeę*, na kształt odwróconej bokiemy litery M, *Perseusza* i *Woźnicę* z *Kozą* nad samym horyzontem; dalej konstelację *Ryb*, *Barana*, *Andromedę*. Na lewo mamy *Smoka*, z ogonem zacho-

dzącym pomiędzy obie Niedźwiedzice, *Niedźwiedzicę Wielką* i *Arkturusa*.



Widok nieba od strony południowej.

W południowej stronie widzimy w zenicie gwiazdozbiór *Łabedzia*, w kształcie krzyża, niżej *Orła* i *Strzelca*. Na prawo świecą *Wega* w konstelacji *Liry*, *Herkules*, *Ofiunchus* i *Wąż wodny*. Na lewo spostrzegamy *Pegaza*, *Koziorożca* i *Wodnika*.

Z planet *Merkury*, zbyt blizki słońca, jest niewidzialny. Przed północą widzimy *Jowisza* w konstelacji *Niedźwiadka* i *Saturna* w konstelacji *Strzelca*. Po północy świecą *Wenus* i *Mars*.

W OJCÓW ŚLADY...

POWIEŚĆ

przez Kazimierza Laskowskiego.

(*Dokończenie*).

— Wolałbym był, żeby go dzisiaj który z ławników zastąpił—ciągnął, chmurząc nieco czoło.—Dziś był termin sprawy Rodowskiego... Odradzałem mu... bo po co się znowu gwałtem... ludziom narażać bez potrzeby.

— Wspominał mi Tadzio, — przerwała — że pisał do pana Rodowskiego, proponując polubowne zakończenie sporu. Może się na tem skończyło.

Stary Głębocki machnął ręką.

— To się na nic nie zdało. Rodowski głupiec po prostu, chłopów jątrzy, a jak mu kto dobrze radzi, to się obraża. Zwłaszcza na Tadeusza od dawna się boczy. I idę o zakład, że umyślnie stanie do sądu, aby móżdż w razie przegranej wyrzekać. Dlatego właśnie radziłem Tadeuszowi... Ale chodźmy już, bo naprawdę chłodno być zaczyna.

Istotnie wiatr powiewał od pola, niosąc o zachodzie chłodny oddech niewygrzanej jeszcze ziemi, i rosa zaczynała szklić dachy budynków.

Młoda Głębocka, powstawszy, wzięła syna za rękę i śpieszyła przodem, stary zaś Głębocki, podążając za nimi, mówił w dalszym ciągu jakby do siebie:

— Doprawdy! zaczynam na serjo żałować, że Tadeusza do tego sędziostwa po ustąpieniu Tarczy namówilem... Ile już miał z tego powodu nieprzyjemności! Nie mówiąc już o Rodowskim... taki na przykład Wilkosz po przegranej z Kornfeldem przestał u nas bywać...

Na wzmiankę o Wilkoszu Tadeuszowa odwróciła głowę, jakby chciała coś powiedzieć. Spozrzegł ten ruch i, uprzedzając, kończył:

— Pal ich tam zresztą sześć! Pogniwają się i przeproszą... Jeśli o tem mówiłem, to jedynie dlatego, że obawiam się, czy Tadeusza te ciągłe przeciwności nie zrażą.

Przechodzili właśnie z sieni do dużego jadalnego pokoju o weneckich oknach. Różowy blask zachodu lśnił się po ścianach, migocąc w złożonych ramach portretów i wypełniając całą przestrzeń migotliwą jasnością, w której głowa młodej mężatki zaczęła płonąć, a oczy świecić jak gwiazdy.

Stary Głębocki jął patrzeć od progu na synową rozmiłowanemi oczyma, i niejako nawiązując przerwana chwilowo rozmowę, rzekł:

— Ale to już twoja rzecz, by się nie zraził, „Głowieńka“. A ty to potrafisz.

I patrzył dalej.

Odpowiedziała uśmiechem, który mówił: „potrafię“—i usadowiwszy syna na framudze okna, przysiadła na taborecie obok.

Stary Głębocki, zapaliwszy cygaro, chodził po pokoju, pośpiewując półgłosem, co zwykł był czynić, ilekroć nad czemś rozmyślał.

Nagle przystanął i, nasłuchując, rzekł:

— Zdaje mi się, że Tadeusz przyjechał!

— Tatus! tatus!—wykrzyknął malec w oknie, klaszcząc radośnie w rączkę.

Jakoż po chwili wszedł do pokoju Tadeusz z paczką gazet i listów w rękę.

— Mam dla państwa nowinę—zaczął, idąc pośpiesznie ku żonie.—Zgadnij, Broniu! List od Opeckiego z Rzymu... Spotkał tam państwa Boczkowskich z Helenką... Przysyła ją nam ukłony. Bardzo się cieszą!

Podał list żonie, poczem powitawszy ojca z odcieniem niezadowolenia, rzekł:

— Napracowałem się dziś jak nigdy, a w dodatku miałem nieprzyjemne zajście z Rodowskim.

— No? no? — podchwycił żywo stary Głębocki. — Spodziewałem się tego.

— Prosiłem go poprzednio — opowiadał w dalszym ciągu, zapanowawszy nad sobą, Tadeusz—o załatwienie tej sprawy polubownie. Wziął to za niechęć czy pogroźkę z mej strony i nie tylko, że nie usłuchał, ale osobiście stawił się do sądu.

— A nie mówiłem! — wtrącił stary Głębocki, rzucając spojrzenie w stronę synowej.

— Ostatecznie podczas rozprawy zaczął mi wyrzucać stronnictwo, chłopomanstwo... Musiałem go przywołać do porządku... Ale zrobiło mi to grubą przykrość...

— Zanadto bo wszystko bierzesz do serca, Tadeu — napomknął ojciec. — Z takim wartogłowem, jak Rodowski, nie ma się co liczyć.

— Zapewne.

— A najlepiej będzie, jeżeli zrzeczesz się tego sędziostwa — doradzał stary Głębocki.

Tadeusz potrząsnął głową i, jakby chciał przerwać rozmowę, podał ojcu gazety.

Stary jednak, odłożywszy obojętnie dzienniki, mówił w dalszym ciągu:

— Nie namawiałbym cię do tego kiedyindziej, ale teraz, przed wyborami do Towarzystwa, lepiej sobie nie robić nieprzyjaciół.

— Ja bynajmniej nie myślę ubiegać się o mandat.

— Ale o tobie myślą. A przyznam ci się, że wolę radcostwo od tych ciągłych kłopotów i utarczek w sądzie.

Tadeusz mimowoli uśmiechnął się. Przyszło mu na myśl pierwsze jego „credo“, wyrażone w liście do Opeckiego

przed paru laty. Już wtedy dawano mu do zrozumienia, że wdzięczność sąsiedzka powoła go kiedyś na zaszczytne stanowisko przedstawiciela ziemiaństwa w instytucji. Od tego czasu zmieniło się tak wiele!

Zagłębił się w wspomnieniach.

Stary Głębocki, wzięwszy uśmiech syna za nieme przyzwolenie, wypowiedział jeszcze parę zdań o rzeczonym projekcie, poczem zabrawszy gazety, wyszedł do swego pokoju.

Na wychodnym szepnął Broni na ucho:

— Przy sposobności i tyś go powinna namawiać. Mówię całkiem serjo. Słyszałem od Dukwicza, że życzą sobie Tadeusza do Dyrekcji Głównej. On dla ciebie teraz wszystko zrobi.

Z zadowoleniem skinęła głową potakująco. Spojrzała w stronę męża fluternie. Ten jednak siedział zadumany, nie zwracając uwagi nawet na pieszczoty kręcącego się obok Dudka.

Więc wstawszy, podeszła bliżej i, oddając mu list, zaczęła:

— Ach, jakbym ja chciała! jakbym ja chciała!

— Czegóż się to znowu mojej pani zachciewa?— spytał, zrywając się. Objął ostrożnie jej kibić, i patrząc czule w oczy, powtórzył: No? czegóż? Słucham.

— Chciałabym... chciałabym, żeby Helenka wróciła i pan Opecki także...

Tadeusz zrobił w pierwszej chwili wielkie oczy.

— Nie rozumiem cię, Broniu.

— Bo, widzisz, Helenka była dla mnie bardzo dobra... bardzo dobra... A ja—dokończyła szybko, płonąca,—ja zabrałam jej ciebie!

— Co też ty pleciesz, dzieciaku! — przemówił z lekkim zakłopotaniem. — Ani mi się śniło coś podobnego. Ciebie jednej szukałem i znalazłem!

Pochyliła rumiane usta. On zaś, całując, szepnął:

— Szczęście może być tylko jedno.

Poczem zaczął poważnie:

— Swoją drogą, twój projekt Broniu, wcale niezły. I byłbym rad, żeby do tego przyszło. Opecki dzielny człowiek i prawy charakter, o ile zaś można z pozorów wnioskować, to mu się panna Boczkowska od pierwszego spotkania podobała.

Klasnęła w dłonie.

— Jakby to było dobrze! jakby było dobrze!

— Co by było „dobrze“? — rozległ się z drugiego pokoju głos starego Głębockiego.

— Bronia ma pewien projekt, — odpowiedział głośno Tadeusz.

— No a ty? — spytał w dalszym ciągu ojciec, wychodząc pospiesznie.

— Ja, naturalnie, zgadzam się! — brzmiała odpowiedź.

— Więc przyjmiesz mandat? — podchwycił gorączkowo stary.

— Jaki mandat?

— Radcowski!

— Naturalnie! będę doradzał Luckowi, żeby się z Heleną Boczkowską ożenił — zaśmiał się Tadeusz. Poczem podszedłszy do zdumionego tą odpowiedzią ojca, rzekł już całkiem poważnie:

— Ojcie kochany! Co mi po godnościach, po tytułach. Wobec nas, między wami tak dobrze jak jest, a jeżeli myślę o czem to o tem tylko, żeby tego malca wychować na dobrego obywatela kraju. O tytuł dobrego ojca starać się będę, boś ty mi ojcie tę drogę wskazał.

K O N I E C.

Korsarz Triplex.

(Powieść z angielskiego w 2 częściach).

Część I-sza.

Wróg niewidzialny.

I.

W admiralicji.

Dnia 14 sierpnia 189... r. odbywało się posiedzenie Komisji lit. B., funkcjonującej przy urzędzie marynarki.

W sierpniu zwykle mieszkania bogaczy londyńskich stoją pustkami. Bankierzy, dygnitarze, lordowie,—jednym słowem, wszyscy, obdarzeni uśmiechem fortuny, wyjeżdżają do will swych nad brzegiem morza. Od Brighton do Corn-Wallis, od wyspy Wight do przylądka Roth,—wszystkie miejsca kąpielowe i miejscowości lecznicze przepełnione są kuracjuszami, żądnymi odpoczynku i świeżego powietrza. Jest wielu takich, którzy lękają się przeprawy przez morze. W Dieppes, w Ostendzie, w Dünnkirchen, w Boulogne, Melleville, Trouville, w Bretanji, w Delfinacie, Owernji, w pięknych górskich

przesmykach zjawiają się jesienią razem z ptactwem przelotnem kraciaste garnitury gentelmanów i marynarskie kapelusiki młodych jasnowłosych miss.

Dlatego Komisja lit. *B* zebrała się w liczbie trzech członków. Ale ci trzej warci byli całej armji. Odpoczynku nie znali i bez przerwy snuli olbrzymią pajęczynę lin i drutów telegraficznych, którą Anglicy chcieliby oplątać kulę ziemską.

Tak więc prezes komisji, lord Stam i członkowie baronet Helix i sir Torpedo, pracowali. Pióra skrzybiały po papierze, a z pod piór wychodziły krótkie rozkazy, które zakłócają spokój narodów na drugim końcu świata.

Od czasu do czasu, jeden z członków komisji podnosił głowę i obojętnie rzucał pytanie:

— Co panowie myślicie o zorganizowaniu małego powstania w Makong, dla odwrócenia uwagi Francuzów od Nigru?...

— Zdaje się, że wartoby posłać pięć tysięcy szybkostrzelających karabinów do Kamerunu, gdyż Niemcy za bardzo interesują się kwestją nilową.

— Owszem, zgadzamy się, — brzmiała zawsze ta sama odpowiedź.

— All right!

I posiedzenie trwało dalej.

W tem drzwi się otworzyły i do sali wszedł szybko woźny urzędu marynarki.

Członkowie komisji przerwali robotę i z niepokojem spojrzeli na woźnego. Było to coś nadzwyczajnego, że przerwano posiedzenie komisji. Woźny niósł na aksamitnej poduszce list rozpieczętowany.

— Co to? — zapytał lord Stam.

— List otrzymany przez Jej Królewską Mość. Najjaśniejsza Pani kazała list ten skierować do urzędu marynarki, aby zredagować odpowiedź, najbardziej odpowiadającą interesom Anglii.

— Dobrze. Proszę dać i zostawić nas.

Woźny z niskim ukłonem wyszedł.

Prezes rozwinął list i powoli przeczytał go głośno. Czy-



▮ Prezes rozwinął list i powoli przeczytał go głośno. (str 338).

sty angielski język, w jakim list był pisany, dowodził, że piszący jest rodowitym Anglikiem. Treść listu była następująca:

11 maja 189...

Wasza Królewska Mość!

„Znam dobroć Waszej Królewskiej Mości i przekonany jestem, że W. K. M. pragnie tylko dobra każdego, lecz ministrowie zapatrują się inaczej. Mówią głośno: „Naród cieszy się dobrobytem“, lecz naród odpowiada cicho: „Nie“.

Odwołuję się do sprawiedliwości W. K. M. z powodu dwóch spraw, o których, rzecz prosta, W. K. M. niema żadnych wiadomości, a które szanbić mogą panowanie W. K. M.

O jednej z tych spraw muszę zamilczeć, o drugiej mogę powiedzieć całą prawdę.

Mówić będę o sir Tobjaszu Allsmayne, głównym naczelniku policji wszystkich krajów angielskich na Oceanie Spokojnym, (Australji, Malakki, Borneo, Nowej Gwinei, rozmaitych archipelagów, Nowej Zelandji, Tasmanji, chińskich i japońskich faktorji i Kanady), który rezyduje w Sidney, w pałacu swym na Paramara-Street.

Osobistość ta powinna dawno sama siedzieć w więzieniu, zamiast wsadzać tam innych. W. K. M. łatwo przekona się o prawdzie, jeżeli każe przeprowadzić surowe śledztwo. Mam nadzieję, że W. K. M. da mi odpowiedź przez gazety; lecz zarazem czuję się w obowiązku zawiadomić, że, w razie nieotrzymania odpowiedzi w przeciągu trzech miesięcy, uważając się za pokornego sługę W. K. M., będę jednocześnie czuł się obrażonym w swoich prawach. Wtedy, szanując prawo, będę pamiętał, że jestem wolnym obywatelem i wypowiem wojnę zdradzieckiej administracji W. K. M. Wtedy wybrzeża Oceanu Spokojnego drzeć będą na dźwięk mego imienia.

Pozostaję wiernym W. K. M. sługą
Triplex, wkrótce korsarz, jeżeli taką będzie wola W. K. M.“.

Prezes skończył. Członkowie komisji spoglądali na siebie, niewiedząc, co myśleć o zuchwalstwie nieznanego korespondenta królowej.

Pierwszy lord Stam, jako przewodniczący, przemówił:

— Czy panowie nie uważacie listu tego za dzieło warjata?

— Tak właśnie myślimy.

— All right! W takim razie pozostawiamy list bez rezolucji.

— Tak jest.

— Zresztą, list datowany jest 11-go maja, a dziś mamy 14 sierpnia. Termin, wskazany w liście, minął już.

— Rzeczywiście.

Prezes, zadowolony z załatwienia sprawy, wziął ołówek niebieski i skreślił na liście zwykłe zdanie. „Pozostawiono bez rezolucji, na zasadzie jednogłównego zdania członków obecnych.“

W tej samej chwili, gdy napisane zdanie podkreślał grubą linią, drzwi otworzyły się i wszedł znowu woźny z aksamitną poduszką, na której leżało kilka papierów.

— Depesza telegrafu podmorskiego — rzekł.

Złożył depesze na stół i wyszedł.

Na twarzach członków komisji malowało się zdumienie. Po raz drugi przerwano posiedzenie — rzecz niepraktykowana na sesjach komisji.

Członkowie, zapominając o należynej zimnej krwi, wyciągnęli ręce do papierów. Każdy schwycił jedną depeszę, przeczytał szybko i wszyscy razem zerwali się z miejsca.

— O, to rzecz bardzo ważna, — wykrzyknęli wszyscy trzej.

Lord Stam wziął gumę i starannie wytarł napisaną przed chwilą rezolucję.

Nie, ten Triplex, to wcale nie warjat! — mruzczał.

— O wcale nie! — potwierdzili Helix i Torpedo.

Prezes z pewnem zdziwieniem spojrział na kolegów. Jak mogą potwierdzać jego zdanie, gdy depeszę przeczytał po cichu? Gdy jednak spostrzegł w rękach kolegów papiery, uderzył się w czoło.

— Depesza przyszła w trzech egzemplarzach?

— Bez wątpienia.

— Tak, w trzech egzemplarzach, z powodu wyjątkowej ważności.

— Zupełnie wyjątkowej...

— Depesza datowana wczoraj, 13 sierpnia.

— Tak.

— Wysłana z Wickham, w prowincji Queensland w Australji...

— Mylisz się pan—odparł baronet Helix.—Depesza wysłana z Essington w Kolumbji, z posiadłości kanadyjskich.

— Co pan mówisz?—zawołał prezes,

— Przepraszam, — wtrącił sir Torpedo, — zdaje mi się, że się panowie obaj mylicie. Depesza została wysłana z Singapore, z półwyspu Malakki

— Ależ patrzcie panowie: Wickham...

— A tutaj: Essington.

— U mnie najwyraźniej napisano: Singapore.

Wszyscy trzej, zdumieni i oszołomieni, zaczęli pokazywać sobie wzajemnie depesze. Gdy wszyscy przekonali się o prawdzie słów pozostałych kolegów, padli na krzesła i schwycili się za głowy.

— Czy panowie rozumiecie cokolwiek z tego wszystkiego?—wyjąknął wreszcie prezes.

— Nic a nic.

— Przecież rzecz niemożliwa, aby jeden człowiek, jednego dnia, o jednej godzinie znajdował się w trzech miejscach, odległych jedno od drugiego o tysiące mil?

— To niepodobieństwo fizyczne.

— Jednak depesze są prawdziwe...

— I z pewnością zawierają wiadomości rzeczywiste...

— Uspokójmy się, panowie,—przerwał prezes — i spróbujmy zrozumieć to wszystko.

Przysunął do siebie papiery, będące powodem niezwykłego wzruszenia członków komisji i mówił spokojniejszym już głosem:

— Naprzód przeczytam je głośno i wyraźnie.

Poprawił się na krzesle i zaczął czytać. Depesza pierwsza: „Wickham, Queensland 13 sierpnia. Podczas nieobecności garnizonu, znajdującego się na manewrach, złoczyńcy wysadzili w powietrze fort Wickham. Na ruinach znalezio-

no przybitą scyzorykiem karteczkę z podpisem: Triplex, korsarz (od 11 sierpnia).

Lord Stam wziął drugą depeszę:

— Essington, posiadłości kanadyjskie, 13 sierpnia. Podczas nieobecności garnizonu, który udał się na wielkie polowanie, został wysadzony w powietrze fort Essington. Na zwaliskach znaleziono przybitą ostrogą kartkę z podpisem: Triplex, korsarz (od 11 sierpnia).

Po chwili milczenia, prezes wziął trzecią depeszę.

— Singapore, Malakka, 13 sierpnia. Podczas nieobecności garnizonu, zajętego rybołówstwem, nieznani złoczyńcy spalili fort Herlang. Na zwęglonych ruinach znaleziono kartkę, przybitą długą sjamską szpilką. Na kartce podpis: Triplex, korsarz (od 11 sierpnia).

Prezes położył wolno papier na stole i skrzyżował ręce na piersiach.

— Co teraz robić? — zwrócił się do kolegów.

— Co robić? Nie wiemy...

— Tak, kwestja drażliwa—mówił zamyślony Stam.

— Bardzo drażliwa.

— Nie możemy tu nic przedsięwziąć.

— Ma się rozumieć.

— Trzeba jednak coś zrobić.

— Tak, jest to naszym obowiązkiem.

— Ale co?

I trzech Anglicy, jak trzech augurowie, posepnie patrzyli na siebie.

Nagle twarz sir Torpedo rozjaśniła się.

— Jest jedna osoba, która może cokolwiek rozjaśnić tę sprawę.

— Kto taki, kto? — zawołali jednym głosem Stam i Helix.

— Sir Tobjasz Allsmayne, którego imię wymieniono w liście.

— Bardzo słusznie.

— Do niego musimy się zwrócić. On podwójnie związany jest z tą sprawą; jako oskarżony przez tego wszędzie

obecnego korsarza i jako naczelnik policji Oceanu Spokojnego.

Członkom komisji powrócił zwykły humor. Torpedo miał rację. Urząd marynarki nie potrzebował tracić czasu na rozwiązanie zagadki; to należało do urzędnika odpowiedzialnego za bezpieczeństwo krajów brytańskich na drugiej półkuli.

Prezes włożył w kopertę list do królowej, trzy depesze i wszystko to zostało bezzwłocznie wysłane do sir Tobjasza Allsmayne wraz z formalnym rozkazem schwytania, żywego lub umarłego, awanturnika, który odważył się zuchwale targnąć na budynki, znajdujące się pod osłoną flagi starej Anglji.

II.

W Sidney.

— Zarząd główny policji w Sidney?... Dobrze... kto jest przy telefonie?.. Pan Mathewby, naczelnik oddziału 5-go? Sir Tobjasz Allsmayne polecił panu udać się natychmiast do Little-Rock, zabrać tam aparat Folmana i jego samego aresztować. Zrozumiał pan?... Dobrze, do widzenia.

Mówiący nacisnął dwa razy guzik dzwonka telefonowego i odszedł od aparatu. Był to człowiek 35-letni, wzrostu średniego, bardzo przyjemnej powierzchowności. Co prawda to grzbiet jego był tak zgięty, że złośliwi nazywali go garbatym, lecz miły uśmiech, śmiejące się oczy, jasne jedwabiste włosy i wąsy, kazały zapominać o tej małej wadzie fizycznej, tak, że często młode panienki tantejsze, z właściwą rasie anglosaskiej otwartością, same ofiarowały mu swe rączki.

— Dziękuję bardzo za zaszczyt, jaki mi pani wyborem swym czynić raczy, — odpowiadał zawsze w podobnych wypadkach, — lecz teraz nie mam jeszcze czasu zajmować się temi rzeczami.

I rzeczywiście, w obszernym oszklonym pawilonie domu sir Tobjasza, pośród mnóstwa telefonów, telefotów, telegrafów i rur akustycznych, łączących pawilon z centralnem biurem policji, a ztamtąd, za pośrednictwem telegrafu podmorskiego, z całym światem, młodzieniec ten nie miał czasu myśleć o małżeństwie.

Cały dzień, często zaś i w nocy pracował tu, korespondując i wymieniając wzajemne depesze z agentami, urzędującymi na wybrzeżach Oceanu Spokojnego. Przyjmował od nich raporty, komunikował im rozporządzenia władzy, — jednym słowem, miał dozór nad regularnem działaniem bardzo złożonego mechanizmu policyjnego, czuwającego nad polityczną potęgą Anglii.

Nazywał się James Pack, był sekretarzem osobistym sir Tobjasza. Miał do swego rozporządzenia trzech pomocników, piszących na maszynach.

Gdy James skończył rozmowę przez telefon i usiadł przy swem biurku, jeden z pisarzy podniósł głowę.

— Jak to, panie Pack, wyszedł rozkaz aresztowania Folmana?

— Tak, panie Dick.

— Tego Folmana, który na zasadzie promieni X wynalazł aparat fotograficzny, za pomocą którego zdejmuje się same szkielety ludzi żywych!

— Za to go właśnie aresztuję!

— Naprawdę?

— Naprawdę, możesz pan nawet zobaczyć, za co mianowicie.

I z temi słowami podał Dickowi kawałek brystolu.

— A to ciekawa fotografia!—zawołał pisarz,—noga drewniana, szczęki sztuczne, nos...

— Srebrny: Jest to portret pułkownika Ewisa, zdjęty za pomocą aparatu Folmana.

Objaśnienie to wywołało ogólny śmiech.

— Pułkownik, srodze rozgniewany, — mówił dalej sekretarz, — podał skargę, żądając zadośćuczynienia za publiczne odkrycie jego wad fizycznych. Ponieważ zaś pułkownik ma dobre stosunki w Anglii, władza nasza nie chce z nim

zadzierać zwłaszcza teraz, gdy pomimo kategorycznego rozkazu urzędu marynarki, nie możemy schwytać tego niepochwytanego korsarza Triplexa.

Słyszając to nazwisko, pisarze spoważniali.

— Przekłęty Triplex! — wymówili jednocześnie.

— To prawda, że przekłęty! — potwierdził James, — djabł napewno opiekuje się nim. Wiecie panowie, — mówił głosem przyciszonym, jakby obawiając się niewidzialnych szpiegów, — rzeczywiście korsarz ten jest naprawdę wszechobecnym. Zaczął od tego, że jednego dnia, o jednej godzinie zburzył trzy angielskie osady wojskowe, jedną w Ameryce, w Kolumbji, drugą w Azji w pobliżu Singapore i trzecią — u nas, na wybrzeżu Australji.

— O tem wiemy, i to pewnie spowodowało ten rozkaz urzędu, o którym przed chwilą mówiliśmy.

— Tak, tak. Wczoraj zaś rano otrzymaliśmy depeze z Nowej Zelandji, z Borneo i z Cejlonu. Okazuje się, że zeszłej nocy Triplex zjawił się we wszystkich tych miejscowościach, schwytał wszędzie jednego urzędnika policyjnego, każdemu sprawił takie różgi, że aż pomdleli i zostawił im kartki z następującemi słowami: „W imię sprawiedliwości korsarz Triplex wymierza karę cielesną podwładnym bezbożnego Allsmayne’a, zanim dostanie jego samego w swe ręce.“

Pisarze spojrzeli na siebie z widocznem zmieszaniem.

— Sprawił różgi urzędnikom policji... — przemówił pierwszy.

— Niebezpieczne rzemiosło... — dodał drugi.

— Ale czy też kto widział tego korsarza? — zapytał trzeci.

— Tss... Po co pan tak o nim mówisz! Po co ściągać na siebie gniew takiego człowieka?

James Pack uśmiechnął się.

— Owszem, są tacy, co widzieli go — odpowiedział, — nosi mundur oficera marynarki i szeroki płaszcz.

— A jak wygląda na twarzy?

— Twarzy jego nikt nie widział; nosi zieloną maskę.

— Zieloną maskę? Ależ to okropne!

Pisarze byli tak wystraszeni, że podskoczyli na krze-

ślach, gdy drzwi się otworzyły. Strach był jednak niepotrzebny; na progu ukazał się nie korsarz, lecz sir Allsmayne we własnej osobie. Był to człowiek wzrostu wysokiego, tęgo zbudowany; szerokość twarzy powiększały jeszcze gęste faworyty, wyraz oczu był złośliwy i okrutny. Naczelnik policji był, jak się zdaje, nie w humorze.

Przeczuwając burzę, pisarze pochyłili się nad robotą; w pokoju słychać było jedynie skrzypienie piór.

— Co słychać nowego, panie Pack? — spytał, podchodząc do Jamesa.

— Nic nowego, sir.

— Za to ja mam wiadomości, — gniewnie zawołał naczelnik, — niech je djabli wezmą!

Nachylił się do ucha Jamesa i ciszej mówił dalej:

— Wiesz pan, że wczoraj odbyłem naradę z lordem Bolldkeane, komendantem naszej eskadry Oceanu Spokojnego. Postanowiliśmy, że wszystkie okręty będą zmobilizowane i oddziały wojska rozlokowane na wybrzeżach posiadłości angielskich. Sam lord Bolldkeane miał odpłynąć na pancerniku „Ironduc“ dla zorganizowania obrony wybrzeży australskich. Przed wschodem słońca admirał stał na pokładzie, oczekując przyływu morza, aby mógł wyjść z portu Farme-Cow. Nagle, niewiadomo skąd, na pokład spada drewniana skrzyneczka, w której, po otworzeniu, znaleziono list do lorda Boildkeane następującej treści:

Mówiąc to, podał sekretarzowi trzymany w rękę papier.

James rozwinął list i z wyrazem zdziwienia na twarzy czytał półgłosem:

„Szlachetny lordzie! Nie spotkasz mię pan na swej drodze, gdyż nie mam nic przeciwko panu osobiście, lecz żadne usiłowania pańskie nie przeszkodzą mi ukarać obmierźłego Allsmayne'a,“ Korsarz Triplex.

Sekretarz pokiwał głową.

— Djabli wiedzą, co to jest, — mówił dalej sir Tobjasz. Lord kazał zapalić lampy elektryczne, przejrzano całą przystań, lecz nie było tam ani jednej łodzi, ani jednego człowieka.

Osada jest przerażona. Myślą, że skrzynka spadła z nieba, że rzucił ją jakiś djabeł latający.

— Trudno myśleć co innego, — wyrzekł James.

— Chyba pan nie myślisz, że to są sztuki djabełskie.

— Napewno nie, sir. W każdym razie to wypadek trudny do wytłumaczenia

— Tak, to prawda.

— Mojem zdaniem, zrobiliśmy bardzo dobrze, ogłaszając w gazetach nagrodę 4000 funtów szterlingów za wydanie Triplexa.

— I ja tak myślę. Lecz ogłoszenie wyszło tydzień temu, a my dotąd nic nie wiemy.

— Trzeba poczekać, sir.

— Czekać, czekać! A urząd marynarki? przecież pan wiesz, że ten zuchwalec ośmielił się pisać wprost do Jej Królewskiej Mości.

— Wiem, ale co robić? — odparł James, wzruszając ramionami.

Zamiast odpowiedzi, sir Tobjasz zrobił tem sam ruch.

W tem dały się słyszeć dwa lekkie stuknięcia we drzwi. Maszyny piszące unilkły, jak zaczarowane.

— Proszę! — odezwał się naczelnik policji.

Do pokoju weszła młoda, elegancka kobieta. Ubrana była w skromną, czarną suknię; twarz jej, otoczona aureolą jasnozłotych włosów, była młoda i piękna, lecz zamglony blask ślicznych niebieskich oczu wskazywał, że płakała często i wiele; lekkie zmarszczki na czole dowodziły częstej zadumy.

— Lady Allsmayne! — wyszeptali pisarze i powstali z miejsca, aby złożyć ukłon wchodzącej.

Naczelnik policji z niecierpliwością zwrócił się do żony.

— To ty, Jenny! Nie spodziewałem się widzieć ciebie tutaj.

— Wiem, że niejestem tu potrzebną, — odparła łagodnie młoda kobieta, — lecz, proszę mi wierzyć, nie przysłabym bez ważnej przyczyny.

— Cóż to za przyczyna?

— Korsarz Triplex, — odpowiedziała cicho.

Allsmayne zbladł i o mało nie zaklął głośno. Machinalnie wyciągnął rękę po rewolwer, który zwykle nosił w kieszeni. Lady wstrzymała go lekkim ruchem.

— Pójdziemy do sąsiedniego pokoju. Tam wszystko się wyjaśni.

Allsmayne kiwnął głową i poprosił z sobą Jamesa. Obaj wyszli za młodą kobietą, pisarze pozostali, gubiąc się w domysłach.

Przeszli długi korytarz i weszli do niewielkiej, z przepychem umeblowanej sali. Na miękkim fotelu siedział z nogami skrzyżowanymi piętnastoletni chłopiec i z wielkim zajęciem robił stosowany kapelusz z wielkiego żółtego afsza. Stara brązowa kurtka i wystrzępione spodeńki dziwnie odbijały od aksamitu, pokrywającego fotele; opalone nogi obute były bez pończoch w stare żółte pantofle z wyblądłymi niebieskimi kokardami. Najdziwniejszą jednak była twarz chłopca. Delikatne, regularne rysy, nosek prosty, gładkie białe czoło, bogate sploty jasnoblond włosów, wysuwające się z pod zawadjacko na tył głowy nasuniętej czapki; cała powierzchowność chłopca nosiła ślady jakiejś szlachetnej elegancji, mętne jednak spojrzenie ciemnozielonych oczu dowodziło, że chłopiec jest głupkowaty lub idjota.

— A, to Silly!—powiedział James do naczelnika.

— Silly? Co za Silly?

— Mały idjota; włóczy się po Sidney i żyje z jałmużny.

Sir Tobjasz spojrział na żonę ze zdziwieniem.

— Chcesz, sir, wiedzieć, dlaczego przyprowadziłam tu tego chłopca?—odpowiedziała na nieme pytanie,—zaraz wytłumaczę. Wyjechałam dzisiaj odwiedzić chorą moją przyjaciółkę, Elidę Levis. Gdy wracałam koło doków, tłum zatrzymał mój powóz. Robotnicy portowi z głośnym śmiechem otaczali tego chłopca, kpiąc i dowcipkując.

Mówiąc to, Jenny spojrzała na Silly. Chłopiec, nie zwracając uwagi na otaczających, starannie przytwardzał pióro do papierowego kapelusza.

— Wzięłaś zatem dziecko.

— Przepraszam, nie skończyłam jeszcze. Chłopiec ten

z najpoważniejszą miną naklejał na murze jeden z tych oto afiszów.

I korzystając z tego, że chłopiec stojąc przed lustrem, z wielkiem zadowoleniem przymierzał swój kapelusz, Jenny wzięła z fotela jeden z pozostawionych przez chłopca afiszów, rozwinęła go i podała mężowi.

Na afiszu była wydrukowana następująca odezwa:

„Bracia — mieszkańcy Sidney! Policja i dzienniki straszają was mojem imieniem. Nie macie jednak powodu obawiać się mnie. Prowadzę wojnę tylko z niegodnym dyrektorem policji Oceanu Spokojnego, gdyż człowiek ten działa w imieniu sprawiedliwości, w ręce której dawno już dostać się powinien. Nastąpi to jednak wcześniej lub później. Wam w każdym razie nie zrobi żadnej krzywdy życzliwy wam korsarz Triplex.“

Allsmayne zarumieniony z gniewu spojrział groźnie na chłopca, stojącego wciąż przed lustrem. Jenny zatrzymała męża.

— Proszę o chwilę cierpliwości, — rzekła, — dziecko to, pozbawione rozumu, nie może odpowiadać za swoje postęпки. Ale wyświadczyło mi przysługę.

— Przysługę? Tobie, Lady? — wycedził przez zęby Allsmayne.

— Tak jest, mnie. Tłum mnie poznał i otoczył powóz z zuchwałemi żartami, „Acha! — wykrzykiwano, — policja złączyła się i wysyła teraz kobiety przeciwko korsarzom.“ Byłam już niespokojna, lecz w tej chwili spostrzegł mnie Silly, postawił na ziemię kubeł i pędzel i jednym skokiem znalazł się na stopniu powozu. Chwilę patrzył na mnie z zadziwieniem, potem przemówił cicho: „Tyś dobra, tyś bardzo dobra i Silly cię obroni. Daj mi rękę.“ Wyciągnęłam doń rękę, którą ucałował. Tłum zaśmiał się. „Brawo, Silly, brawo! — krzyczeli robotnicy. — Wtedy chłopiec wyprostował się i z pałającym wzrokiem zawołał: „Trzymajcie język za zębami! Nie znacie szacunku dla kobiet! Ale Silly broni tą panią i nie pozwoli jej skrzywdzić.“

— Dobry obrońca! — zauważył Allsmayne, wzruszając ramionami.

— Jednakże obrona jego okazała się skuteczną. Lud nasz względem warjatów i idjotów czuje jakiś zabobonny szacunek. I teraz wszyscy zamilkli, tłum rozstał się i przepuścił powóz. Silly siedział obok mnie i trzymając moją rękę, powtarzał: Tyś dobra, tyś bardzo dobra! Przywiozłam go myśląc, że wam panowie uda się dowiedzieć od niego, kto mu dał tak niebezpieczne polecenie.

— Masz rację, lady! Wybadam chłopca. Co pan myślisz o tem, panie Pack?

— Bardzo dobry plan, — odparł sekretarz.

Sir Allsmayne podszedł do chłopca i uderzył go po ramieniu.

— Silly, — rzekł, — słuchajno, Silly!

Chłopiec odwrócił się.

— Dzień dobry, — odpowiedział. — Ale ja nie mam czasu, muszę przymierzyć ten jeneralski kapelusz.

— Nie oto idzie, chłopcze. Przed chwilą rozlepieś afisze?

— Rozlepiełam afisze? — zapytał chłopiec zdziwiony. — Ach prawda, — mówił dalej z radosnym uśmiechem, jak człowiek, który sobie przypomina coś, — przylepiełam takim wielkim pędzlem, który maczałem w kubie.

Przerwał i obejrzał się w około z niepokojem.

— Ale, gdzie mój kubek? Zginął! Mój kubek, mój kubek...

I płacząc prawie, chłopiec biegał po pokoju, zaglądając pod krzesła i fotele.

— Do diabła, warto nawet mówić o twoim kubie!

— Ma się rozumieć, że warto! Gdyby pan widział mój kubek, pełen kleju...

— Trzeba mu ustąpić, gdyż w przeciwnym razie nie się nie dowiemy, — rzekł cicho James do naczelnika.

— Jak to ustąpić?

— Pozwoli pan pomówić z nim?

— Owszem, proszę.

Sekretarz podszedł do chłopca i wziął go lekko za rękę.

— Nie bój się, Silly, dostaniesz inny kubek.

— Inny, — powtórzył chłopiec z radością.

— Nawet jeszcze większy...

— I pędzel, i klej?

— Tak jest.

Chłopiec spojrział na Allsmayne'a.

— Czy to prawda, panie?

— Prawda, moje dziecko, — wtrąciła Jenny.

— Kiedy ona mówi, że dostanę, to wierzę. A kiedy dacie mi kubek?

— Gdy odpowiesz na wszystko, o co cię pytać będę.

— Silly zawsze odpowiada, gdy go kto pyta. Silly jest dobry chłopiec — mówił, śmiejąc się.

James rozpoczął badanie.

— Tyś dzisiaj naklejał afisze? Dlaczegoś to robił?

— To tak wesoło. A pan nie lubi kleić papieru?

— Ja nie mam czasu.

— Niech pan żałuje.

— Ale powiedz, kto ci kazał rozlepić te afisze?

— Kto? no on, człowiek...

— Co za człowiek?

— Niewiem.

— A jak wyglądał?

— Tak, jak wszyscy. Miał długie nogi i biegał szybko.

Sir Tobjasz gniewnie machnął ręką. Wiedział, że od nieszczęśliwego idjoty niczego się nie dowie.

James próbował jeszcze.

— A co ci mówił ten człowiek?

— Powiedział do mnie: Silly, masz tu kubek, pędzel i te arkusze, rozlepiaj je na ścianach. To bardzo wesoło.

— I nic więcej?

— Nic więcej. Ach, prawda, jaką Silly ma krótką pamięć! Człowiek powiedział: Silly, zanieś ten list Tobjaszowi Allsmayne.

Obecni drgnęli, przeczuwając najciekawszy punkt badania.

Silly sięgnął do kieszeni i wyjął kopertę, na której wielkimi literami widniał adres sir Tobjasza.

Naczelnik wyciągnął już rękę po list, lecz chłopiec odskoczył na bok.

— Nie mogę oddać panu tego listu. Człowiek kazał wręczyć go sir Allsmayne'owi.

— Ależ ja jestem sir Allsmayne...

— Tak jest, mój chłopcze, — potwierdziła Jenny.

— Kiedy pani mówi, to wierzę. Proszę pana list.

Allsmayne pochwycił list i z niecierpliwością rozdarł kopertę. Jenny i James patrzeli przez ramię jego.

„Sir, — brzmiał list. — Korsarz Triplex kazał mi rozlepieć proklamacje, i musiałem być posłuszny z obawy kary śmierci. Chcę jednak wydostać się ze szponów tego straszego człowieka. Dzisiaj wieczorem, po ukończonej wyprzedaży towarów nie wykupionych, w dokach odbędzie się uroczystość. Będzie tam Triplex. Niech pan przygotowuje się do schwytania go. W potrzebnej chwili znajdę się obok pana i pomogę wskazać zbrodniarza. Proszę zachować milczenie. Jedno pańskie słowo nieostrożne może zgubić pokornego sługę X“.

Okrzyk tryumfu wydobył się z piersi naczelnika policji.

— Dzisiaj zatem korsarz będzie w naszych rękach. Miałeś pan rację, panie Pack, licząc na ogłoszenia. Ci bandyci trzymają swoich ludzi pieniędzmi. Dzisiaj zatem, na uroczystości w dokach. Chodźmy, panie Pack, trzeba jeszcze wydać odpowiednie polecenia.

Sekretarz skłonił się, lecz przed wyjściem podszedł do chłopca, który stojąc przy oknie, wychodzącym na park, przyglądał się uważnie kwiatom.

— Bądź zdrow, Silly, — rzekł James, — dobry z ciebie chłopiec. Podaj mi rękę.

I ściskając chłopca za rękę, James szybko wsunął w jego dłoń jakiś przedmiot, który chłopiec równie szybko wsunął do kieszeni. Sceny tej nikt nie zauważył.

Gdy mężczyźni wyszli, Silly podszedł do lady Jenny.

— A kubeł? — odezwał się kapryśnie. — Obiecałaś mi kubeł...

Jenny uśmiechnęła się i pogłaskała chłopca po głowie.

— Chodź ze mną, Silly. dostaniesz śniadanie, a potem

dam ci zabawkę, której tak pragniesz. Pewnie chce ci się jeść?

— O tak, tyś dobra, lady. Czy wiesz, lady, że Silly często bywa głodny, jak i teraz. Jakaś ty dobra!

Jenny wzruszona, pochyliła się nad sierotą, pocałowała go w czoło i zaprowadziła do swego apartamentu w drugim końcu pałacu.

Gdy znaleźli się w jej pokoju, posadziła go przy stole i kazała podać śniadanie. Silly z apetytem wziął się do kurczenia na zimno, popijając jedzenie czystą wodą. Jenny chciała dolać do szklanki jego trochę wina, lecz chłopiec odsunął jej rękę.

— Nie chcę wina, — mówił, — wino nie dobre... Silly traci od niego głowę.

Młoda kobieta z tkliwością spoglądała na biedne dziecko, dla którego poczuła nagłą sympatję.

Zaspokoiwszy głód, Silly z ciekawością i zdziwieniem zaczął oglądać pokój. Najprzód uwagę jego zwróciło łóżko z drogiego drzewa, inkrustowane kością słoniową, potem wielkie lustro w kosztownych ramach i wreszcie wzrok jego z widocznym zachwytem spoczął na wiszącym na ścianie obrazie.

Obraz przedstawiał dwuletnią dziewczynkę, stojącą na ławce i opartą o piedestał statui. Różowa sukienka dziecka wyraźnie odbijała od białego marmuru, harmonizując z zielonością pejzażu. Jenny spostrzegła, że chłopiec zachwycony został obrazem i twarz jej zaciemniła chmura smutku.

— Co to za śliczne maleństwo?—Zapytał Silly.

— To... to była córeczka moja, Maddy,—odpowiedziała zmienionym głosem.

Silly podbiegł do Jenny i tklawie ujął jej rękę.

— Ty płaczesz, lady,—mówił.—Silly nie wie, dlaczego. Może dla tego, że ta maleńka przestała być twoją córeczką... Nie wiem... Ja nie miałem matki. Mieszkam sam, w polu... Moi rodzice — to leśne ptaszki i kwiaty polne... Przebacz, lady, może powiedziałem co złego...

W głosie chłopca przebijało szczere współczucie.

Jenny przycisnęła dziecko do serca.

— Nie bój się biedaku—rzekła.—Nie powiedziałaś nic złego. Nie wiesz jeszcze, co to jest śmierć. Maddy niema już na świecie. Wpadła do rzeki, i nie znaleziono nawet jej ciała. Płacze, bo nigdy już nie ucałuję jej. Ale i ty, dziecko, płaczesz?

— Tak, Silly płacze. Nikt go jeszcze nie ucałował tak, jak ty, lady.

Młoda kobieta załkała. Przycisnęła mocniej do piersi jasnowłosą główkę chłopca i z uczuciem mówiła:

— Matka bez dziecka, dziecko bez matki. Czy to nie los łączy dwa złamane życia, czy nie los chce powrócić to, czego powrócić nigdy niemoże?.. Silly, zostań ze mną,—dodała stanowczo.

Dziecko podniosło na nią oczy, pełne łez. Zdawało się, że gotów przystać na propozycję, lecz nagle twarz jego spochmurniała.

— Nie, Silly potrzebuje swobody. Silly potrzebuje drogi, na której słońce złoci pył, potrzebuje gór, w szczelinach których wicher gwiżdże, potrzebuje łąk, gdzie pasą się stada. Nie, Silly nie może mieszkać w domu. I wiesz, lady, muszę już iść,—dodał prędko.—Słyszysz, jak morze śpiewa. Woła mnie... To mój najlepszy przyjaciel. Często, kiedy Silly jest głodny, ono przynosi mu śliwki. My się kochamy...

Jenny nie odpowiadała. Budziło się w niej dziwne, niewytłumaczone uczucie. Zdawało jej się, że chłopiec zabiera z sobą cząstkę jej serca. Raz jeszcze próbowała go zatrzymać.

— Poczekaj, Silly, obiecałam ci przecież kubek.

— Ja wrócę. Ty lady, jesteś moją przyjaciółką. Silly wróci, uklęknie przy krześle twojem i będzie patrzeć na ciebie, jemu tak dobrze, gdy na ciebie patrzy...

Chłopiec chwilę jeszcze marudził, jakby trudno mu było odejść. W końcu ostatni raz podniósł rękę Jenny do ust i rzucił się do drzwi.

W pięć minut potem szedł ulicami miasta, kierując się w stronę portu.

Port Jackson jest jednym z największych portów świa-

ta. Składa się z trzech części: jedna służy za przystań dla okrętów wojennych, eskadry Oceanu Spokojnego, w drugiej — przybijają do lądu parowce pocztowe z Europy, trzecia przeznaczona jest dla statków kupieckich. Tam skierował się Silly.

Podszedłszy do morza, usiadł na szerokich płytach i z przyjemnością patrzył na roztaczający się przed nim obraz. Naprzeciwko niego znajdowały się warsztaty okrętowe i składy rozmaitych towarzystw żeglugi. Za nimi sterczały groźne sylwetki potężnych fortów, broniących miasta. W jednym punkcie wybrzeża stał cały las masztów, ubranych różnokolorowymi flagami. Tam właśnie miała odbywać się uroczystość, zamykającą roczną wyprzedaż towarów pozostałych w dokach. Dochodziły już stamtąd dźwięki muzyki, zapowiadające blizki początek uroczystości.

Tam, gdzie zatrzymał się Silly, przystań miała zupełnie inny wygląd. Panowała tam gorączkowa robota. Olbrzymie windy ze zgrzytem wyładowały towary z okrętów, przybywających ze wszystkich stron; na welocypedach pędzili posłańcy i komisanci, po granitowym bruku grzmiąły samochody.

Pół godziny chłopiec siedział nieruchomo, potem wstał i poszedł wybrzeżem, schylając się od czasu do czasu po kamienie i muszle. Przy schodach, prowadzących do powierzchni morza, zatrzymał się. Zeszedł ze schodów, usiadł na ostatnim stopniu i zaczął bawić się rzucaniem w morze kamyków i muszli, patrząc z zajęciem na rozchodzące się po wodzie koła. Każdy, kto patrzył by w tej chwili na chłopca, wziąłby go za głupowatego malca, bawiącego się bezmyślnie. Lecz przyjrząwszy się bacznie, w zabawie chłopca można by było spostrzedz cel świadomy.

Jego mętne spojrzenie ożywiło się nagle. Obejrzał się uważnie w około; widząc, że nikt nie zwraca nań uwagi, schylił się i zapuścił rękę w wodę, jakby szukając czegoś. Wyjął wreszcie rękę, na której teraz znajdował się korek przywiązany do sznurka. Drugi koniec sznurka, jak się zdawało, przytwierdzony był do dna morza.

Obejrząwszy się raz jeszcze, chłopiec wyjął z kieszeni

przedmiot, wręczony mu przez Jamesa w domu sir Tobja-sza. Był to mały blaszany cylinder. Silly przywiązał go starannie do korka i trzy razy pociągnął za sznurek. Po kilku sekundach uśmiech zadowolenia błysnął na jego ustach.

Puścił sznureczek, blaszane pudełeczko zsunęło się w morze, i kręcąc się, zniknęło pod wodą.

Rzucił jeszcze w wodę kilka kamieni, potem przeciągnął się, jakby znudzony zabawą. Spojrzał na semafor i zobaczywszy sygnał, wskazujący przybycie do portu parostatku, podniósł się prędko, wszedł po schodach i skierował się w stronę nadpływającego okrętu. Chciał zobaczyć pasażerów przybywających z Europy. Szedł powoli, nie spiesząc się wcale, mijając paki i skrzynie i skinieniem głowy odpowiadając na powitanie robotników portowych. Wszyscy znali, lubili i żałowali malca, że w ładnej główce jego brak, jak sądzili, rozumu. Chłopiec szedł, pogwizdując jakąś piosenkę myśliwską, wesoły i rzeźki, jak ptaszyna polna. Nagle drgnął: przy posterunku policyjnym spostrzegł Jamesa Packa, rozmawiającego z naczelnikiem posterunku. Silly chciał przejść dalej, lecz James zatrzymał go:

— Jak się masz, Silly?

— Dzień dobry panu.

— Nie zostałeś u lady Allsmayne?

— Nie, wolę swobodę.

— Czy niechciałbyś jednak przejść się ze mną wieczorem?

— Owszem, chcę.

— Bardzo dobrze. Przyjdź zatem o dziewiątej na Parawara-Street.

— Czy tam, gdzie dom dobrej lady?

— Tak. Zaprowadzę cię na uroczystość w dokach.

— A tam będą podobno różne zabawy i wyścigi cyklistów?

— Tak, będą. Więc do widzenia wieczorem, Silly.

— Do widzenia z panem.

Chłopiec udał się w swoją stronę, a James, wskazując nań palcem, rzekł do naczelnika posterunku:

— Ten właśnie malec naprowadził nas na ślad korsarza Triplexa. W nagrodę, chcę mu sprawić uciechę; przysięgam, że on pomoże nam znaleźć człowieka, od którego otrzymał afisz.

Policjant skinął głową na znak, że zrozumiał, i z czułością wzroku spojrzął za chłopcem, który tymczasem odszedł już daleko.

Teraz przechodził przez ciasne uliczki, zamieszkałe przez ludność robotniczą portu. Rybacy, zawalając drogę, reperowali sieci przed otwartymi drzwiami szynku, z którego wydobywały się na ulicę wyziewy whisky i dżynu; pijani majtkowie, klnąc i wymyślając sobie wzajemnie, zataczali się przez całą szerokość uliczki; gromadki kobiet, rozprawiających krzykliwie, dopełniały gwaru i hałasu. Silly zręcznie lawirował pomiędzy grupami ludzi, wreszcie wyszedł na to miejsce przystani, gdzie zatrzymywały się parostatki z Europy. Przyszedł w samą porę — okręt przybijał do brzegu.

Zanim z parostatku spuszczone pomost do schodzenia, posłańcy, konduktorzy hotelowi i tłumacze, wszczęli gwar i hałas nie do opisania. Każdy przepychał się gwałtem, chcąc zająć miejsce w pierwszym rzędzie.

Przybycie Sillego przyjął jeden z tłumu wesolą uwagą:

— Bogu dzięki! Chodź tu, głuptasku, potrzebny tutaj silny chłop...

Silly nie zmięszał się bynajmniej.

— Silly nie jest mocny, jak wół, ale jednak potrafi zanieść tłumoczek i zarobić na kawałek chleba, — odpowiedział ostro.

Robotnicy przestali śmiać się. Ci ludzie prości, lecz bynajmniej nie źli, uczuli pewien wstyd, gdy to słabe, bezsilne stworzenie tak śmiało wygłosiło swe prawa do życia. Chcieli usunąć się, aby zrobić mu miejsce, lecz w tej samej chwili pasażerowie zaczęli schodzić na przystań. Tłum, przybyły tu w celu znalezienia zarobku, rzucił się na walizy, tłumoki i torby, trzymane przez podróżnych. Ze wszystkich stron słyhać było krzyki i wołania:

— Nie potrzebny posłaniec, lady?

— Proszę pani walizę.

— Tu proszę, tu... Hotel Royal. Ceny umiarkowane.

— Hotel Pawilon! Bardzo wygodny! Co wieczór muzyka, co niedzielę przedstawienie.

— Służę pani! Hotel „Ogród Muz“. Usługa elektryczna.

Pasażerowie zakłopotani, biegli za posłańcami, niosącymi ich walizy do omnibusów i powozów. Jedna grupa podróżnych stała spokojnie opodal i na tę zwrócił uwagę Silly. Byli to: jeden pan i dwie młode panie. W podróżnym łatwo można było poznać Francuza po lekko-ironicznym wzroku, zakręconych w górę wąsikach i wyrazie twarzy, zdradzającym łatwowierność i szczerłość. Z dwóch towarzyszek jego, jedna, szczupła blondynka, o ślicznej cerze, była Angielką, druga, wysoka brunetka, z wielkimi oczami, przypominała gazelę swobodną gracją ruchów.

Podróżny z spokojnym uśmiechem wybrał oczami dwóch silnych tragarzy i skinąwszy na nich, powiedział:

— Hotel „pod stulistną różą“!..

— Omnibus już pełen, proszę pana.

— Wszystko jedno, pójdziemy pieszo. Mamy tylko trzy walizy. Podróżujemy dla przyjemności i w drodze kupujemy wszystko, czego nam potrzeba.

Tragarze chwycili walizy z widocznym szacunkiem.

W Australji ludzie jeżdżą jedynie w interesach i dlatego człowiek, podróżujący dla przyjemności, cieszy się powszechnym szacunkiem; kto podróżuje nie w interesie, musi mieć dużo pieniędzy, przedstawia znaczny kapitał, który w Australji, jak i na całym zresztą świecie, właścicielowi swemu sprowadza cześć powszechną.

Tragarze poszli wzdłuż brzegu.

— Chodź, Oretta. Chodźmy, pani Lozjo! — odezwał się do swoich pań młody człowiek.

— Zaraz, Armandzie, — odpowiedziała młoda Angielka.

— Jestem gotowa, panie Lawared — odpowiedziała druga towarzyszka.

Silly nie przepuścił ani słowa z tej rozmowy. Na twarzy jego odbiło się zdziwienie.

— Oretta, Lozja, Lawared—mruczał pod nosem.

I wyciągnawszy szybko rękę, chwycił za kuferek, który trzymała w ręku Lozja, zawodząc płaczącym głosem:

— Silly zanieś kuferek, miss... Za dwa pensy!

— Co to za chłopiec? — zapytał Lawared.

— To biedny ulicznik, Silly — odpowiedział jeden z targarzy.—Jeżeli pan chce zrobić miłosierny uczynek, niech mu pan pozwoli zarobić kilka pensów.

— No to weź kuferek, chłopcze, i idź za nami.

Silly skłonił się z powagą i poszedł za przybyłymi, którzy rozmawiali podczas drogi, nie zwracając nań wcale uwagi.

— A więc przypuszczasz pan, panie Lawared, — odezwała się jedna z towarzyszek, z niepokojem w głosie, — że się nam szczęśliwiej powiedzie w Sidney?

-- Nie przypuszczam, ale jestem pewny.

— Masz pan nadzieję, że odszukamy tu...

— Kuzyna Roberta? Ależ naturalnie! Niech się pani tylko zastanowi, — dodał, zauważywszy cień powątpiewania na twarzy swej towarzyski — toć jesteśmy już na tropie; kiedy nas opuścił, mówiłem mu, że jestem dziennikarzem paryzkim. Małżeństwo z Orettą kazało mi, co prawda, zapomnieć trochę o tem, okoliczności jednak zmieniły się i dziś odżyła we mnie znowu żyłka dziennikarska. Zapewniam panią, że odnajdziemy naszego nieszczęśliwego towarzysza.

— Może pan masz słuszość. Nie powinnam, wszak, zapominać, że, dzięki panu, wpadliśmy na jego trop; dowiedzieliśmy się, że w Brindisi siadł na parowiec, idący do Sidney, i że nie zatrzymywał się ani w Port-Said, ani na innych stacjach.

— Że więc tu, na stacji krańcowej...

— Powinniśmy go odszukać — dokończyła z uśmiechem Oretta.

Lozja smutno potrząsnęła głową.

— Nie możemy się tu przecie zwrócić do władz. Dla Roberta niebezpiecznie byłoby, gdyby wpadł w ręce policji.

— Głupstwo!—odpowiedział wesoło dziennikarz.—To są dwie sprawy zupełnie różne. Pierwsza, najtrudniejsza — od-

szukać kuzyna. W tym kierunku policja pomoże nam z łatwością zrozumiałą gorliwością. Druga—wyrwać go z rąk policji. A to tu, równie jak w Europie, przyjdzie z łatwością. Trzeba tylko trochę sprytu. Jutro zaraz udam się do naczelnika policji, a was, moje panie proszę tylko o jedno: bądźcie spokojne.

Rozmawiając tak zbliżyli się do hotelu, obrzyniego gmachu, otoczonego dokoła wspaniałymi ogrodami. W pięć minut po przybyciu znaleźli się już w numerze, urządzonej z całym nowoczesnym komfortem. Mieli do usług telefon, elektryczność, pianino.

Służący oświadczył, że w salonie jest nadto fonograf dla tych podróżnych, którzy robią notatki z podróży. Przed odjazdem otrzymują fonogramy, które, po wstawieniu do drugiego aparatu, wypowiadają doznane wrażenia.

Tragarze, a z nimi i Silly, złożyli pakunki i oddalili się. Chłopiec przed odejściem z właściwą sobie głupkowatą miną obejrzał dokładnie cały pokój, co bardzo ubawiło podróżnych.

— A zatem, moje panie — odezwał się Armand, kiedy zostali sami — jutro nawiązuję stosunki z policją australską. Odczytam wam raport do naczelnika policji Oceanu Spokojnego, który wygotowałem w drodze. Chciałbym usłyszeć wasze zdanie o nim.

Obie kobiety skinęły głową na znak zgody, poczem Lawared zaczął czytać.

„Do jego ekscelencji dyrektora policji Oceanu Spokojnego, sir Tobjasza Allsmayne.

„My, niżej podpisani, Armand Lawared, dziennikarz paryzki, który pobił rekord podróży na około świata (objechał bowiem świat cały w ciągu roku z 2 i pół pensami w kieszeni), żona moja Oretta Lawared, z domu Murliton i miss Lozja Hador, mamy zaszczyt donieść waszej ekscelencji, co następuje: Wiadomo panu zapewne, na jakie trudności napotyka w Egipcie wpływ angielski. W kraju tym powstało stronnictwo t. zw. młodo-egipcjan, którego zadaniem jest przywrócenie niepodległości dolinie Nilu. Współzawodnictwo dwóch znakomych rodów, Tanis i Hador nie pozwalało Egi-

pejanom długi szereg lat zjednoczyć się. Wreszcie ostatni z Hadorów złożył na ołtarzu ojczyzny wiekową swoją nienawiść i postanowił jedyną córkę swą Lozję wydać za ostatniego przedstawiciela rodu Tanisów.

„W ten sposób można było położyć kres nieprzyjaźni, i wszyscy Egipcjanie stanąć mogli pod jednym sztandarem. Tanis mieszkał w Paryżu pod troskliwą opieką Anglii, która dawała mu znaczną sumę na utrzymanie. Uwiadomiony przez wysłanego przez Hadora niejakiego Niari'ego, młody ten człowiek, nawykły do wygodnego, swobodnego życia przeraził się wyniknąć ztąd mogącej wojny i doniósł o wszystkim poselstwu angielskiemu. I oto, co z tego wynikło.

„Admiralicja zrozumiała, że, choć Tanis urzędownie wyparł się udziału w spodziewanem powstaniu, ono mimo to wybuchnie i pociągnie za sobą kosztowną i krwawą wojnę, której należy uniknąć.

„Postanowiono, że Tanis pozornie zgodzi się na propozycję i odroczy tylko jej wykonanie, a tymczasem znajdzie człowieka, któremu wiek i stosunki rodzinne pozwolą na odegranie roli prawdziwego Tanisa.

„Niari, oddany ślepo młodemu Egipcjaninowi, miał być pomocnym w doprowadzeniu do skutku tego zamiaru. Po wykonaniu jego Tanis - samozwaniec miał być w Egipcie aresztowany, następnie wygnany, przez co spisek, pozbawiony wodza, musiał upaść, a prawdziwy Tanis mógłby w dalszym ciągu pędzić swobodny i wesoły żywot w Paryżu. Wszystko to ułożone było bardzo zręcznie. Wybór padł na Roberta Lawareda, rodem z jednej z ferm w południowym Algierze, oddalonej o 50 klm. od Vargley. Sierota, niemający nikogo z krewnych, prócz mnie, brata przyrodniego, którego nigdy w życiu nie widział, był jakby stworzony dla zamysłów admiralicji.

„Wszystko stało się, jak było uplanowane. Robert został nagle pochwycony, zamieszany, sam nie wiedział, kiedy i jak w spisek egipski i ożeniony z Lozją Hador. Wkrótce potem aresztowany został przez policję angielską i wysłany do zachodniej Australji. Udało mu się zbiedz stamtąd, dzięki okolicznościom, zbył skomplikowanym, ażeby o nich

mówić na tem miejscu. Zabił Tanisa w pojedynku i powrócił do Francji.

„Miał zamiar poślubić tu miss Lozję, do której się przywiązał i której wzajemność pozyskał, i pędzić nadal życie spokojnego obywatela. Tu jednak dopiero początek jego nieszczęść. Dla przywrócenia spokoju w Egipcie, musiała Anglja dostać koniecznie w swoje ręce Tanisa. Rządowi angielskiemu udało się wymóżyć na Francji, że wykreśliła nazwisko młodego człowieka z listy poddanych francuzkich, jako mylnie w niej zapisanego poddanego egipskiego. W ten sposób tracił Robert równocześnie poddaństwo i narodowość. Musiał uznać za żyjącego zdrajcę, któremu sam wymierzył słuszną karę. Wasza ekscelencja zrozumie, że było to niemożliwe. Żaden uczciwy człowiek nie zgodziłby się nosić cudzego nazwiska, zwłaszcza nazwiska zdrajcy.

„Ażeby móżd poślubić ukochaną, musiał koniecznie odzyskać nazwisko i narodowość. Wszystkie jednak usiłowania nasze w tym kierunku rozbiły się o czujność agentów angielskich. Robert smutniał z dniem każdym. Wyrzucał sobie, że bezskuteczną walką swoją gubi życie miss Lozji. Usiłowania moje, ażeby mu dodać odwagi, pozostały bez skutku. Wreszcie, pewnej nocy, wymknął się potajemnie z domu, w którym mieszkaliśmy, pozostawiwszy list następującej treści:

Kuzynie i wszyscy, których kocham!

„Stało się! Przejrzałem. Podjąłem zadanie nad siły. Jednemu człowiekowi nie wolno mierzyć się z całym narodem. Pozostając nadal z wami, zakłócam wasz spokój, odpędzam szczęście od waszego ogniska i czynię niewolnicę z Lozji, która jest zbyt dobra, zbyt szlachetna, ażeby cofnąć dane słowo. Niech zapomni o nieszczęśliwym, piszącym te słowa, niech się nie stara go odszukać. W chwili, gdy słowa te czytać będziecie, jam już daleko od was, i przestrzeń oddzielająca nas, zwiększa się z każdą chwilą. Obowiązek mój ciężki, spełniając go jednak, poświęcam się dla tych, których kocham, i to wskazuje cel memu życiu. Z pełnemi łez oczyma mówię wam: bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi na wieki!“

„Podpisano: Ten, który niema nazwiska.“

Głośne łkanie Lozji przerwało czytanie. Zakryła twarz rękoma, ramiona jej wstrząsały się konwulsyjnie.

Oretta pochyliła się nad ofiarą tego krwawego dramatu, który w zwyczajnym suchym kancelaryjnym tonie opisywał raport Armanda.

Dziennikarz powstał wzruszony z krzesła i cichym głosem przemówił:

— Niech pani nabierze odwagi, miss Lozjo. Nie na to odczytałem mój raport, ażeby pani płakała. Dziś sprawa daleko lepiej stoi, aniżeli wtedy, kiedyśmy czytali list Roberta. Promyk nadziei zajaśniał znowu. Znajdziemy go.

— Wierzę, że go znajdziemy, nie zmieni to jednak położenia. Z szacunku dla pamięci ojca zechce odzyskać swoje nazwisko, z miłości dla ojczyzny—swoją narodowość.

Armand uśmiechnął się.

— Otóż w tem właśnie myli się pani. Gdym tylko stanął nogą na ziemi australskiej, — mówił dalej, w odpowiedzi na błagające spojrzenie obu kobiet — wpadłem na myśl, tak prostą, że sam sobie się dziwię, że już dawniej jej nie powziął. Wszak Robert, opuściwszy kraj z panią i z prawdziwym Tanisem, zostawił tam Nari'ego, wtajemniczonego w intrygę, której ofiarą padł mój kuzyn. Gdy Robert będzie już z nami, odszukamy tego młodzieńca i wtedy, na podstawie jego świadectwa i zeznań pani, stwierdzimy formalnym aktem tożsamość mojego kuzyna a pani męża, z przypadłym bez wieści Robertem Lawaredem, i wówczas zajmie on znowu miejsce wśród wyborców francuzkich.

Projekt ten wywołał uśmiech radości na twarzach Oretty i Lozji. Wątpliwości młodej kobiety nie rozwiały się jednak jeszcze zupełnie.

— Czy się tylko Niari na to zgodzi? — zapytała z powątpiewaniem w głosie.

— Zgodzi się niezawodnie. Jemu, równie jak nam, zależy na wyświetleńiu prawdy.

— Tak pan sądzi?

— To jasne jak słońce. Niari jest przedewszystkiem patriotą egipskim. Gdy przywódca spisku umarł, leży w je-

go interesie, ażeby fakt ten został stwierdzony i żeby stronicy niezależności Nilu mogli sobie wybrać innego wodza, któryby dalej prowadził ich plany.

— To prawda,—odrzekła żona Roberta, ściskając gorąco dłoń paryżanina.—Robert nie mylił się, gdy mówił: „Gdyby Armada wsadzono do skrzyni z związanymi rękoma i nogami, i skrzynię tę, zalaną cementem, zakopano w ziemi, to i wtedy jeszcze potrafiłby się z niej wydostać.“

— Pani przesadza, a właściwie mówiąc, przesadza Robert. Zaraz w nim poznać prawdziwego południowca, urodzonego w Algierze. Na szczęście, niema tu ani skrzyni, ani cementu i przypuszczam, że znalazłem trafne rozwiązanie zadania. A teraz czytam dalej, — dodał właściwym sobie, ironicznym tonem.

„Wyruszyliśmy na poszukiwanie zbiega. Zebrawszy wiadomości, tak jak je zbierać umieją reporterzy, dowiedziałem się, że Robert Lawared siadł w Brindisi na okręt, płynący do Sidney, i nie opuścił go w żadnej z węzłowych stacji. Musiał więc przybyć do Sidney w czerwcu.“

Armand zamilkł. Młode kobiety były zdania, że wskazówki, zawarte w raporcie, były wystarczające, i że ułatwić mogły policji poszukiwania.

Włożywszy papiery do kufra, Armand odezwał się wesoło:

— No, na dziś dość już tych poważnych spraw. Czas pomyśleć o obiedzie. Każę go podać tu, w numerze.

To rzekłszy wstał i skierował się do telefonu. Nagle z ust jego wyrwał się okrzyk zdziwienia. Na skrzynce, mieszczącej baterję, leżała złożona we czworo kartka papieru, a na niej napis:

„Armandowi Lawaredowi, bardzo pilne.“

— Kartka! Do mnie? — wyszeptał.

Rozwinąwszy znalezione kartkę, czytał co następuje:

— „Szanowny panie! Sir Tobjasz Allsmayne, dyrektor policji Oceanu Spokojnego, bardzo niechętnie przyjmuje obcych. Mimo to jednak, jeżeli zechcesz pan pofatygować się jutro o 6 g. rano do parku Cou, znajdziesz sir Tobjasza.

w krzakach, okalających pomnik Cooka. Ułatwi to panu możliwość przedstawienia mu swej sprawy.“

Zdziwienie przez dobrą chwilę nie pozwoliło podróżnym przemówić. Nia mogli pojąć, jaką drogą dostała się tu ta wskazówka, tak niezbędna w danej chwili.

— Co o tem myślisz, Armandzie? — zapytała po chwili Oretta.

— Pójdę o wskazanej godzinie. Bo i cóż ryzykuję? Co najwyżej ktoś sobie ze mnie zażartował. Ale wszak jako rodowity paryżanin sam pierwszy śmiać się będę z figla. W każdym razie, muszę się rozpytać służby.

Za kilka chwil dzwonki elektryczne zgromadziły wszystkich służbę hotelową, z właścicielem, master Littingiem na czele.

Nikt nie umiał jednak objaśnić tej tajemnicy. Litting usprawiedliwiał się na wszelki możliwy sposób. Był w rozpaczy, że wypadek podobny wydarzył się w jego hotelu, używającym najlepszej opinii i oświadczył, że zawiadomi o zajściu policję.

Wypadek ten nie popsuł jednak apetytu podróżnym. Około g. 9-ej udali się do swoich pokoi i ułożyli się do spoczynku.

Poszukiwania.

Gospodarz hotelu „pod stulistną różą“ nie miał, niestety, tyle zimnej krwi, co jego goście. Przez całą noc błąkał się po ulicach miasta, w nadziei spotkania którego z urzędników policyjnych. Wszystkie biura policyjne były już zamknięte, usiłowania spotkania któregokolwiek z urzędników, któryby mógł w prywatnem mieszkaniu przyjąć jego skargę, spełzły na niczem. Jednych nie zastał w domu, drudzy znowu nie chcieli go przyjąć. A nie była to bynajmniej bagatela,—tu chodziło o dobre imię zakładu. Bo i prawdę mówiąc, cóż to

za hotel, w którym przyjezdni otrzymują jakieś listy anonimowe, pisane widocznie przez jakiegoś łotra, nie mającego odwagi działać otwarcie.

— Co warta taka policja! — mruzczał. — Człeka statecznego, z majątkiem i stanowiskiem napastuje jakiś nędzarz, niemający grosza w kieszeni.

Ostatnią okoliczność, a mianowicie, że autor anonimu miał puste kieszenie, uważał master Litting za rzecz nieulegającą najmniejszej wątpliwości. Ani na chwilę nie mógł przypuścić, ażeby człowiek stateczny, majątny, był w stanie popełnić coś równie ekscentrycznego.

Nagle przerwał swój monolog, ujrzawszy przed sobą trzech ludzi, których figury wydały mu się znajome. W środku szedł wysoki, barczysty mężczyzna, na prawo niższy i trochę pochylony, na lewo jakiś młodzian.

— O ile mnie oczy nie mylą, to sir Allsmayne z sekretarzem swym Jamesem Packiem i idjotą Sillym. Nazwę się ostatnim durniem, jeżeli nie skorzystam ze sposobności i nie przedstawię natychmiast mojej skargi.

Przyspieszywszy kroku, dopędził idących przed sobą, a spojrzawszy na nich z ukosa, przekonał się, że się nie mylił. W rzeczy samej był to Allsmayne z Packiem i Sillym. Szli właśnie na „święto doków“ w nadzieji, że uda się im tam pochwycić niepochwytneho korsarza.

Nie zdejmując wcale kapelusza, stanął Litting przed Allsmaynem, zagradzając mu w ten sposób dalszą drogę.

— Moje uszanowanie panu naczelnikowi!

Naczelnik policji spojrział z zdziwieniem na Littinga, który traktował go tak bez ceremonji, poznawszy go jednak, grzecznie odpowiedział na powitanie.

— Mam dwa słowa do powiedzenia panu naczelnikowi.

— Dziś wieczorem jestem zajęty. Powiesz pan jutro.

— Jutro nie mam czasu. Muszę się dziś rozmówić z panem. To zajmie tylko chwilę.

Natarczywość ta zdziwiła sir Allsmayne'a. Patrzył w milczeniu na mówiącego.

— Dziś wieczorem,—mówił dalej Litting, uważając milczenie to za znak zgody,—dziś wieczorem jakiś nieznajomy

pozwoił sobie pozostawić w pokoju jednego z moich gości ten oto list.

To mówiąc podał Allsmayne'owi papier, który tak zaciekawił Lawareda. Naczelnik policji przebiegł szybko przy świetle elektrycznym treść kartki.

— Lawared—wyrzekł półgłosem.—Zkąd mi to nazwisko znajome?

Pack i Silly drgnęli z lekka, zamieniwszy między sobą szybkie spojrzenie.

— Lawared,—odezwał się obojętnym tonem Pack,—nazwisko to nosiła pewna osobistość, aresztowana w zachodniej Australji. Pamięta pan zapewne... zamieszany był w sprawę egipską.

— Aha, pamiętam, pamiętam! Ale to pewno inny, ten tu nie powróci! W każdym razie, dowiemy się jutro.

Littingowi nie podobało się to odłożenie sprawy do dnia następnego, odezwał się więc z rozpaczą w głosie:

— A po mieście rozejdzie się tymczasem wieść o skandalicznym zajściu w moim hotelu.

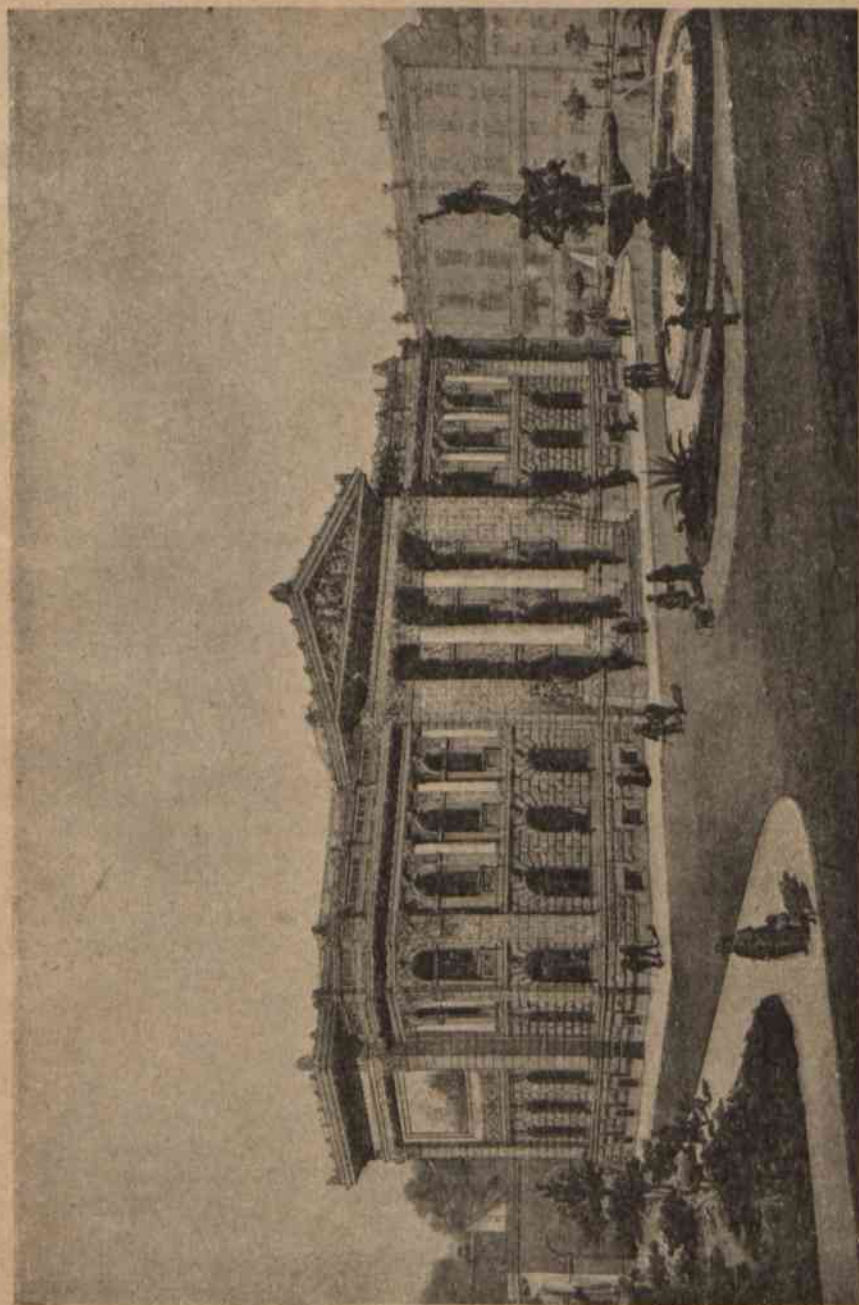
— Ach, daj mi pan święty spokój,—zawołał Allsmayne, tracąc widocznie cierpliwość.—Mówię panu przecie, że dziś jestem zajęty. Powiedz pan swemu gościowi, żeby się nie niepokoił. Nie przypuszczasz pan chyba, ażebym miał zamiar stawić się na tę niedorzeczną schadzkę. Jutro mi pan powiesz, na kogo masz podejrzenie.

— Gotów jestem zrobić to dziś. Służby mojej podejrzyczyć nie mogę. Mam obsługę wyborową, z najlepszymi świadectwami. Do mieszkania mego gościa wchodziły jednak 3 osoby obce: 2 tragarze i ten oto malec.

To mówiąc wskazał na Silly'ego.

— Silly?

— Tak.



Budujący się gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.

ROZMAITOŚCI.

— **Co Chińczycy jedzą i czem się leczą.** Chińczycy, zwłaszcza lud prosty, nie zbyt są wybredni w jedzeniu. Jedzą prawie wszystko, co żołądek ludzki strawić jest w stanie. Od czego głodny lazzarone odwróci się ze wstrętem, to Chińczyk, nawet zamożny, uważać będzie za przysmak.

W Kantonie, jako pokarm powszedni, sprzedają tuczone psy; są tu także sklepy, gdzie specjalnie sprzedają koty i szczury. Ragout ze szczura uważane jest w Kantonie za przysmak. W okolicach Pekinu bardzo jest rozpowszechnione użycie mięsa wielbłądziejego i oślego; innego często dostać nie można. Lud nie gardzi nawet zdechłymi wielbłądami i osłami. Pewien podróżnik spotkał raz gromadę robotników, którzy w jego oczach wyciągneli z kupy śmieci zdechłego psa, żeby przygotować z niego jedzenie. Ten sam podróżnik zastał raz całą ludność małej wioszczyny, zajętą skrobaniem ogromnej świni. Gdy podróżnik zapytał, dla czego przedtem nie wypaproszono świni i od czego na ciele jej sine plamy, odpowiedziano mu, że wnętrzności także będą użyte, jako pokarm, a plamy pokazały się od tego, że świnia zdechła na zarazę.

W Aton sprzedają mleko kobiece, jako środek na odzyskanie sił przez starców. Mleko krowie piją tylko na północy; na południu użycie mleka surowo jest wzbronione, przynajmniej w stanie płynnym, naturalnym. Zato mleko zgęszczone, przywożone z Europy ma wielki popyt; jedzą je łyżkami lub smarują na chleb. Do sera, który nazywają „zepsutem mlekiem“ Chińczycy czują wstręt; wolą jednak jaja stęchłe od świeżych.

Kwem-Jeu t. j. gniazda jaskółcze i ślimaki morskie, jako przysmaki figurować muszą na stole na każdym uroczystym przyjęciu. Indyjska jaskółka morska wyrzuca z żołądka część napół strawionego

pokarmu i tej masy kleistej używa do lepienia gniazda. Najwięcej gniazd dostarcza półwysep Malakka i różne wyspy południowe. Jaskółki te budują gniazda zwykle w miejscach bardzo niedostępnych, tak że zbieranie gniazd połączone jest z niebezpieczeństwem życia. Dla tego cena ich jest bardzo wysoka i wprost nieprzystępna dla ludzi mniej zamożnych.

Wody czystej, surowej Chińczycy nie piją, uważając ją za szkodliwą. Przy głównych drogach urządzone są kioski, w których podróżny dostać może wody przegotowanej. Jako napój chłodzący, Chińczycy używają odwaru kwiatów bobu.

Za uniwersalny środek leczniczy przeciwko wszelkim chorobom i dolegliwościom służą rośliny Ginseng. Rosnącą dziko w Mandzurji, cenią na wagę złota; w Korei istnieje odmiana na pół dzika, którą sprzedają na wagę srebra. Daleko tańsza jest roślina ta hodowana w plantacjach kalifornijskich, z kąd dowożona jest do Chin w olbrzymiej ilości. Cesarz chiński, w dowód nadzwyczajnej łaski, posyła swym dygnitarzom w razie ich choroby funt mandzurskiego Ginseng, na którego wartość lekarze europejscy zapatrują się bardzo sceptycznie.

Chińczycy nie mają pojęcia o anatomji i psychologii. Wykłady w wyższych szkołach chińskich, zwanych cesarskimi, o budowie ciała ludzkiego, warte śmiechu. Lekarze chińscy opierają rozpoznanie choroby tylko na badaniu pulsu.

W aptekach chińskich, obok najrozmaitszych szarlatańskich środków, znajdują się niektóre coś warte. Nie dawno słygał w Kantonie lekarz chiński Wong, który kształcił się w Edynburgu, lecz po powrocie do ojczyzny porzucił strój europejski i powrócił do narodowego; wszyscy Europejczycy i Amerykanie zasięgali jego porady. Obejście jego zaledwie zdradzało Chińczyka, choć nim w głębi duszy pozostał i, jako lekarz nie gardził chińskimi podaniarńmi. Wynałazł pastylki przeciwko febrze i środek ten uważał za lepszy od wszystkich europejskich; nawet cudzoziemcy przekładali go nad chininę.

Dopiero od kilkunastu lat, to jest od wprowadzenia szczepienia ospy, Pekin przestał być ogniskiem czarnej ospy. Dziewięć dziesiątych ludności podlegało tej strasznej chorobie, trudno było znaleźć człowieka z twarzą bez śladów przebytej ospy. Nikt nie chciał ożenić się z dziewczyną, która nie przebyła jeszcze ospy. Nie myślano bynajmniej o żadnych środkach ochronnych przeciwko epidemji, noszącej popularną nazwę „Radość“ lub „Kwitnięcie“. Uważano za rzecz przyzwoitą zapytać damę: „Czy pani kwitła już?“ Szczepienie ospy obecnie bardzo wpływa na zmniejszenie epidemji.

W Wuczan przyrządzają proszek przeciwko chorobom oczu, bardzo rozpowszechniony w całym kraju. Proszek ten bywa bardzo pomocny przy zapaleniu powiek. Zwykle mieszaną bywa z miodem i mlekiem i wpuszczany w kąty oczu za pomocą igły.

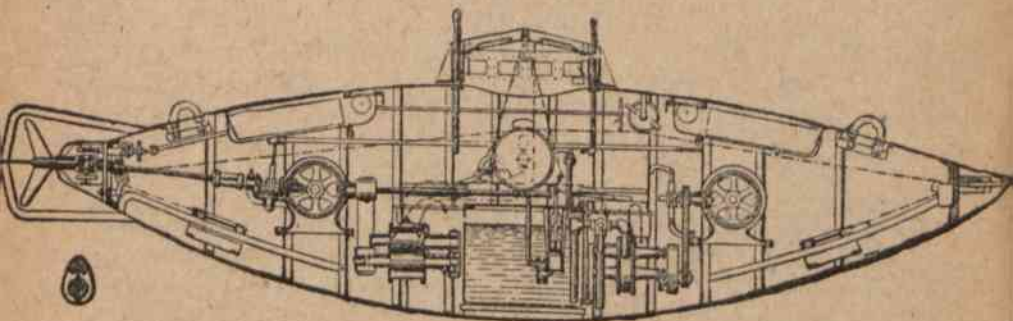
Bardzo rozpowszechnioną w Chinach chorobą jest świerzba, z której jednak niewiele sobie robią synowie państwa niebieskiego. Drapią się i basta. Jako środek przeciwko świerzbie używają czasem maści z tłuczonych skorup ostryg zmieszanych z rośliną *Melisa Acedarach*.

Talizmanem przeciwko chorobom są kości tygrysa. Aby przekonać się, czy kości są rzeczywiście tygrysie, rzucają je psu. Jeżeli pies tuli ogon pod siebie i ucieka, kości należały do tygrysa. Wielką siłą leczniczą, zdaniem Chińczyków, posiada proszek z kości słonowych. Ukąszenie przez węże jadowite leczą Chińczycy wodą, pitą przez stary, przesycony sokiem tytoniowym cybuch. Miejsce ukąszenia wysysają, wypalają i opatrują. W ogóle Chińczyk nie boi się węzów i zabija je tylko w razie napaści. W wielu domach chińskich węże żyją spokojnie razem z mieszkańcami, tępiąc szkodliwe owady. W Pekinie i okolicach w wielkiej obfitości znajdują się węże, niedźwiedzie i stonogi.

Przeciwko chorobom płucnym używają się cebulki lilji, przeciwko chorobom serca proszek ze skamieniałych Krabów morskich.

Na zakończenie podajemy oryginalną chińską receptę przeciwko cholercze. W szklance wódki z ryżu rozpuszcza się 6 drachm *Aconitum Variegatum*, 6 drachm *Carica papaya*, 6 drachm *Justicia* 3 dr. *Couvulvulus*, 3 dr. *Flores Cinae* i 3 dr. proszku lukrecjowego. Wszystko potrzeba zagotować w decylitrze wody i pić na gorąco.

— **Telegrafja polowa.** Telegraf nabiera coraz większego znaczenia w czasie wojny; zwłaszcza zaś szybkie urządzenie komunikacji telegraficznej pomiędzy armją czynną, a jej środkiem zarządzającym odgrywa rolę pierwszorzędną. To też ostatnimi czasy wszystkie mocarstwa prześcigają się wzajemnie, obok uzbrojeń w udoskonaleniach, sposobów telegrafowania.



W obecnej wojnie anglo-boerskiej skazani jesteśmy, podobnie jak i cała Europa, na odbieranie wiadomości wyłącznie prawie ze źródeł angielskich, z powodu, że ogromna większość podmorskich linii telegraficznych należy do Anglii. I na lądzie

Anglicy górują nad innymi państwami pod względem łatwości urządzania telegrafów.

Oto np. sposób zakładania *telegrafu polowego*, który musi być prowadzony naprędce i postępować wraz z armją operującą. Wszelkie aparaty, klucze, baterje są możliwie drobne i lekkie; drut miedziany na przewodniki waży zaledwie 20 kgr. (50 funtów), na 1 kilometr długości, a żelazny 42 kgr. Najciekawsze atoli są słupy telegraficzne, które *przewożą konno*, związane w pęki, po kilkanaście na jednego kawalerzystę.

Obecnie i Niemcy poszły za przykładem zamorskich sąsiadów i oto powstał nowy typ międzynarodowy telegrafów polowych, których zakładanie przedstawia rycina.

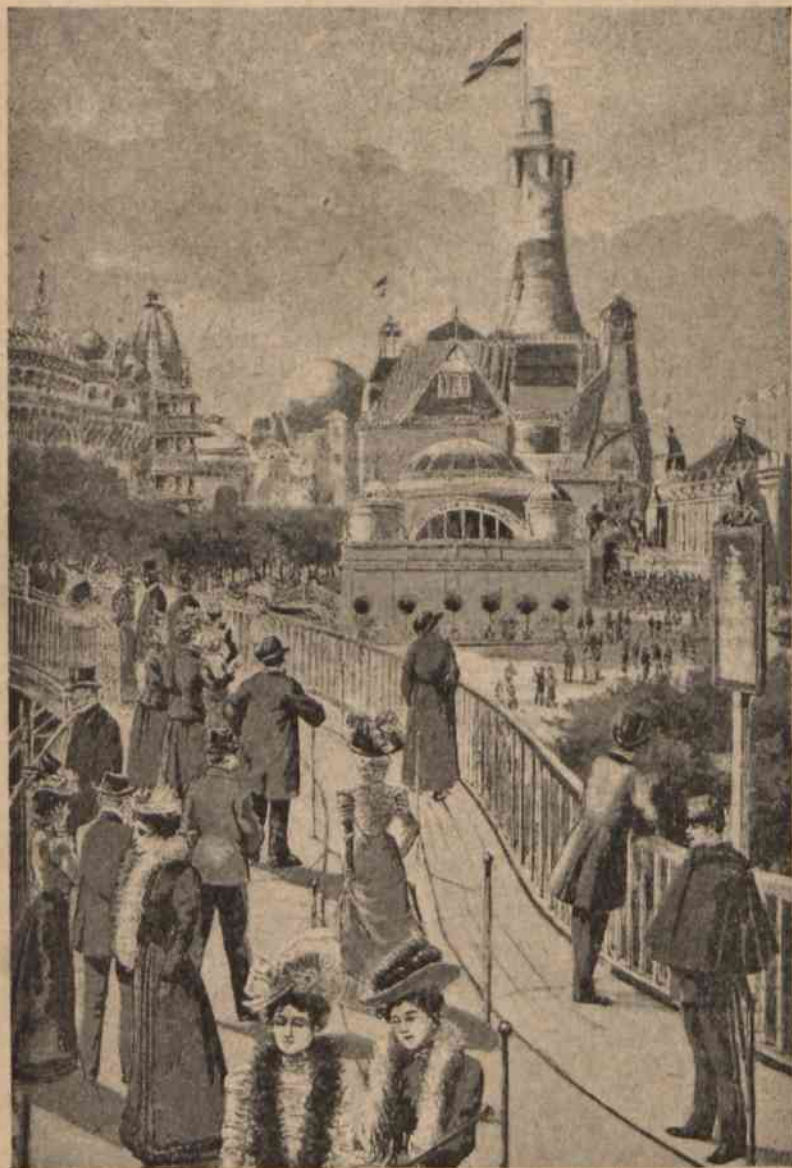
Każdy słup telegraficzny składa się z trzech cienkich rur żelaznych, wsuniętych jedna w drugą, podobnie jak w lunecie, co oszczędza dużo miejsca; wyciągnięte w słup, rury te mają długość ogólną 3—5 metrów. Podobnych słupów rurowych wystarcza 20 na kilometr; gdzieindziej używają długich tyk drewnianych lub bambusowych. Zawsze jednak na jednym końcu znajduje się hak do zaczepiania przewodnika, drugi jest ostro okuty.

Zakładanie linii odbywa się bardzo szybko. Co pewien odstęp, jeździec z pęka owych słupów wyjmuje po jednym i wbija w ziemię, jak dzidę. Jadący za nim trzyma szpulę drutu, który się rozwija w miarę jazdy; dalszy za pomocą widełków zakłada drut na haczyk, i tak postępuje wciąż cały oddział. W ten sposób trzech lub czterech ludzi wiezie materiał i zarazem przeprowadza linję telegraficzną na długość kilometra, a kilkudziesięciu wystarcza na urządzenie całej linii potrzebnej w takich razach niemal na zawołanie.

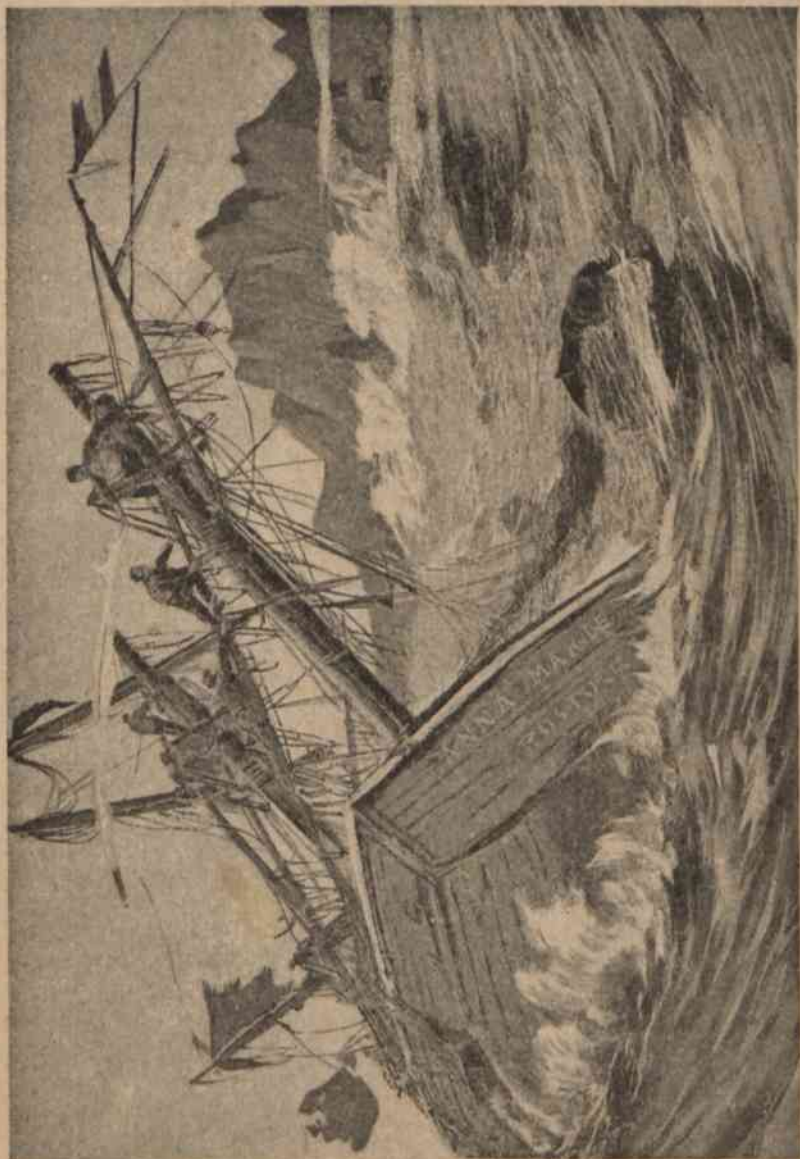
— **Chodniki ruchome na Wystawie Powszechnej.** Wszystkich, zwiedzających wystawę paryżką, zajmuje szczególnie ciekawa pod względem pomysłu i wykonania rzecz—chodniki ruchome.

Wynalazcy ich, inżynierowi Blot, udało się przezwyciężyć wszelkie trudności, napotkane przy budowie tych chodników. Cały plant chodników składa się z trzech równoległych, szczelnie dopasowanych platform. Z tych pierwsza jest nieruchoma. Druga, o szerokości 90 centymetrów, porusza się z szybkością $4\frac{1}{2}$ kilometra na godzinę, trzecia zaś, szeroka na 2 metry, z szybkością 9 kilometrów. Nizkie słupki, oddzielające platformy, służą jako pomoc przy przechodzeniu z jednej platformy na drugą. Plant jest podobny do wywróconego pociągu, którego koła poruszają platformy. Platformy opatrzone są w szyny, które posuwają się na blokach; na jednej osi osadzone są bloki różnej średnicy i każda para bloków porusza jedną platformę.

Przy jednakowym ruchu osi, szybciej porusza się ta platforma,



Chodniki ruchome na Wystawie Powszechnej.



Rakiety, jako przyrząd do ratowania tonących.

której szyny chodzą na blokach o większej średnicy. W ten sposób poruszany chodnik, leży na wiadukcie wysokim na 7 metrów. Wiadukt przechodzi po lewej stronie esplanady Inwalidów, przez ulicę Narodów, bulwar d' Orseille, Pole Marsowe i przez Avenue Lamoche wraca do esplanady. Chodniki są w ciągłym ruchu, ponieważ niema żadnej potrzeby zatrzymywania. Człowiek może przejść 5 kilometrów na godzinę, nie przedstawia mu zatem żadnej trudności przejście z platformy nieruchomej, na platformę, posuwającą się z szybkością $4\frac{1}{2}$ kilometra, z której znowu przejście na platformę o szybkości 9 kilometrów jest także bardzo łatwym.

Takie stopniowanie pozwala na urządzenie całego szeregu platform o dowolnej szybkości ruchu.

— **Rakiety, jako przyrząd do ratowania tonących.** Ten sposób ratowania tonących na morzu jest bardzo praktyczny, jeżeli rozbicie okrętu nastąpiło w bliskości lądu. Przy pomocy zwykłego przyrządu raketowego lub też armaty, wyrzucają w kierunku ginącego okrętu rodzaj szpulek z nawiniętymi na nią linkami. Rakieta, lecąc rozwija linkę i tym sposobem daje tonącym możliwość dostania się do lądu.

— **Nowy sposób telegrafowania.** Gazety norweskie podają wiadomość, że w Islandji komisja, złożona z uczonych duńskich, odbywała próby nowego sposobu telegrafowania za pomocą t. zw. telegrafu spektralnego, wynalazku słynnego uczonego duńskiego, profesora Lacoure. Próby dały świetne rezultaty. Pisarz islandzki M. Jochumson tak opisuje próby.

„Jantzen i ja znajdowaliśmy się na stacji przyjmującej nad brzegiem morza; na stacji wysyłającej urządzonej na wierzchołku fieldu, byli dyrektor Paulsen, artysta Montke i syn wynalazcy, porucznik Lacoure. Powietrze było ciche, lecz mgliste, tak, że zaledwie dostrzedz można było sylwetki gór. O godzinie 7-ej wieczorem spostrzeżliśmy światło spektralne w kształcie tęczy, długiej na kilkanaście łokci, koloru niebieskiego i czerwonego. Po chwili ukazały się posuwające wolno po smudze światła punkty i kreski, z których składały się wyrazy depešy, wysłanej ze stacji wysyłającej. Z pomocą lunety odczytaliśmy, co następuje: „Wszystko pomyślnie. Niechaj ktokolwiek z was dostarczy nam jutro błonki, nasze są pospute. Skończyliśmy. Do widzenia“.

Wkrótce światło odzyskało swój pierwotny biały kolor. Na nas przyszła kolej wysłać odpowiedź. Jantzen wziął arkusz papieru i za pomocą specjalnej maszyny wyciął na nim kropki i kreski, oznaczające wyrazy telegramu. Tę taśmę papierową włożył w maszynę spektralną, wzmoenił światło i począł wysuwać powoli wstęgę. Wtedy w świetle wyraźnie występowały kropki i kreski, które jak najdokładniej odczytane zostały na stacji przeznaczenia“.

Próby te zwróciły na siebie uwagę uczonych skandynawskich, którzy wynalazkowi rokuja świetną przyszłość.

— **Polak, jako poprzednik Kolumba.** Istnieje wiele podań o śmiałych żeglarzach norweskich, brytańskich, duńskich, weneckich i innych, którzy jeszcze przed Kolumbem mieli pojęcie o Nowym Świecie, a właściwie mówiąc o północnej jego części.

Wiemy, że wszystkie próby, robione w celu dotarcia do tych krajów nieznanych, miały za punkt wyjścia odkrycie drogi morskiej do Indji, do czego dążyli wszyscy przedsiębiorczy żeglarze owych wieków. Podania skandynawskie i walijskie niejednokrotnie wspominają o podobnych usiłowaniach. W Anglii np. istnieje podanie o synu księcia walijskiego, Madaksy, który w r. 1170 odkrył cudny kraj w północnej Ameryce. Jedną z sag skandynawskich, Heimskringlu, opowiada o tem, jak skandynawowie, pod dowództwem niejakiego Leifa, w X-ym wieku odkryli Grenlandję i część Ameryki Północnej, którą nazwali Winlandją, t. j. krainą wina, gdyż znaleźli tam wiele winnic. Inna saga mówi o kolonizacji Islandji w XI-ym wieku i o rozbójniku morskim Huubiornie, który został zaniesiony prądem na zachód od Islandji, gdzie widział ziemie nieznaną, a zwiedzane później przez Eryka Rudego.

Gazety amerykańskie donoszą, że w nowej Anglii prowadzą się obecne badania archeologiczne. Znalezione tam mnóstwo śladów, potwierdzających podania skandynawskie.

Wenecjanie także mają pretensję do odkrycia Ameryki i powołują się na świadectwo braci Antoniego i Mikołaja Zenich, którzy w r. 1320 udali się do Islandji, zkąd burza zaniósła ich do wybrzeży Grenlandji.

W ostatnich wreszcie czasach uczeni, na mocy dawnych dokumentów, dowodzą, że między poprzednikami Kolumba był także i Polak, niejaki Jan z Kolna. Podróżnik ten, na czele ekspedycji, złożonej z duńczyków, odkrył cieśninę, która później otrzymała nazwę cieśniny Berynga, a przez którą, jak sądzono, prowadziła droga do Indji. Zwiedził także Labrador, a było to w r. 1476, czyli na 14 lat przed Kolumbem.

Wiadomości chociaż krótkie o śmiałym tym podróżniku, podają pisarze polscy Szepiński, Maciejewski, Oleszczyński, Lelewel, pisarz arabski w XVII-ym wieku Omar i z tegoż wieku K. Witflied.

— **Choroby drogich kamieni.** Wiadomo powszechnie, że drogic kamienie podlegają wielu chorobom, objawiającym się przez utratę blasku lub też przez stopniową zmianę koloru pierwotnego, jeżeli kamienie przez czas dłuższy bez przerwy wystawione są na działanie światła słonecznego. Najmniej zmianom tym podlegają szmaragdy, szafiry i rubiny, które zachowują blask i kolor, bez za-

dnej zmiany przez długi czas; rubiny jednakże choć w niewielkim stopniu, tracą kolor, jak dowodzą robione w Paryżu doświadczenia. Do próby użyto dwa duże jednakowe rubiny, z których jeden pozostawiono w oknie wystawowym jubilera przez przeciąg dwóch lat. Po upływie tego czasu okazało się, że rubin ten zmienił kolor i stał się jaśniejszym w porównaniu z drugim, który nie był wystawiony na działanie światła. Najszkodliwszem działaniem światła okazuje się na topazy i granaty; topazy, pod wpływem światła bledną, granaty zaś przeciwnie, ciemnieją i tracą blask.

Zdaniem jubilerów, najczulszym ze wszystkich drogich kamieni jest opal. Opal składa się z mnóstwa mikroskopijnych kryształków, które rozrzucają światło na wszystkie strony i tem nadają kamieniowi blask tęczyowy. Własność tę traci często opal przy szlifowaniu, polerowaniu i innych rękoczynach, jakie zwykle przechodzą drogic kamienie; często zdarza się, że kamień przechodzi szczęśliwie wszystkie operacje, lecz staje się tak kruchym, że pęka przy dotknięciu narzędzia lub przy nagłej zmianie temperatury.

Niezwyczajną czułością odznacza się także perła, która często traci blask wskutek dotknięcia spoconej ręki szlifierza. Bardzo szkodliwym jest dla perły bliźkie sąsiedztwo z ogniem. Najtrwalszym z drogich kamieni jest brylant, lecz i ten nie znosi bardzo wysokiej temperatury, przy której może dostać szkar.

Łatwo podlega zmianom turkus, którego delikatny niebieski kolor często przechodzi w brudno-zielony, lub też kamień dostaje plam.

W celu przywrócenia pierwotnego wyglądu zakopują turkus w ziemię na kilka tygodni. Mieszkańcy Azji Środkowej i Kaukazu dają w tym celu kamień połknąć indycze, poczem odszukują go, gdy turkus przejdzie przez cały przewód pokarmowy.

— **Papier z trawy.** Nie tak dawno zaczęto fabrykować papier z drzewa, a obecnie już zaczynają robić go z trawy.

Trawa przed użyciem musi być starannie wymyta i wyługowana w gorącej sodzie. Do wyrobu papieru nadaje się trawa wszelkich gatunków, aby tylko zebrana była przed kwitnięciem. Włókna papieru z trawy odznaczają się elastycznością i ciągliwością, i dlatego materiał ten nadaje się do wyrobu wyższych gatunków papieru.

Jak korzystną może być fabrykacja nowego papieru, sądzić można z tego np., że z jednego kilogramu trawy otrzymuje się pół kilograma papieru.

Papier wyrabiany z trawy może bezwątpienia wyrugować z przemysłu papier drzewny, a nie wiele ustępuje papierowi ze szmat.

— **Struś wierzchowcem.** W Ameryce południowej od pewnego czasu fermerzy zaczęli używać do jazdy wierzchowej strusi

zamiast koni. Istnieją już specjalne zakłady do odpowiedniego trenowania strusi.

Strusie biegają tak szybko, że jeździec nieprzyzwyczajony nie może oddychać. Ujeżdżanie strusi nieprzedstawia wielkich trudności, gdyż ptaki te prędko się oswiają i same chętnie podstawiają grzbiet pod siodło.

Więcej cierpliwości i czasu potrzeba na przyzwyczajenie strusia do munsztuka i cugli.

Rady i wskazówki praktyczne.

Sposób francuzki zasuszania owoców.

Świeżo obrane owoce kładą się w wodę wrzącą i trzymają, dopóki zupełnie nie zmiękną. Po wyjęciu ułożyć na sito, pod które postawić czyste naczynie do ściekania z nich soku. Osuszone tym sposobem ułożyć na blachach i w piec wstawić po wyjęciu ohleba, gdzie pozostać muszą 24 godzin. Po wyjęciu z pieca przypłaszczyć ręką, maczać w soku, który poprzednio ociekł z owocu, a później na sitach w ciepłym miejscu obsuszyć. Układając w pudełka na przechowanie, przesypać należy warstwami zupełnie miłąkiem cukrem.

Sposób przyrządzania rosółu na zimno, zalecany przez dr-a Liebig'a.

Pół funta mięsa kaczego z jakiegokolwiek części, ale bez kości, wołowego, lub wreszcie baraniego, oczyszczonego z tłuszczu i kości, pokrajać w bardzo małe kawałeczki, nalać pół kwarty wody zimnej studziennej, podług Liebig'a, podług mnie zaś miękkiej—przegotowanej i wystudzonej. Wychodząc z zasady, że rosół zalewa się zawsze wodą miękką, a przegotowaną dlatego, iż rosół taki ma służyć dla chorych, woda zaś surowotwarda zawiera zawsze w sobie części wapienne, dolać do tej wody pięć kropel kwasu solnego i mięszać godzin dwie łyżeczką drewnianą. Po dwóch godzinach najmniej, przecedzić płyn przez rzadkie płótno. Pozostały ztąd czerwonawy płyn daje pożywienie nadzwyczaj esenojonalne, jako pokarm dla rekonwalescentów, ludzi niedokrwistych, wycieńczonych, skutkiem jakiegokolwiek utraty krwi, mających żołądek popsuty i trudno trawiący; dla nadania lepszego smaku, zaprawić

można żółtkami i sokiem cytrynowym, biorąc na pół funta mięsa, dwa rozbite żółtka i soku do smaku.

Lucyna Ćwierczakiewicz.

— **Zabezpieczenie kartofli od gnicia.** W „Journal d'Agiculture pratique“ znaleźliśmy następujący praktyczny i godny uwagi sposób zabezpieczenia kartofli od gnicia:

Kartofle, które już mocno gnicić poczęły, należy zasypać miałko potłuczonym wapnem — a gniciu natychmiast ustaje. Wapno na skórę kartofla bynajmniej gryząco nie działa. Trzeba mniej więcej korzec kartofli wysypać niespełna pod kartofle, to zabezpieczy je na 14 miesięcy i na smak żadnego wpływu nie wyrzuci.

Ponieważ wapno nie przeżera skóry na kartoflu, więc nie dostaje się do środka i żadnego wpływu na dobroć pokarmową kartofla nie wywiera, trzeba tylko, po wyjęciu z wapna, wycierać kartofle wilgotną ściereką.

— **Przechowywanie jabłek w ziemie.** „Hygiène pratique“ poleca następujący sposób: trzeba wybrać zupełnie czyste jabłka, wolne zupełnie od plam podejrzanych, przenieść je do suchej komórki, porozkładać na suchych rogożach w ten sposób, aby się jedno nie dotykało drugiego; zamknąć szczelnie okna i drzwi i napełnić komórkę dymem z gałązek winogronowych. Po przejściu 4—5 dni należy operację z dymem powtórzyć, poczem natychmiast jabłka ułożyć w skrzynię, przesypując plewami pszennymi tak, aby jedno jabłko nie dotykało drugiego: pierwszą warstwę pokrywa się plewami, potem idzie druga i t. d. aż do chwili, gdy skrzynka będzie zapełniona. Poczem skrzynkę zabija się szczelnie i starannie przechowuje w suchym lecz przewiewnym miejscu.

— **Jak ochronić konie i bydło od much i bąków.** Koniom i bydłu w lecie bardzo dają się we znaki muchy, komary i bąki. Aby uchronić biedne zwierzęta od tej plagi, istnieje bardzo łatwy środek. W roztopionem sadle wieprzowem (2-ch funtów) gotować przez pięć minut garść liści laurowych. Tak przyrządzonym tłuszczem trzeba za pomocą gałganka natrzeć całe ciało konia lub wołu, i tym sposobem uchroni się zwierzę od dokuczliwych owadów. Środek ten, znany od bardzo dawna, mało jednak jest w użyciu, pomimo swej praktyczności. W Strasburgu używają tej samej mieszaniny rzeźnicy, smarując nią okna i drzwi sklepów, aby uchronić mięso od owadów.

Zadanie Newtona.

Trzy krowy w ciągu 2 tygodni zjadły trawę, która rosła na 2 morgach gruntu, oraz trawę, która na tej przestrzeni przyrosła w ciągu 2 tygodni.

2 krowy w ciągu 4-ch tygodni zjadły trawę z 2 morgów i przyrost n tenże czas.

11 krów zjadło by w ciągu 6-ciu tygodni trawę, rosnącą na 6 morgach wraz z przyrostem na 6 tygodni.

Przypuszcza się, iż trawa rośnie równomiernie i że wszystkie krowy jedzą dziennie jednakową ilość trawy.

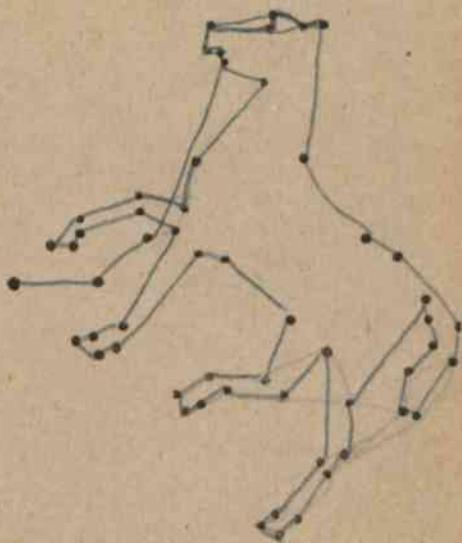
W poszukiwaniu rumaka.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że te czarne punkciki, rozrzucone bez ładu, nie mogą mieć żadnego znaczenia.

Tymczasem przedstawiają one plan pewnej wioski, każdy dom której oznaczony jest przez jeden punkt.

W wiosce tej, podróżnik pewien, jedni mówią, że jechał na koniu, drudzy — że na welocypedzie, zatrzymał się w oberży. Rumaka swego, (nie wiemy dotąd, czy żywego, czy stalowego) zostawił przed oberżą, sam zaś wszedł wewnątrz, aby odświeżyć gardło. Nie był nasz podróżny zbyt wstrzeмиężliwy, gdyż wyszedł zaledwie po upływie godziny i, niestety rumaka swego nie znalazł. Zaniepokojony wielce, czy rumak jego skradziony nie został, puścił się na poszukiwania do *wszystkich* we wsi domów. Znajac dobrze miejscowość, urządził się tak, że *w żadnym domu nie był dwa razy*.

Gdy przybył do ostatniego domu, naszkicował plan wsi, aby sprawdzić drogę, jaką odbył i przekonać się, czy nie opuścił którego

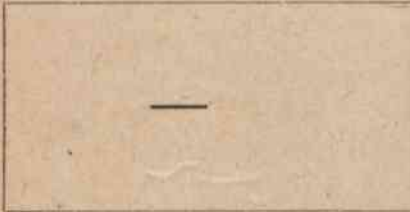


domu, ku wielkiemu zdumieniu spojrzawszy na szkic planu, spostrzegł na papierze kontury swego rumaka.

Może kto z czytelników zrobi tak, jak nasz podróżny, przeprowadzi na planie drogę i powie nam:

- 1) Od którego domu uszkodzony rozpoczął swe poszukiwania?
- 2) Jaką drogę w poszukiwaniach swych odbył?
- 3) Czy był to cyklista, czy jeździec konny?

Trudny rysunek.



Zamieszczoną obok figurę narysować jednym pociągnięciem pióra (nie odejmując pióra od papieru).

Rozwiązania

Zadanie arytmetyczne.

W przeciągu 24 godzin, zegarek pospiesza $\frac{1}{2} - \frac{1}{3} = \frac{1}{6}$ minuty. Zdawałoby się zatem, że na to, aby zegarek pospieszył 5 minut, trzeba by czasu: $6 : \frac{1}{6} = 30$ dni, i że data poszukiwana — będzie to 31 sierpnia.

Tymczasem nie jest tak, gdyż trzeba wziąć na uwagę, że 28 sierpnia rano, zegarek pospieszy $27 + \frac{1}{6} = \frac{9}{2}$ minuty, a zatem tegoż dnia wieczorem pospieszy o $\frac{9}{2} + \frac{1}{2} = 5$ minut.

S z a r a d a.

Ka—lej—do—skop.

Rozwiązanie nadstali: J. Tykocinerówna z Włocławka.



OD REDAKCJI „KRAJU” W PETERSBURGU. „KRAJ” WYCHODZIĆ BĘDZIE W DRUGIM PÓŁROCZU R. B. CO TYDZIEŃ, POD TYM SAMYM KIERUNKIEM, I BRONIĆ BĘDZIE TYCH SAMYCH ZASAD I SPRAW, KTÓRYCH BRONIŁ W CIĄGU 18-LETNIEGO SWEGO ISTNIENIA. KAŻDY № „KRAJU” SKŁADA SIĘ Z 40 DO 48 STR. TEKSTU, OPRÓCZ OGŁOSZEŃ, ORAZ KILKUNASTU ILUSTRACJI I KARTY ALBUMOWEJ, ODTWARZAJĄCEJ DZIEŁA SZTUKI POLSKIEJ I OBCEJ. „KRAJ” POSIADA OKOŁO DWUSTU WSPÓŁPRACOWNIKÓW. PRENUMERATA „KRAJU” WYNOŚI KWARTALNIE 3 RUB. ADRES ADMINISTRACJI „KRAJU”: PETERSBURG, JEKAT. KANAŁ 82; WARSZ. KANTORU: MARSZAŁKOWSKA 141. REDAKTOR I WYDAWCA „KRAJU” ERAZM PILTZ.

4 rb. w roku bieżącym, **4 rb.**

rocznie w Warszawie.

1900-ym

rocznie na prowincji

„Kurjer Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK”

ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

4 rb.

WARSZAWA

4 rb.

Marszałkowska № 141.

rocznie na prowincji.

rocznie w Warszawie.

Broszurowano w Zakładzie Galanteryjno-Introligatorskim i Broszurowni HENRYKA MEYERA Marszałkowska № 141, m. 27.

Дозволено Цензурою Варшана 22 Августа 1900 года.

Redaktor i Wydawca **Ludwik Straszewicz.**

Podręczniki Szkolne i Wykładowe:

- KOROTYŃSKI WL. Jak pisać po polsku, czyli **stylistyka** jęz. polskiego —.90 w oprawie 1.—
- KORZON TAD. **Historja starożytna**, wyłożona sposobem elementarnym z 3 mapami, planami, tablicą synchronistyczną i 110 drzew. Wydanie 3 przejrane i poprawione. 1.50
- **Historja wieków średnich**, wyłożona sposobem elementarnym, z 4 mapkami i kolor., 55 rysunkami i tablicą genealogiczną. Wydanie 2-ie, przejrane i poprawione. 2.30
- **Historja nowożytna** z 64 rysunkami w tekście, mapą histor. i tablicami genealogicznymi. Część I do r. 1684 3.—
- KRAKOWSKI N. Wykład teoretyczny i praktyczny **korespondencji handlowej**. Wyd. 3-cie przejrane i popr. rb. 1.50, w oprawie 1.80
- LEJA E. Krotki przegląd kuli ziemskiej, czyli początkowa **nauka geografji** początkowej w pytanjach i odpowiedziach, podług najlepszych źródeł opracowane i przeznaczone dla dziecięcego wieku. Wyd. 8-me popr. i uzupeł., karton. —.40
- LEWANDOWSKI W. Ks. **Katechizm** czyli wykład wiary chrześcijańsko-katolickiej. Pomnożył i wydał ks. M. Pajor. Wydanie nowe, karton —.50
- LEWICKI ANATOL. **Dzieje narodu polskiego** w zarysie, doprowadzone do najnowszych czasów, rb. 2, w oprawie płóciennej rb. 2.50
- NAŁKOWSKI W. Zarys **geografji powszechnej** (pooglądowej). Z licznymi rycinami rb. 2.70, karton. 3.—
- NUSBAUM J. Dr. Podręcznik **zoologii** do użytku w klasach niższych szkół średnich, oraz do nauczania prywatnego dla młodzieży od lat 10 do 14 Z 272 rysunkami w tekście. 1.80
- Prawidła pisowni**, przyjęte przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Wydanie 3-cie. —.02
- RZEWUSKI G. Ks. **Katechizm** Rzymsko-katolicki większy, przystępnym sposobem wyłożony. Wyd. 6-te, na nowo starannie przejr. i dopełnione, kart.—.30
- SATTLER A. **Fizyka** popularnie ułożona. Z niem. przeł. M. Kozłowski. Z liczn. rysunkami k. 60, w opr. —.80
- SCHOEDLER J. Dr. **Zoologja**, przełożył A. Wałeckci. Wydanie 2-o. Z licznymi drzeworytami. 1.20
- SCHREBER M. Dr. **Gimnastyka** lecznicza pokojowa, czyli zasady ćwiczeń gimnastycznych, bez przyrządów i pomocy wykonywanych, dla płci obojga i każdego wieku, przetłumaczył z 24 wydania niemieckiego dr med. R. Radziwiłłowicz, z 45 drzeworytami i tablicą. Wydanie 2-gie kop. 60, w oprawie —.80
- SEMPOŁOWSKI S. i J. UNSZLICH-TÓWNA. **Zbiorek powiastek**, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9-ciu k. 60, kart.—.76
- SERWATOWSKI W. Ks. **Dzieje Starożytności i Nowego Testamentu**, krótko zebrane dla dzieci. Wyd. 17-te, ozdobione licznymi drzeworytami w tekście, oprawne —.37½
- SPASOWICZ Włodz. **Dzieje literatury polskiej**. Wyd. 3-cie, przejrzał i uzupełnił A. G. Bem, rb. 2, w oprawie 2.50
- STATTLER Helena. **Początki nauki rachunków** w układzie metodycznym kartonow. —.80
- TODHUNTER J. **Algebra** początkowa. Tłumaczył z angielsk. Wł. Kwiatkowski, z drzew. w tekście 2.—
- WRZEŚŃIOWSKI A. Prof. **Zasady zoologii** z 499 rys. i tablicami chromolitogr. 2.40
- ZNATOWICZ BRON. **Zasady chemji** ogólnej, z wielu drzew. w tekście 2.—

J. Zabokrzecki i S-ka

WARSZAWA

Marszałkowska № 124, (dom Towarzystwa „Rossja“).

Adres telegraficzny: „Warszawa—Zabokrzecki“.

Zamiast miedzianych

WYROBY NIKŁOWE

ze znanej największej
walcowni niklu

Fleitmann, Witte & Co.



Naczynia Kuchenne i Stołowe

oraz inne w zakres gospodarstwa wchodzące.

Naczynia nikłowe nie wymagają pobielania, nie oksydują się nigdy i podług badań chemiczno-hygienicznych uznane zostały za zupełnie pewne pod względem zdrowia, czego nie można powiedzieć o naczyniach miedzianych, które, jak wiadomo, bardzo często stają się powodem zatrucia organizmu.



Tamże:

LÓŻKA ŻELAZNE,

Piece, Kuchenki, Wanny, Lodownie, Tace, Wagi,
Naczynia kuchenne

oraz inne przedmioty gospodarstwa domowego
z fabryk krajowych i zagranicznych.

KOMPLETNE WYPRAWY.

Wielki wybór praktycznych podarunków ślubnych i imieninowych
z zakresu gospodarstwa domowego.

Sklep przeniesiony z Senatorskiej na Marszałkowską № 124, do domu T-wa „Rossja“.

